



ANDRZEJ
W. SAWICKI

DOBRY GLINA

ŻOŁNIERZE
MIŁUJĄCY

ANDRZEJ W. SAWICKI

ŻOŁNIERZE MIŁUJĄCY

seria
DOBRY GLINA

INSTYTUT
WYDAWNICZY ERICA



Rozdział 1

Warszawa, grudzień 1807 roku

Zimowy dzień szybko się skończył i miasto pogrążyło się w ciemnościach. Nadwiślańska dzielnica o francuskiej nazwie Joli Bord^[1] – przez miejscowych spolszczonej na Żoliborz – ze swoimi błotnistymi drogami i przysadzistymi dworami, które były otoczone polami lub obszernymi ogrodami, sprawiała wrażenie bogatej wsi, a nie części znaczącego miasta. Jeszcze kilka miesięcy temu, gdy rezydował tu Napoleon Wielki, Warszawa piastowała funkcję stolicy imperium rozciągającego się na niemal całą Europę. Nocą jednak dzielnice otaczające Stare i Nowe Miasto zamieniały się w małe, przytulne wioski. Przynamniej pozornie.

Pomiędzy lichymi chałupami i budami biedoty, sąsiadującymi ze szlacheckimi dworami i pałacami arystokracji, przemykały pochylone postaci. Odkąd francuski rezydent-gubernator twardą ręką ukrócił pijackie rajdy po mieście swoich rodaków, warszawiacy mogli czuć się bezpieczniej. Wojsko zapanowało nad żołnierzami-grasantami^[2], ale nie interesowało się licznymi rabusiami działającymi pod osłoną nocy.

Trzech obwiesi w chłopskich kapotach i baranich czapach przemknęło wzdłuż grząskiej drogi, przeskoczyło nad rzeczką pełniącą funkcję rynsztoka i przycupnęło przy drewnianym płocie otaczającym niewielki pałacyk. Letnia rezydencja jednego z warszawskich bogaczy powinna być zimą zamknięta na trzy spusty i pilnowana jedynie przez stróża siedzącego w szopie na tyłach. Mimo to z wysokich okien parterowego budynku bił blask płonących świec. Obfita iluminacja oznaczała, że przygotowano pałacyk na przyjazd znacznego gościa. Faktycznie, z boku dziedzińca stała bogato zdobiona

kareta. Dwa zaprzężone do niej konie miały pióropusze na łbach, a tkwiący sztywno na koźle stangret ubrany był we frak i pudrowaną perukę.

– Walim w łeb woźnicę i czyścim karete? – spytał Jaśko, najmłodszy z przyczajonych nożowników.

– Żebyś ja cię w łeb nie wałnął – burknął Kolba, rosły przywódca bandytów. – Trza wpierw sprawdzić, kto jest w pałacu. Czuję, że to jakiś jaśniepan przyjechał na schadzkę. Może z kurwą, może z jaką damą. Na jedno idzie. Widzi mi się, że jegomość przybył bez służby, jeno z woźnicą. Jeśli i dama przyjedzie ino ze stangretem, dostaniem na tacy dwa gołąbki. Wiecie, ile ci jaśniepaństwo mogą mieć przy sobie złota?

– A kurwa może być cała w klejnotach – rozmarzył się Jaśko i natychmiast zaliczył klepięcie w tył głowy, aż czapa nasunęła mu się na oczy.

– Oni będą się gzić, a my wpierw zrobimy woźniców, a potem ciach jaśniepaństwo po gardłach. – Kolba przedstawił krótki plan napaści, który został w milczeniu zaakceptowany przez Chromego, ostatniego z grasantów. Na Jaśka żaden z nich nie spojrział.

Kolejno przesadzili płot i podpełzli wzdłuż bocznej ściany budynku. Przycupnęli na rogu, by widzieć dziedziniec z kareta. Już po paru minutach z mroku wynurzyły się dwie kobyły ciągnące kanciastą remizę – tani powóz z budą, który można było wynająć w mieście. Na koźle siedział woźnica opatulony w kapotę z postawionym kołnierzem. Koła remizy zaryły się w błocie przed pałacykiem, a powóz się zatrzymał. Powożący nie kwapił się, by otworzyć drzwiczki pasażerowi. Zostały one pchnięte od środka, a z powozu energicznie wyskoczyła młoda kobieta w prostej sukience i zarzuconym na ramiona płaszczku z jasnego atłasu. Blask bijący z okien pałacu oświetlił jej okoloną modnymi loczkami młodą twarz o łagodnych, idealnie symetrycznych rysach.

Trzej bandyci zastygli w podziwieniu. Dziewczę było wyjątkowo urodziwe, nawet jak na słynące z urody warszawianki. Panna rzuciła woźnicy monetę, ten złapał ją w locie, uchylił czapę na pożegnanie i trzasnął lejcami,

zmuszając wychudzone kobyły do wyciągnięcia remizy z błota. Powóz, za zgrzytem kół, znikł w ciemnościach. Dziewczyna stała chwilę na tle jasnych okien, zwrócona w kierunku karety. Patrzyła na nią – zdawałoby się – wyzywająco, a potem skierowała się do pałacyku i weszła przez uchylone drzwi.

– Ha, mówiłem, że jakiś jaśniepan będzie miał tu schadzkę – ucieszył się Kolba. – Miałem nosa, nie ma co! Ze mną nie zginiecie, chłopcy!

Wyciągnął zza pazuchy obdrapany bandolet pamiętający chyba jeszcze czasy króla Augusta III. W garści Chromego pojawił się toporny buzdygan, a w ręku Jaśka rzeźnicki nóż. Młody bandzior poderwał się, ale ciężka ręka Kolby opadła mu na ramię i zatrzymała w miejscu, albowiem wydarzyło się coś niespodziewanego.

Z karety wysiadło dwóch mężczyzn. Pierwszy był francuskim oficerem w mundurze z ciężkimi epoletami i z dwurożnym kapeluszem na głowie. Kolba z radością zauważył, że żołnierz nie jest uzbrojony. Jeszcze ciekawszy był drugi z pasażerów – wysoki, starszy pan w białej peruce. Nosił co prawda polski kozuch, ale na pierwszy rzut oka znać w nim było obcokrajowca. Ani chybi francuski oficjalista – domyślił się Kolba. Bogaty jak Radziwiłł, z ciężką sakiewką i w stroju wartym więcej pieniędzy, niż grasant widział przez całe życie.

Mężczyźni stanęli przed kareta i zaczęli rozmawiać. Wyraźnie się im nie spieszyło. Peruka uśmiechał się z zadowoleniem, spoglądając na pałacyk. Oficer stał sztywno, sprawiając wrażenie spiętego. Tłumaczył coś oficjaliście, gestykulując dłonią w skórzanej rękawiczce. Kolba zaczął się niecierpliwić.

– We dwóch będą ją chędożyć? – mruknął Jaśko.

– Niechby i tam – burknął herszt złoczyńców, który zaczął się zastanawiać, czy nie zaatakować jegomościów już teraz, nie czekając, aż zdecydują się, który pierwszy będzie ujeżdżał dziewczę. Doszedł jednak do wniosku, że nie ma sensu niepotrzebnie ryzykować. Lepiej cierpliwie poczekać.

– Zostań tu, Jaśko, i nie spuszczaaj ich z oka – zdecydował po kolejnych kilku minutach oczekiwania. – Ja z Chromym pójdziem sprawdzić drzwi wychodzące na tył pałacyku. Może tamtędy wejdziem do środka, załatwim dziwkę i wewnątrz zaczaim się na gagatków.

Młodzieniec próbował protestować, że znów zostawia się go na czatach i po raz kolejny ominie go to, co najciekawsze, ale dostał kolejny potężny cios otwartą dłonią w potylicę, więc pokornie nie ruszył się z miejsca. Przywarł do ściany w oczekiwaniu. Dwaj jego kompani rozplłynęli się w mroku. Tymczasem dyskusja dwóch jegomościów zmieniła się w kłótnię. Oficjalista miał chyba dość wykładów oficera, bo zaczął mówić do niego podniesionym głosem. Jasiek był ciekaw, czy żołnierz strzeli upudrowanego dziadka w pysk, ale mundurowy położył uszy po sobie, a nawet uklonił się i zaczął przeproszać perukę. Ten machnął ręką i ruszył w kierunku budynku. Wreszcie! Młody bandyta schował nóż i zahuczał w złączone dłonie, naśladując sowę. Oficjalista szedł wężykiem, omijając kałuże, mimo to w połowie drogi ugrzązł w błocie. Aż po kostki zapadł się w brei. Oficer doskoczył do niego i wyciągnął pomocną rękę.

Teraz można ich zaszlachtować jak dzieci – pomyślał Jaśko.

Biały błysk rozdarł ciemności, jakby z nieba uderzył piorun. Dziedziniec był przez chwilę skąpany w ognistym blasku. Zaraz potem potężny, basowy huk wstrząsnął światem. Szyby pałacyku rozbryznęły się na miliony odłamków zmieszanych z drzazgami z rozerwanych okien. Kawałki bryznęły na wszystkie strony razem ze strugami ognia, wyrzuconymi z budynku potężną eksplozją. Dwaj Francuzi runęli w błoto, ciśnięci wybuchem niczym zabawki. Konie wierzgnęły z kwikiem, sztywny stangret spadł z kozła na ziemię, łapiąc się za głowę.

Zaczajony grasant przywarł do ziemi, wbił w nią palce, wczepił się w błoto, jakby bojąc się, że wybuch, który już przebrzmiał, poderwie go w powietrze. Dopiero po dłuższej chwili odważył się unieść głowę i rozejrzeć. Francuzi gramolili się z błota, wokół nich leżała masa płonących

odłamków. Z okien budynku waliły kłęby dymu, czuć było paloną siarką.

Młody bandyta leżał parę chwil bez ruchu, zbierając się na odwagę. Jego dwaj kompani, jeśli dostali się do środka, zamienili się w rozrzucone wokół krwawe strzępy, a za chwilę zleca się tu ciekawscy z okolicy. Wybuch z pewnością postawił na nogi pół miasta. Jaśko poderwał się z ziemi, rzucił do panicznej ucieczki, przesadził jednym susem płot i pognął w ciemność.

Rozdział 2

Oś dawnej jurydyki miejskiej, Bielina, stanowiła szeroka, choć niebrukowana, ulica Marszałkowska. Mróz, który przyszedł nocą, nie zdążył porządnie ścierać błota, więc trakt, jak przez niemal całą jesień, był zupełnie rozjeżdżony kołami wozów, których odciski pokryły ulicę siecią bruzd i wypełnionych wodą zagłębień. Końskie łajno, które powinno zostać usunięte przez stróżów i służbę leżących wzdłuż arterii domów, zmieszało się z błotem w jedną śmierdzącą breję. Liczni o poranku przechodnie, z braku chodnika, przemykali wzdłuż budynków, starając się zbliżyć do nich jak najbardziej, by nie zostać obryzganym przez przebijające się przez bagno liczne wozy. Marszałkowska zawsze była ruchliwa, wszak prowadziła do rogatek Mokotowskich, gdzie łączyła się z traktem Czerskim i Krakowskim, więc mimo paskudnej pogody tętniła życiem. Nieustannie ciągnęły nią wozy kupieckie, chłopskie i wojskowe – z aprowizacją – które przybywały do miasta z południowych rejonów Księstwa.

Przez ciżbę starającą się omijać błoto szedł różnym krokiem postawny mężczyzna w sięgającej ziemi pelerynie z taniego płótna i w modnym, pluszowym cylindrze na głowie. Nic sobie nie robił z niedogodności, wszak jego ubranie i tak nosiło już liczne ślady intensywnego używania. Michał Ilnicki dobiegał trzydziestki, ale pełne gwałtownych doznań życie oznaczyło jego pociągłą twarz kilkoma bliznami i licznymi zmarszczkami, dodając mu i wieku, i powagi. Spodnie miał pocerowane, a drewniane podeszwy ledwo trzymały się butów na mocno porwanej, szewskiej dratwie. W każdej chwili mogły zostać w błocie, pozbawiając ubogiego szlachcica jedynej osłony nóg. O zakupie nowego obuwia nie było mowy, bo pugilares pana Michała od dawna świecił pustkami.

Ilnicki, udając, że poprawia cylinder, obejrzał się przez ramię. Jakiś czas temu spostrzegł jegomościa w eleganckim fraku, podpierającego się laseczką, który szedł za nim aż od domu, w którym pan Michał pomieszkiwał kątem, korzystając z gościnności bratowej. Osobnik nadal go śledził, zdawałoby się niespiesznie idąc drugą stroną ulicy. Nie wyglądał na osiłka, którego mógł wysłać jeden z wierzycieli Ilnickiego. Po prostu elegancki jegomość w kwiecie wieku o skroniach całkiem wybielonych siwizną – żadne niebezpieczeństwo dla doświadczonego wojaka, mimo to jego uporczywa obecność budziła niepokój. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, pana Michała zmroziło przenikliwe spojrzenie jasnych, bardzo bystrych oczu. Szpicel? Ale czego chciał od oficera artylerii w stanie spoczynku, który w Warszawie przebywał raptem od trzech miesięcy i jedyne, co zdążył zrobić, to przejął długi po swoim, świętej pamięci, starszym bracie?

Ilnicki zszedł po schodach do drzwi sutereny w jednej z kamienic. W środku znajdował się lombard kierowany przez bardzo grzecznego żydowskiego lichwiarza. Weteran rozsznurował pelerynę i odpiął od pasa szablę wraz z blaszaną pochwą pokrytą grawerunkiem o roślinnym ornamentem. Szabla pochodziła z mediolańskiego warsztatu mistrza Barisioniego, który wykonał ją z włoskiej, naprawdę porządnej stali. Miała solidną, choć pozbawioną ozdób rękojeść, za to pyszniła się pięknym kłębkiem. Stan ostrza, mimo wielokrotnego używania w boju, był całkiem przyzwoity. Po długich targach, które kosztowały pana Michała sporo nerwów, zastawił swoją ostatnią cenną ruchomość za kwotę stu dwunastu czerwonych złotych i piętnastu groszy w srebrze.

Wyszedł, czując duszący ciężar na piersi, gdzie w kieszeni trzymał pugilares. Jak żywym ogniem paliła go strata broni, wstyd wypłynął na policzki rumieńcami, zrosił czoło potem. Ilnicki musiał się napić, najlepiej mocnej gorzałki. Oto on, szlachcic o bitewnym doświadczeniu bez szabli u boku i szans na powrót do służby... Całe złoto zdobyte na wojennych wozach musiał oddać na pokrycie wierzytelności brata, a i tak nie starczyło

na zwrot wszystkich długów. Na co mu teraz przyjdzie? Zajmie się kupiectwem? Zostanie oficjalistą? Czyli miałby się skalać prawdziwą pracą? Wszak to nie przystoi szlachcicowi!

Oparł się plecami o ścianę kamienicy i zamknął oczy. Czuł bijące z ulicy zapachy mokrej ziemi, koni i gnoju. Dobiegał go wielkomięjski gwar – przekleństwa woźniców, okrzyki przekupki stojącej w bramie, śmiechy dzieci, zgrzyt kół i mlask końskich kopyt bijących w błoto. Kiedy otworzył oczy, okazało się, że stoi przed nim siwawy pan o jasnych, bystrych oczach. Ilnicki poczuł się, jakby osobnik oglądał go niczym konia na targu, szacował wartość, krytycznie lustrując znoszone ubranie, ale przede wszystkim zaglądając w głąb duszy.

– Z kim mam przyjemność, jeśli łaska? – burknął oficer.

– Nazywam się Augustyn Gliński – jegomość odparł zaskakująco łagodnym i ciepłym głosem. – Pozwoli pan ze mną, kapitanie Ilnicki. Nie będziemy rozmawiali na ulicy. Nie mamy czasu, by zjeść porządne, polskie śniadanie, ale kawkę chyba możemy wypić. Chodźmy, niedaleko, na Królewskiej, zimą urzęduje cukiernia Lessla, która zwykle mieści się w altanach Ogrodu Saskiego.

Gliński odwrócił się i nie czekając, ruszył przodem. Pan Michał, ku swojemu zaskoczeniu, szedł za nim krok w krok, bez dyskusji i wahania, jakby właśnie usłyszał rozkaz wyższego oficera. Siwawy pan miał prawdziwie charyzmatyczną osobowość i potrafił podporządkować sobie ludzi jednym spojrzeniem lub kilkoma słowy.

Dotarli do cukierni i zajęli miejsca przy stoliku. Służący گیا się wpół przed Glińskim, zachwalał świeże pączki i biszkopty posypane cukrem roztartym z wanilią. Ilnicki rozsiadł się wygodnie, pewną miną markując zmieszanie i zaaferowanie niecodziennym spotkaniem. Po prawdzie nie miał dziś wiele do roboty, a poza spłatą długów nic go nie czekało, mógł więc wypić poranną kawę w towarzystwie jegomościa. Potem przyjdzie pora na zalanie się w trupa. Choć nie, resztę czerwieńców będzie musiał przekazać

bratowej, Hani. Nie obudzi się zatem jutro z porządnym kacem, trzymając w ramionach śliczną, warszawską dziwkę, ale znów wstanie trzeźwy jak niemowlę.

– Skąd pan mnie zna, drogi panie? – spytał, gdy wreszcie przyniesiono im kawę.

– Jestem policjantem^[3], znam wszystkich w tym mieście – odparł jegomość i wbił zęby w obficie polukrowany pączek z kawałkami kandyzowanej skórki pomarańczy.

Pan Michał umoczył usta w obłędnie pachnącej kawie. Smakowała bosko, choć nie tak, jak w słonecznej Italii. Musieli dopiero co wypalić ziarna, a potem, polskim zwyczajem, wylali napar do tłustej, słodkiej śmietany. Pożywnie i zdrowo!

– Czym sobie zasłużyłem na zainteresowanie policji?

– Opinią doskonałego żołnierza, który wyróżnił się nienaganną służbą, a obecnie znalazł się w trudnej sytuacji – powiedział Gliński po otarciu ust chusteczką. – Kształcił się pan w Szkole Głównej Artyleryjskiej, a w insurekcji walczył w stopniu oberfajerwerka, między innymi na szanćcach warszawskiej Pragi. Potem znalazł się pan w Legionach Polskich we Włoszech, wpierw jako porucznik artylerii u generała Aksamitowskiego. Bił się pan pod Terraciną, a w oblężeniu Mantui został kapitanem i dowódcą baterii. Niestety, wszedł pan w konflikt z dowódcą, mówi się, że poszło o kobietę. Po awanturze, w której ponoć omal nie doszło do rękoczynów, złożył pan dymisję i odszedł z armii.

– Nie jest pan dokładnie poinformowany. – Ilnicki uśmiechnął się. – Doszło do rękoczynów, generał Aksamitowski dostał ode mnie w pysk. Miał jednak na tyle przyzwoitości, że nie kazał mnie rozstrzelać.

– Tym nie powinien się pan chwalić – konfidencjonalnie szepnął policjant.
– Atak na przełożonego i skłonność do aktów agresji nie są okolicznościami, które mogą panu pomóc w trudnej sytuacji materialnej, w jakiej się pan

znalazł. Szczególnie że droga do armii Księstwa Warszawskiego jest przed panem zamknięta właśnie przez ten nieszczęsny konflikt z generałem.

– Ten łobuz piastuje wysokie stanowisko u boku Poniatowskiego i ciągle o mnie pamięta. Przez tę świnię znalazłem się na bruku.

– Do trapiących pana problemów dochodzi nieszczęsna historia związana z pańskim bratem. – Gliński wziął następny pączek i ugryzł solidny kęs. – Joachim Ilnicki, który odziedziczył wasz rodowy majątek, raczył cierpieć na przykrą przypadłość umiłowania hazardu...

– Kiedy ja biłem się o wolną Polskę, on przerznął w karty naszą ojcowiznę – spokojnie odparł pan Michał, choć na wspomnienie wyczynów brata krew mu się w żyłach zagotowała. – Diabli go chyba opętali, skoro nie potrafił się powstrzymać. Nie dość, że spieniężył wsie, ziemię, folwarki i tartaki, a złoto przehulał, to jeszcze narobił potwornych długów. Potem strzelił sobie w łeb.

– Większość długów pan spłacił – zauważył policjant – a mógł machnąć ręką i pozostać za granicą. Co pana powstrzymało przed wstąpieniem do armii francuskiej i kontynuowaniem kariery?

– Jak to co? Brat zostawił żonę i trójkę dzieci. Ktoś musiał się nimi zająć, nikogo innego nie mają. Ale co to, u diabła, pana obchodzi? Coś się pan wpakował z kopytami w moje życie? Na co panu informacje o moich kłopotach rodzinnych i finansowych?!

Jegomość uśmiechnął się, dopił kawę, mlasnął z zadowoleniem i otarł usta jedwabną chusteczką ze złotym monogramem. Ilnicki w jednej chwili ochłonął. Spokój rozmówcy nieco go zmieszał.

– Porzucił pan szansę na karierę w armii, wygodne życie, by zająć się sierotami i dopełnić rodzinnych zobowiązań. Jesteś pan człowiekiem honoru, do tego uczciwym i po prostu przyzwoitym. Znasz się pan na wojennej robocie, jesteś wykształcony, znasz kilka języków, masz znajomości w armii i obycie. Właśnie kogoś takiego szukałem! – oświadczył policjant. – Wybierałem spośród kilku kandydatów, ale okoliczności zmusiły mnie do

przyspieszenia naboru. Niniejszym chcę panu zaproponować pracę...

– Proszę? – Oficer pochylił się, patrząc na Glińskiego z niedowierzaniem.
– Znaczy, mam nocą patrolować ulice czy pilnować aresztantów w Ratuszu? Wiesz pan chyba, że jestem szlachcicem?

– Raczy pan wybaczyć, ale cóż dziś znaczy szlachectwo? Większość szlacheckich klejnotów dawno straciła blask. Mnóstwo herbowej młodzieży przybywa do Warszawy i szuka jakiegokolwiek roboty. Zatrudniają się jako sekretarze, guwernerzy, błagają o posadę w magistracie, choćby jako chłopcy do ostrzenia piór i napełniania kałamarzy. Nawet arystokracja wzięła się do zarobkowania. Zamoyscy i Potoccy budują kamienice czynszowe, inwestują w manufaktury, garbarnie i młyny. Dziś praca nie hańbi nawet tych najbardziej szlachetnych. Proponuję panu służbę w polskim urzędzie, jednym z najbardziej kluczowych dla sprawnego funkcjonowania państwa. Nie będziesz pan pilnował złapanych obwiesi, ale musisz być gotowym na zanurzenie się w świecie zbrodni i najgorszego plugastwa. Na służbę ciężką i nieustanną, ale za to szlachetną. Na walkę ze złem.

Siwawy mężczyzna przerwał, patrząc na pana Michała wyczekująco. Ten siedział sztywno wyprostowany i coraz bardziej zainteresowany nietypową ofertą pracy.

– Proszę kontynuować – bąknął. – Na czym polegałyby moje obowiązki?

– Policja Krajowa dopiero się rodzi, i to w ciężkich bólach. Przyznaję, że formując oddziały, działamy w pośpiechu, by zapanować nad zamieszaniem zostawionym nam przez Francuzów. Dotychczas pieczę nad służbami porządkowymi sprawował cesarski rezydent, dopiero kilka miesięcy temu utworzono polski rząd, a w jego składzie powołano do istnienia Ministerstwo Policji. Naszym bezpośrednim przełożonym jest minister Adam Potocki. Razem z hrabią Ledóchowskim pomagamy mu uformować szarżę, tworzymy skomplikowaną administrację, bo policja to nie tylko strażnicy więzienni, ale rozbudowane struktury urzędnicze nadzorujące dziesiątki zagadnień umożliwiających funkcjonowanie całemu państwu. Pan wybaczy, odbiegłem

od tematu. Otóż uznałem za stosowne uformowanie w naszych strukturach Wydziału Policji Śledczej, przeznaczonej do tropienia sprawców najbardziej zagadkowych i poważnych zbrodni. Funkcjonariusze tego oddziału działają wtopieni w struktury miejskie, przenikają do środowiska przestępczego. Proponuję panu stanowisko śledczego, dowódcy formacji. Pana obowiązkiem będzie prowadzenie śledztwa przy wykorzystaniu powierzonych agentów i raportowanie mi postępów na bieżąco. Rozumie pan, jestem kimś w rodzaju generała, który potrzebuje zdolnego oficera liniowego. Chcę, by pan nim został.

Ilnicki siedział dłużej chwilę w milczeniu. Właściwie oferta Glińskiego była niczym dar niebios. Co prawda nie padły żadne obietnice finansowe, ale stanowisko oficera policji z pewnością gwarantowało konkretne wpływy i dawało stabilizację finansową, której tak bardzo potrzebował. Poza tym służba w mundurowej formacji podobna była do służby w armii i nie należała do zajęć hańbiących szlachcica.

– Kiedy zaczynam? – spytał krótko.

– Natychmiast. – Pan Augustyn wstał od stolika i skinął na służącego. – Dziś w nocy miała miejsce niezwykła zbrodnia. Byłem na miejscu jeszcze przed świtem i kazałem postawić na miejscu warty. Powinni już tam dotrzeć pozostali śledczy, pańscy podwładni. Chodźmy dokonać oględzin, przekażę panu śledztwo, kapitanie.

Nie kłopotał się regulowaniem należności, widocznie miał tu otwarty rachunek. Służący, zgięty w pas, otworzył im drzwi i życząc miłego dnia, wypuścił na zewnątrz.

– Kim pan właściwie jest w policji, panie Gliński? Jak mam się do pana zwracać?

– Piastuję stanowisko sekretarza generalnego Dyrekcji Policji Krajowej. Chłopcy często tytułują mnie szefem, ci bardziej oficjalni – waszą ekscelencją, natomiast warszawiacy, szczególnie młodzi i pochodzący z nizin społecznych, nadali mi przydomek od nazwiska.

– Jaki, jeśli można spytać?

– Glina.

Rozdział 3

Jazda odkrytym powozem o tej porze roku nie należała do przyjemności, a należący do magistratu pojazd Glińskiego pozbawiony był chroniącej przed wiatrem budy. Ilnicki musiał momentami trzymać cylinder, by ten nie odleciał w dal. Jego przełożony nic sobie nie robił z porywów wiatru.

– Byle tylko nie zaczął sypać śnieg, bo zakryje wszelkie ślady na miejscu zbrodni – odezwał się pan Michał.

– Ech, tym pan martwić się nie musi. Nocą na teren posiadłości wdarł się cały tłum gapiów, którzy zupełnie rozdeptali ślady mogące należeć do przestępców. Do pałacu dostała się kupa ludzi, niby po to, by gasić pożar. Moi chłopcy złapali kilku gagatków próbujących wynosić ocalałe w wybuchu bibeloty.

– Hm. Wiemy przynajmniej, kto padł ofiarą?

– Jeszcze nie. Trudno było się doliczyć. Rozumie pan, wybuch zrobił tam prawdziwą jatkę.

Powóz zwolnił przed bramą zdewastowanej posiadłości na Żoliborzu. Gliński pozdrowił machnięciem ręki pilnującego wjazdu mężczyznę w mundurze z niebieskimi spodniami – po których odróżniano warszawskich policjantów od żołnierzy. Wjechali na dziedziniec przed zniszczonym pałacykiem. Budynek przetrwał wybuch w jednym kawałku, nawet dach się nie spalił. Ilnicki doszedł do wniosku, że ocaliły go wysokie okna, przez które uwolniła się siła eksplozji, nie naruszając konstrukcji. Teraz otwory okienne ziały czernią, niczym oczodoły w okaleczonej twarzy.

Pan Michał pierwszy wyskoczył z powozu, niecierpliwie pragnąc jak najszybciej dokonać oględzin. Po miesiącach bezczynności aktywność, jakże miło kojarząca się z bojową, bardzo dobrze mu robiła. Znowu poczuł się

potrzebny i na swoim miejscu. Mógł działać – co więcej, dla dobra społeczności. Ruszył rażno, sadząc susy nad kałużami, ale zatrzymał się już po kilku krokach, bo drogę zastąpiły mu dwa wielkie psiska. Bestie stanęły kilka kroków przed nim i choć nawet nie warczały, ich postawa i napięte mięśnie nie wróżyły niczego dobrego. Jeden ziewnął nerwowo, prezentując imponujący zestaw zębisk mogących jednym chapnięciem rozerwać gardło jeleniowi lub zadusić dzika. Strach pomyśleć, co mogły zrobić z człowiekiem.

Świeżo upieczony policjant wyciągnął przed siebie dłonie w uspokajającym geście. Wiedział, że nie powinien patrzeć w ślepią potworów, bo sprowokuje je do ataku. Zaczął mamrotać pod nosem:

– Dobrze pieski, dobre. Chodźcie do mnie, powąchajcie mnie, jestem porządnym człowiekiem.

Gliński stanął obok niego i z kieszeni fraka wyciągnął fajeczkę oraz woreczek z tytoniem. Spokojnie zaczął nabijać cybuch.

– Gdzie wasz pan, pchlarze? – zwrócił się do psów. – Szaja! Chodź no tu, człowieku! Zabierz te bydlęta!

Zza rogu pałacyku wyszedł wysoki mężczyzna w rozpiętym chałacie. Nosił niewielką owalną czapkę i krótką, starannie przystrzyżoną bródkę oraz długie pejsy. W garści ścisnął zwinięte rzemieńne smycze. Na widok przybyłych uśmiechnął się i uchylił jarmułki.

– Poznaj, kapitanie, swego pierwszego śledczego, Szaję Appenszlaka. Dawniej pracował jako szkolnik żydowskiego syndyka. Dobry tropiciel, do tego zna wszystkich sklepikarzy i kramarzy w mieście.

Żyd trzepnięciem rzemieni o udo odwołał psy, które natychmiast zignorowały przybyłych i merdając ogonami, pobiegły między drzewa okalające dziedziniec. Ilnicki wyciągnął rękę i ucisnął żylastą dłoń Szai, zaskakująco silną, a do tego czystą. Pan Michał słyszał co nieco o szkolnikach – żydowskich policjantach, którzy jeszcze za króla Stanisława

działali w mieście. Zajmowali się ściganiem i łapaniem Żydów pozostających na terenie Warszawy bez pozwolenia, a przy okazji polowali na wszelkiego autoramentu złodziei i rzezimieszków. Słynęli ze skuteczności i sprawności, ale ich formację zlikwidowano już jakiś czas temu, kiedy pozwolono wreszcie Żydom legalnie osiedlać się w obrębie miasta.

– Coś znalazłeś? – bez wstępów spytał sekretarz generalny.

– Aj-waj. Setki śladów, jakby tędy przemaszerował cały Żoliborz. – Tropiciel wzruszył ramionami. – Ale za to z błota wygrzebałem coś takiego. Skórzana rękawiczka. Porządna robota, z delikatnej, cielejącej skórki, ale wcale nie damska. Nie wiem, czy który kuśnierz w Warszawie umie zrobić coś tak ładnego.

Wręczył rękawiczkę Glińskiemu, a ten przekazał ją panu Michałowi. Kapitan obejrzał uwalaną błotem część garderoby. Musiała należeć do majątnego jegomościa, nic więcej wywnioskować z jej oględzin nie umiał.

– Psy ją obwąchały, ale nie chwyciły tropu – dodał Szaja. – Poza tym nic ciekawego nie znalazłem, w błocie walają się jeno odłamki.

– Proszę je zebrać i zgromadzić w jednym miejscu. Chcę wszystkie obejrzeć – rozkazał Ilnicki.

Żyd nie dyskutował z, wydawałoby się, głupim rozkazem. Bo co może być ciekawego w nadpalonych i potrzaskanych kawałkach okiennych framug? Skinął tylko głową i oddalił się bez słowa.

– A niech to, nie mam czym przypalić fajeczki. Ech, nieważne. – Schował nabitą fajkę do kieszeni. – Podsumujmy, co na razie mamy. Koło północy okolicą wstrząsnął silny wybuch. Kiedy na miejsce przybyli policjanci z komendy cyrkułu^[4], zastali ludzi przyglądający się płonącemu pałacykowi. Pożar szybko ugaszono, nie zajęły się zabudowania gospodarcze ani dach. Wewnątrz i częściowo na dziedzińcu znaleziono fragmenty rozerwanych nieszczęśników lub jednego nieszczęśnika, w środku zaś jeszcze dwóch gagatków. Do tej pory nie udało się ich zidentyfikować. Nie znaleźliśmy też

ani jednego żywego świadka wybuchu. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał.

– Wezwano właściciela pałacyku lub jego rodzinę? Może ci rozpoznają zabitych?

– Otóż w tym cały szkopuł, drogi panie Ilnicki! Posiadłość należała do pewnego bogatego kupca, który zmarł bezpotomnie pięć lat temu. Zgodnie z testamentem nieruchomość przejął magistrat miejski. Jako że podczas panowania pruskiego Warszawa mocno się wyludniła, pałacyk stał pusty i niszczał, jak wiele podobnych mu rezydencji, a ogród spokojnie porastał chwastami. Dopiero gdy do Warszawy ściągnął cesarz Napoleon ze swoją armią, budynek znalazł zastosowanie. Nie było pana wtedy w Polsce, ale pewnie pan słyszałeś, że nasze niemal wymarłe miasto zmieniło się z dnia na dzień w Paryż Północy. Z cesarzem zważyło się nam na głowy sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy, a do tego tłumy oficjeli, jakich to miasto jeszcze nie widziało. Wszystkie wolne nieruchomości zajęło wojsko, a te bardziej wystawne przekazaliśmy do dyspozycji sztabu Wielkiej Armii^[5]. W pałacyku mieszkali prawdopodobnie oficerowie. Nawet kiedy Napoleon wyjechał z Warszawy i sytuacja nieco się uspokoiła, posiadłość pozostała w rękach francuskich. Nie wiemy, kto i kiedy z niej korzystał, a nawet nie sposób tego ustalić. Jeszcze dziś zwrócę się w tej sprawie do sztabu marszałka Davouta, ale czy będzie łaskaw nam odpowiedzieć, trudno zgadnąć.

– Czy możliwe, że ofiarami są Francuzi? – mruknął Ilnicki.

– Wtedy już mielibyśmy tu tłumek żabojadów, a póki co żaden się nie pojawił. Szybko jednak zorientują się, że w ich posiadłości wydarzyło się coś dziwnego, dlatego jak najprędzej musimy dowiedzieć się, co tu się stało. Dlaczego, pyta pan? Gdyż kiedy rezydent francuski zapyta o to ministra policji, ten musi znać odpowiedź. Rozumiesz pan, kapitanie? To sprawa polityczna. Wtedy udowodnimy naszym gościom, że jesteśmy w stanie sami sobą rządzić i panować nad porządkiem we własnej stolicy. Jeśli ten wybuch miał być atakiem na Francuzów, musimy pierwsi znaleźć sprawców . My,

warszawska policja.

– Rozumiem, panie Gliński. Zrobię wszystko, co w mojej mocy...

Weszli do budynku głównymi drzwiami i znaleźli się w sieni, której podłoga została zdeptana dziesiątkami ubłoconych butów. Przeszli krótkim korytarzykiem, by znaleźć się w głównym salonie. Pan Michał wciągnął głęboko powietrze z wrażenia. Jeszcze dwie godziny temu myślał, że spędzi spokojny, nudny dzień na wólczędze po mieście, a teraz stał w środku krwawego pobojuwiska. Jakby w jednej chwili z sennej cukierni przeniósł się na pole bitwy.

Dzienne światło wpadało przez wielkie dziury, które kiedyś były oknami, doskonale oświetlając wszystkie szczegóły masakry. Ściany poharatane zostały odłamkami i obficie zbryzgane krwawymi szczątkami, do tego osmalone późniejszym pożarem. W wielu miejscach tynk odpadł całymi płatami, na podłodze razem z gruzem wały się potrzaskane, częściowo spalone meble. Ściana naprzeciw okna oberwała najbardziej, w kilku miejscach przecinały ją wyraźne pęknięcia i ziała w niej dziura, przez którą widać było korytarz. Do tego wszystkiego w powietrzu unosił odór spalenizny, w którym dominował smród spalonego mięsa i siarki. Trupy i proch – aromaty typowe dla pola bitwy.

Ilnickiemu rzucił się w oczy kominek, w którego palenisko wybuch wbił jakiegoś pechowca. Ciało zapaliło się od płonących bierwion i częściowo spłonęło. Został po nim poczerniały kadłub i niemal zupełnie nietknięte pożarem nogi z brudnymi, bosymi stopami. Przy szczątkach kucał chudy jegomość w wieku pana Michała, ubrany w czarny frak. Kiedy odwrócił się w stronę przybyłych, okazało się, że nosi opaskę podtrzymującą przy jednym oku urządzenie optyczne z kilkoma rozsuwanymi szklami powiększającymi. Było czymś w rodzaju rozbudowanego monokla, umożliwiającego zmianę soczewek. Mężczyzna – chorobliwie blady, z jednym okiem nienaturalnie powiększonym przez szkło i umazany na czole krwią i sadzą – wyglądał wręcz upiornie.

Kilka kroków obok rozgarniał nogą rupiecie wielkolud z gębą pokrytą bliznami po ospie i czyrakach. Ten nosił się z polską, na ramionach miał jasną chłopską kapotę, a na głowie przekrzywioną czerwoną konfederatkę obszytą czarnym barankiem. Wyglądał niczym kosynier Kościuszki.

– To pozostali śledczy, kapitanie – pan Augustyn zaprezentował policjantów. – Doktor Tytus Ritter, warszawski Niemiec, w czasie panowania pruskiego funkcjonariusz gestapo^[6], oraz Roch Gogiel – za insurekcji kościuszkowskiej służył dzielnie w milicji magistrackiej.

Były gestapowiec odłożył trzymane w dłoni szcypce, którymi dłubał w szczątkach zabitego, i podał rękę. Ilnicki skinął mu głową i uśmiechnął się lekko, ale po powitaniu z trudem powstrzymał się przed wytarciem dłoni o spodnie. Ritter wydał mu się oślizły i odrażający. Przykre wrażenie potęgowały jego wąskie, zaciśnięte usta, na których chyba nigdy nie gościł uśmiech. Pan Michał ciekaw był, jakim cudem Niemiec ocalał w pogromach, które warszawiacy urządzili pruskim funkcjonariuszom po wygnaniu szkopów z miasta. Ponoć większość pruskich policjantów i szpicli zadyndała na gałęziach oraz szubienicach lub zaliczyła nożem pod żebro. Pewnie Ritter znalazł się pod opieką sekretarza generalnego, który z jakiegoś powodu nie dość, że go ochronił, to w dodatku zdecydował się zatrudnić w polskiej policji.

Gogiel, mimo paskudnej gęby, budził znacznie więcej sympatii. Kipiał energią i radością życia, widocznymi w błyszczących, wesółych oczach. Ścisnął mocno dłoń kapitana i potrząsnął nią energicznie, a przy tym uśmiechnął się szeroko, prezentując imponujący zestaw zepsutych zębów. Ilnicki pamiętał, że milicja magistracka pełniła funkcje porządkowe i śledcze w czasie powstania kościuszkowskiego, a wywodziła się z miejskiej biedoty. Jej funkcjonariusze słynęli z deprawacji i braku dyscypliny, ale za to walczyli jak stado diabłów i w obronie miasta okazali niezwykle bohaterstwo.

– Wiemy coś więcej niż o świcie? – spytał krótko Gliński.

– Pewno, szefie. – Roch potrząsnął głową. – Było tu trzech ludzi. Jednego

rozerwało na kawałeczki, mniejsze niż skrawki mięsa w zupie rumfordzkiej. Drugi wylądował w kominku, a ostatni – wbity w szafę.

Wskazał na potrząskany, osmalony mebel, z którego faktycznie wystawały gołe nogi jakiegoś człowieka.

– Czemu tych dwóch było na bosaka? – zainteresował się pan Augustyn. – Przyleźli tu w zimę bez jakichkolwiek łapci? Czy może obrobili ich ludzie „ratujący” dobytek z pożaru?

– To akurat jestem w stanie wyjaśnić – odezwał się Ilnicki, podchodząc do ostatniego trupa. – Ludzie poderwani i ciśnięci siłą eksplozji mają w zwyczaju wypadać z obuwia. Nawet ze sznurowanych lub mocno obcisłych, sięgających za kolana i przeznaczonych do konnej jazdy botów. Często w czasie ostrzału, gdy znaleźliśmy się pod ogniem wrogiej artylerii, zdarzało się, że kanonierzy po prostu znikali, ale zwykle w miejscu, w którym stali, zostawały po nich buty. Zupełnie nietknięte.

– Co pan powie... – Gliński pokręcił głową. – Zdziwiające zjawisko, ale skoro twierdzi pan, że to niemal prawidłowość...

– Ta informacja rzuca ciekawy obraz na to znalezisko – odezwał się Ritter i sięgnął po leżący w kącie worek. – Mam tu co ciekawsze eksponaty, które udało mi się wydobyć z ciał i znaleźć w pomieszczeniu. Myślałem jednak, że te buciki po prostu wypadły z szafy i co najwyżej mogły dać nam jakąś informację o osobach zamieszkujących pałacyk. Stały o tutaj, jeśli dobrze pamiętam.

Ułożył dwa damskie botki z cienkiej skórki niemal na środku pomieszczenia, naprzeciw dziury ziejącej w ścianie. Czubki obuwia skierował w stronę okien.

– Oho, tego się obawiałem. – Szeł westchnął. – Jednym z zabitych była kobieta. To tłumaczy porozrzucane jasne skrawki, które pewnie były jej suknią. Rochu, weźmiesz buty i obejdiesz z nimi co lepszych szewców. Spróbuj ustalić, w jakim warsztacie zostały wykonane. Może uda się

dowiedzieć, do kogo należały.

– Ha! Pójdę od razu do Kilińskiego – zadudnił wielkolud, biorąc buciki i pakując je do kieszeni. – On zna wszystkich majstrów szewskich w mieście.

Ilnicki pochylił się nad trupem w szafie. Zabity miał okrwawioną, mocno pokierszowaną odłamkami pierś. Z podartego ubrania sterczały kawałki połamanych żeber i wbitych w ciało drzazg. Tak jak osobnik w kominku, przetrwał w jednym kawałku, ale tylko on z poszkodowanych miał niemal nieuszkodzoną twarz. Rękę zaciskał na rękojeści starego bandoletu.

– Nie daliście mi, łaskawi panowie, skończyć meldunku. – Roch podszedł do trupa. – Wiem, kto to jest, szefie. To Kolba, syn złodzieja z Nowego Miasta. Stara łachudra i złodziej. Za młodu chodziliśmy razem na robotę, a potem żeśmy służyli w milicji. Rzucił jednak ten fach, kiedy nie pozwolili nam rabować trupów w czasie bojów o miasto. Znikł mi ostatnio z oczu. Myślałem, że już dawno go powiesili albo dostał w łeb, jak to wśród andrusów^[7] bywa.

– Po spodniach sądząc, ten spalony był podobnej mu proveniencji – zauważył Gliński. – Mamy zatem dwóch warszawskich bandziorów i kobietę w butach mogących należeć zarówno do szlachcianki, jak i aksamitki^[8] spod barbakanu. Dlaczego wszakże kobietę rozerwało na maleńkie kawałeczki, a tych dwóch nie?

– Wydaje mi się, że to znalezisko może nam coś powiedzieć – powiedział doktor Ritter i z worka z dowodami wyciągnął kawał wygiętego żelastwa. – Niech pan kapitan łaskawie spojrzy, bo wydaje mi się, że to kawałek kuli armatniej.

Ilnicki wziął do ręki znalezisko. Żeliwo pokryte było czarnym śluzem, jak się szybko okazało – krwią lub wnętrznościami. Pan Michał domyślił się, że Prusak wyciągnął je z trupa. Doktor natychmiast się zreflektował i mamrocząc po niemiecku przeprosiny, podał oficerowi szmatkę do wytarcia rąk.

– Jeśli panowie pozwolą, przedstawię swoją wizję wydarzeń, do których tu doszło – powiedział gestapowiec. – Kobieta stała na środku pomieszczenia, przy stole, z którego nic nie zostało prócz śladu po nogach w podłodze. Dwaj obwiesie znajdowali się po dwóch stronach salonu. Jeden wszedł tymi drzwiami i stanął przed kominkiem, drugi wszedł drugimi drzwiami. Skąd takie indywidua się tu wzięły? Może byli opiekunami dziwki, którą tu właśnie wprowadzili?

– Francuzi sprowadzili sobie dziewczynkę z rynsztoków Starego Miasta? – prychnął Roch. – Bajdurzysz pan, doktorku. Ci, co mieszkają w pałacach, nie takie dzierlatki ryćkają.

– Nie przeczę, mogę się wszak mylić, stawiam jedynie hipotezy. – Prusak wzruszył ramionami. Zdjął z twarzy uprząż z soczewkami i mechanicznie zaczął je przecierać szmatką odebraną z rąk Ilnickiego. – Nie wiem, skąd i po co się tu wzięli, odłóżmy to na razie. Wracając do wydarzeń, dziewczyna stała w tym miejscu, tyłem do stołu, zwrócona do okien. W tym momencie padł strzał. Armatni. Kula wleciała przez okno i trafiła prosto w kobietę lub minęła ją i eksplodowała za jej plecami, na ścianie. To mogła być bomba zapalająca lub granat z kartaczami, prawda, panie kapitanie? Większą część energii wybuchu przyjęło ciało kobiety, dlatego uległo całkowitemu zniszczeniu.

Gliński spojrzał pytająco na pana Michała.

– Co pan na to?

– Niewykluczone. – Oficer pokiwał głową i uniósł odłamek. – To żeliwo faktycznie pochodzi ze specjalnej amunicji artyleryjskiej – z kuli, która była wypełniona ładunkiem, czyli z granatu. Sądząc po rozmiarze, musiała pochodzić co najmniej z armaty dwunastofuntowej lub z obłężniczego moździerza. Trafienie przez okno byłoby jednak niemożliwe, bo moździerze służą do strzałów pod dużym kątem, ich kule przelatują ponad murami i spadają z góry. Natomiast do strzału z armaty w okolicy musiałoby pojawić się kilkunastu artylerzystów do jej obsługi, łącznie z zaprzęgiem sześciu koni

do ciągnięcia. Poza tym podejrzewam, że tak potężne działo ugrzęzłoby w błocie.

– Mhm. – Sekretarz generalny skinął głową. – Do tego wszystkiego musieliby strzelać z dziedzińca lub z ulicy przez otwartą bramę. Po co ktoś miałby robić coś takiego? To bez sensu.

– Skąd zatem wzięła się rozerwana kula? – spytał Ritter.

– Ktoś ją tu przyniósł – spokojnie odparł Ilnicki. – Leżała na stole, pomiędzy kobietą a ścianą. Tylko nie jestem pewien, czy jeden pocisk mógł wyrządzić aż tak duże szkody. Może granatów było kilka?

– Ale dlaczego wybuchły? – dociekał doktor.

– Kobieta mogła podpalić lont zapalnika któregoś z nich. Odwróciła się i zrobiła krok w kierunku okna. Granat eksplodował i *arrivederci*. – Pan Michał uniósł cylinder i podrapał się po głowie. – Nie wiemy tylko, dlaczego to zrobiła.

W dziurze okna pojawiła się brodata twarz Szai. Żyd wskoczył do środka. W wyciągniętej ręce, niczym trofeum, trzymał worek.

– Ta joj! Zebrałem, co się dało, kapitanie – oświadczył. – I w samą porę, bo przy bramie pojawili się francuscy kirasjerzy. Franek pewno zaraz ich wpuści, musicie się pospieszyć z oględzinami.

– Bierz fanty^[9] i znikaj.

Stateczny pan Gliński w jednej chwili zaczął się ruszać żwawo jak młodziak. Zabrał z ręki Ilnickiego odłamek, wrzucił go do worka, w którym zgromadził dowody doktor Ritter, i podał sakwę Szai. Żyd schował obydwa tłumoki pod połami chałatu, ale nadal go nie zapinał, chyba by nie krępować sobie ruchów. Ukłonił się obecnym i ruszył chyłkiem do tylnego wyjścia.

Niemal w tej samej chwili od głównych drzwi dobiegło łomotanie wojskowych buciorów. Do środka wpadło kilku kirasjerów w hełmach z imponującymi pióropuszcami i w charakterystycznych, błyszczących półpancerzach chroniących piersi. Prowadził ich oficer w dwurożnym

kapeluszu i mundurze z ciężkimi epoletami oraz sztywno postawionym kołnierzem, niemal wbijającym się w policzki. Na oko dobiegał czterdziestki, za to miał młodzieńczo błyszczące oczy.

– Witam – powiedział po francusku. Obrzucił zgromadzonych uważnym spojrzeniem, szukając dowodzącego policjantami. Oględziny trwały dwa uderzenia serca, potem żołnierz zwracał się już tylko do Glińskiego, ignorując pozostałych. – Jestem generał Charles Morand. Przejmuję budynek i wszystko, co się w nim znajduje. Nie muszą już panowie kłopotać się tym incydentem, sprawą zajmie się Wielka Armia.

– Miło pana poznać, generale. – Siwowłosy ukłonił się nieznacznie, jednak panowie nie podali sobie rąk. Oficer nie zamierzał kłaść honoru pospolitowaniem się ze stróżem prawa. – Jestem prawnikiem i urzędnikiem w Zarządzie Policji, chciałbym zatem nalegać na możliwość uczestniczenia w wyjaśnieniu tego dziwnego zdarzenia. Polskie prawo gościnności zostało tu złamane, ktoś zaatakował naszych drogich przyjaciół pod warszawskim dachem. Wydaje się, że udział polskiej policji w śledztwie jest nieodzowny.

– Doprawdy, jesteśmy wdzięczni, a ja osobiście wręcz wzruszony waszym zaangażowaniem i gotowością do działania. – Francuz uśmiechnął się szeroko i, zdawałoby się, szczerze. – Niestety, musimy potraktować ten wypadek jako wewnętrzną sprawę Wielkiej Armii. Przywykliśmy do prania własnych brudów samodzielnie, pan rozumie, armia ma swój kodeks i przepisy. Proszę odwołać ludzi i opuścić teren.

– Nie wydaje mi się, by była to tylko wasza wewnętrzna sprawa. – Gliński odpowiedział uśmiechem. – Zginęły tu trzy osoby, z których jedną udało nam się już rozpoznać. Odkrycie tożsamości pozostałych to kwestia czasu, a wygląda na to, że cała trójka była obywatelami Warszawy. Łącznie z zabita kobietą...

Generał spoważniał, jego twarz ściągnął grymas gniewu, a może bólu, Ilnicki nie był potrafił tego stwierdzić. Na wszelki wypadek stanął u boku zwierzchnika, by dodać mu otuchy. Ritter starał się wtopić w ścianę i niemal

mu się to udało, natomiast nierozumiejący rozmowy, ale widzący zmianę w zachowaniu Francuza Gogiel przesunął się, ustawiając z drugiej strony szefa. Na tę demonstrację poparcia jeden z kirasjerów położył dłoń na rękojeści rapiera, groźnie strzygąc wąsiskami.

– Gdzie jest jej ciało? – zimno spytał Morand.

– Obawiam się niestety, że wszędzie. Znalazła się pod wpływem głównej fali wybuchu.

Oficer w jednej chwili się rozluźnił. Jeszcze raz obrzucił pomieszczenie wzrokiem, nie spoglądając na policjantów.

– Mieszkańcy Warszawy są obywatelami sprzymierzonego z Francją księstwa, a zatem możemy ich traktować jako podopiecznych cesarza. Zależy nam na ich bezpieczeństwie i znalezieniu winnych ich niefortunnej śmierci – przemówił. – I dopilnujemy, by incydent został wyjaśniony, obiecuję to panu. Policja dostanie od nas stosowny raport ze śledztwa. A teraz proszę opuścić teren, natychmiast.

Gliński skłonił się i ruszył do wyjścia, a za nim jego trzech śledczy.

– Dziękuję za służbę, panowie. – Uśmiechnął się do nich, gdy stanęli przed jego powozem. – Zabierzcie kapitana Ilnickiego do warsztatów, niech się rozgości. Ja muszę wracać do Pałacu Saskiego, do pracy urzędniczej. Prześlę posłańcem dokumenty dla pana, Ilnicki, razem z kwotą z funduszu mundurowego i służbową bronią. Aha! Proszę kupić sobie buty.

Pan Michał spojrział na swoje wysłużone obuwie. Podeszwa prawego właśnie ostatecznie się oderwała i but ział rozwartą paszczą.

– Chyba udam się z Rochem do szewca Kilińskiego. – Kapitan skinął głową.

– Dobrze. Obawiam się, że dziś już się nie zobaczymy, bo wieczorem mam kolację u pana Bogusławskiego, dla którego tłumaczę sztukę. A potem, oczywiście, wizytę w teatrze, rzecz nieodzowną – dodał pan Augustyn, ładując się do powozu.

Zmarznięty woźnica zaciął konie i powóz ruszył, z mlaskiem tnąc kołami błoto. Głina pomachał swoim śledczym na pożegnanie i pogrążył się w rozmyślaniach.

Rozdział 4

Pracownia Jan Kilińskiego, mistrza cechu szewskiego, a także dawnego pułkownika w armii Kościuszki, nie była małym zakładzikiem w ciemnej norze, tylko przyzwoitą manufakturą. Dom, stojący przy ulicy Szeroki Dunaj, szczyił się zajmującym cały parter sklepem z butami. W oficynach na tyłach budynku huczała robota w warsztatach, nad którymi znajdowały się mieszkania czeladników. Była to prawdziwa perła Starego Miasta, przez które przeprowadził pana Michała rozgadany Gogiel. Wielkolud mieszkał tu od urodzenia, znał każdy dom i uliczkę, a także – jak się zdawało Ilnickiemu – każdego oberwańca i proszalnego dziada. Do zakładu szewskiego wprowadził kapitana jak do siebie, złapał za kołnierz najbliższego czeladnika i zażądał widzenia z mistrzem Kilińskim.

Po kilku minutach sławny patriota zaprosił przedstawicieli władzy do siebie, do domu. Przyjął ich w zagraconym sprzętami salonie. Ubrany był w granatową czamarkę, a siedział w masywnym fotelu wykonanym w stylu empire. Na stoliku przed nim stała czara z naparem i leżały rozłożone papiery z tabelkami przychodów i rozchodów. Sam Kiliński dobiegał pięćdziesiątki, ale lata spędzone w Twierdzy Pietropawłowskiej dały mu mocno w kość i postarzyły o kilka lat.

– Wybaczcie, panowie, że nie wstanę, by was powitać, ale reumatyzm mi dokucza. Pamiątka po łasce carycy Katarzyny, wyniesiona z jej mokrych i zimnych lochów. – Mówiąc to, podwinął poły czamarki, by ukazać stojącą na podłodze blaszaną miskę z gorącym ziołowym naparem, w którym moczył stopy.

– Ależ proszę się nami nie kłopotać, pułkowniku. – Ilnicki wyprężył się na baczność, a potem z namaszczeniem przedstawił najpierw siebie, a potem

swego towarzysza. – To dla mnie zaszczyt spotkać i poznać pana.

Kiliński uśmiechnął się, a potem wsadził w usta dwa palce i zagwizdał. Niemal natychmiast do pomieszczenia wpadło młode dziewczę. Mistrz kazał jej przynieść kubki dla gości i garniec węgryzna zagrzanego z korzeniami. Pan Michał dostrzegł w rysach twarzy nastolatki podobieństwo do szewca. Polecenie ojca wykonała błyskawicznie, widocznie w kuchni grzał się cały gar przysmaku dla niedomagającego na zdrowiu staruszka.

– Doskonale robi na zmarznięte gnaty, szczególnie w taki ziąb. – Gospodarz przepił do gości. – A do tego poprawia humor i sprowadza błogie sny. Proszę się rozgościć, panowie, siadajcie. Mam, jak widzicie, nowe meblowanie salonu, trza wypróbować te francuskie rupiecie. Przyznać muszę, że wyglądają solidnie, a i są całkiem wygodne.

Policjanci przysiedli na wskazanej kanapie. Gogiel uśmiechał się szeroko, zadowolony z przyjęcia. Wychylił swój kubek dwoma głęboki łykami i otarł usta rękawem, gospodarz nic sobie jednak nie robił z jego barbarzyńskiego zachowania, sam wszak wyrósł z miejskiej biedoty. Ośmielony tym Ilnicki darował sobie grzeczności, rozmowy o pogodzie i zdrowiu dzieci, od razu przeszedł do rzeczy. Poprosił mistrza o ekspertyzę damskich bucików, nie wdając się jednak w szczegóły sprawy. Kiliński zgodził się i z zaciekawieniem obejrzał obuwie.

– Mocno znoszone, na piętach skóra nieco już się przeciera – zauważył. – Przydałoby się poprawić kołeczki w podeszwach i przesyć przy piętach.

– Kołeczki? – burknął Gogiel.

– Podeszwy są klejone z kilku warstw skóry i nabite drewnianymi kołeczkami, zupełnie jak wojskowe obuwie. Nie użyto żelaznych gwoździków, znaczy, że to tańszy wyrób.

– Ale to nie jest obuwie biedoty, prawda? – spytał pan Michał.

– Nie, skąd, podeszwa nie jest drewniana, tylko skórzana, wygodna i miękka. Skóra licowa, ładnie błyszcząca, była często tłuszczona. Buty

należały do kobiety niezbyt zamożnej, ale dbającej o siebie i swoje stroje. Hm, powiedziałbym, że właścicielka pochodzi z ubogiej szlachty. Stopę ma wąską i dość długą. Wysoka, może mieć nawet trzy łokcie wzrostu, ale jest szczupłej i delikatnej budowy. Stąpa lekko, zwiewnie, z pewnością dobrze tańczy.

– Nimfa – mruknął Gogiel. – Raczej nie pasuje na kurwę.

– Czy jest pan w stanie oszacować, kto wyprodukował i sprzedał te buty? – spytał oficer.

– Na pewno nie ja. Znam każdą parę pochodzącą z moich warsztatów – mruknął gospodarz. – Nie ma znaku cechowego wewnątrz, o proszę, niech sam pan spojrzy. Nie ma też inicjałów mistrza. Zrobił je ktoś niezrzeszony i pozbawiony rzemieślniczych tytułów. W mieście nie ma już takich szewców, ale na prowincji jest ich pełno. Niektórzy są naprawdę świetnymi fachowcami, ale żyją w ciemnocie, w jakiejś zapadłej wsi lub zapomnianym miasteczku.

– Zatem obuwie nie pochodzi z Warszawy. – Pan Michał westchnął i schował buty do kieszeni. – Musimy poszukać niezamożnej rodziny pochodzącej spoza miasta, której córka lub matka, wysoka i szczupła kobieta, nie wróciła dziś wieczorem do domu. Dziękuję, panie pułkowniku.

– Nie ma za co. Zawsze z największą radością służę ojczyźnie. Czy to w boju, czy ciężką pracą, czy choćby pomocą policji. – Kiliński skinął głową. – Proszę się nie krępować i przychodzić, kiedy tylko panowie sobie życzą. A teraz może jeszcze wychylimy po kubeczku?

Gogiel z uśmiechem napełnił naczynie gospodarza, ale gdy próbował nalać wino do swego kubka, Ilnicki odwrócił go do góry dnem.

– Dziękujemy za gościnę, ale jesteśmy na służbie. Mam tylko jeszcze jedną prośbę, prywatną. Nie byłoby nietaktem, gdybym przy okazji spytał, czy nie znalazłby pan w swoim sklepie czegoś dla mnie?

– Ależ skąd, dobiorę panu buty z prawdziwą przyjemnością – powiedział

Kiliński i wstał, ciągle mając nogi w misce. Znow włożył dwa palce w usta i gwizdnął przeciągle. – Agnieszko, proszę o ręcznik!

Rozdział 5

Wyszli z królestwa mistrza szewskiego po godzinie z okładem. Zadowolony z zakupu Ilnicki maszerował sprężysto, po raz pierwszy od wielu tygodni stawiając nogi pewnie i bez obawy, że zgubi podeszwy. Stare Miasto było jedyną częścią miasta całkowicie wybrukowaną, kapitan mógł więc kroczyć bez obawy o utonięcie w błocie. Sięgające niemal kolan, wykonane na wojskową modłę buty z weluru kosztowały sporo, ale pan Michał miał nadzieję, że pokryje wydatek z obiecanego funduszu mundurowego.

Czuł się coraz lepiej. Właściwie po raz pierwszy od powrotu do Warszawy nie zadრęczał się myślami o długach ani fatalnej pozycji rodziny. Otrząsnął się z marazmu i pożerającej go melancholii. W żyłach krew krążyła coraz zwawiej, umysł pracował z każdą chwilą sprawniej. Wdychał głęboko zapachy miasta, dopiero teraz naprawdę je smakując. Wreszcie miał wrażenie, że po latach tułaczki zaczyna wracać do domu. Na swoje miejsce.

– Dużośmy się od szewca nie dowiedzieli – mruknął Roch. – Nic to, teraz pójdę do siedliszca ohydy i zepsucia popytać o Kolbę i jego kompanię. Może tam coś wyniucham. Pan kapitan miał iść do pracowni, może powiem, gdzie to i, póki co, rozstaniemy się.

– Dzień młody, zdążę i pójść z tobą, i potem, jeszcze przy dziennym świetle, obejrzyć dowody. – Machnął ręką pan Michał. – Prowadź to tego siedliska ohydy.

– Nie będziesz pan zachwycony. – Gogiel spojrzał na przełożonego z boku. – To nora, w której zbierają się szumowiny tego miasta.

– Nie wiesz, w jak plugawych miejscach byłem w czasie swoich wojaży. – Oficer uśmiechnął się. – Warszawskie zbójnickie kloaki mi niestraszne.

Prowadź.

– Boję się, że będą kłopoty, jeśli wejdzie tam ktoś obcy...

Po raz pierwszy olbrzym zrobił niepewną minę, ale i ona nie wywarła najmniejszego wrażenia na kapitanie. Potrzebował przygody, by rozruszać mięśnie i przypomnieć sobie, jak to jest być człowiekiem czynu. Dawnemu milicjantowi nie pozostało zatem nic innego, jak zaprowadzić nowego szefa do jednej z bardziej plugawych karczm w mieście.

Zeszli przy murze barbakanu wąską ścieżką w dół, w kierunku Wisły. Po paru minutach marszu znaleźli się w dawnej jurydyce zwanej Mariensztatem, zabudowanej ciasno kamieniczkami, w których podwórkach mieściły się warsztaty rzemieślników najróżniejszego autoramentu. Czym bliżej rzeki, tym domy stały coraz rzadziej, wreszcie kamienice ustąpiły drewnianym budom i samotnie stojącym chałupom. Pomiedzy nimi tkwiła stara karczma – duży dwór z poddaszem. Ściany z sosnowych bali całkiem poczerniały ze starości i rozeschły się, tworząc przerwy, które przez lata łątano smołowanymi pakułami.

Policjanci weszli przez krótką sień do ciemnej, przestronnej sali. Przez małe okienka z szybami z mętnego szkła leniwie sączyło się dzienne światło. Pod sufitem tkwiły kandelabry zrobione z kół od wozów, gęsto naszpikowane łożówkami. Przy podłużnym stole w kącie karczmy, mimo wczesnej pory, siedziało kilku ponurych typów w towarzystwie dwóch podstarzałych dziwek. Całość wyglądała jak przeniesiona z siedemnastego wieku. W takich miejscach czas zatrzymał się dawno temu.

Gogiel podszedł do karczmarza, chudego mężczyzny w nieokreślonym wieku z mocnym rozbieżnym zezem. Ilnicki spokojnie kroczył za wielkoludem. Widząc naprawdę paskudne gęby klientów przybytku, którzy nie spuszczaali z przybyłych wzroku, poczuł się nieswojo. Czy nie przesadził z euforią i ochotą do pchania się w kabałę? Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie ma swojej szabli ani żadnej innej broni.

– Witajcie, panie Kolecki. – Roch skinął głową karczmarzowi. –

Dawnośmy się nie widzieli.

– I Bogu dzięki, jakoś nie tęskniłem – burknął zezowaty, opierając się oburącz o stół. – Nie potrzeba nam tu szpicli i salcesonów^[10]. Czego pan chcesz?

– Przyszedłem się spotkać z moim starym druhem, Kolbą. Nie widzieliście go ostatnio? Nie wiecie, z kim chodzi na robotę i gdzie ma melinę^[11]? Może u was trzyma fanty? – Gogiel kątem oka obserwował obwiesi zgromadzonych w kącie. Dziwki wstały i przeszły w drugi koniec pomieszczenia, czyli zanosiło się na rozróbę, w której nie chciały brać udziału.

– Kolba? Nie znam – wyzywająco warknął szynkarz.

Ilnickiemu od początku nie podobał się ten brudny typ, na miłą śmierdziało od niego stręczycielstwem, paserstwem i przemytnictwem. W dodatku nie dało się powiedzieć, gdzie właściwie patrzył albo czy mrugając, nie dawał znaków typom w kącie.

– Czegu tu szukasz, Dziobaty? – spytał jeden z bandziorów, obrzucając Rocha nielubianym przez niego przezwiskiem z dawnych czasów. – Przyprowadziłeś nową dziewczynę? Twoja narzeczona? Ali chcesz byśma ją wypróbowali? Niech ściąga galoty i się wypnie.

Wszyscy zgodnie zarechotali, patrząc wyzywająco na kapitana. Śmiał się też karczmarz, za nic mając powagę urzędu, którą reprezentowali przybyli. Oficer szybkim ruchem chwycił go za tłuste, rzadki kłaki na czubku głowy i pociągnął w dół. Ręce zezowatego rozjechały się na boki, a twarz trzasnęła w masywny blat stołu. Chrupnął miażdżony nos. Mężczyzna wrzasnął z bólu. Pan Michał pchnął zakrwawionego szynkarza i założył ręce na piersi.

– Może trzeba odświeżyć ci pamięć, chłystku? Gadaj, co wiesz o Kolbie, i to szybko!

Karczmarz, zgięty wpół, wył z bólu, oburącz trzymając się za krwawiący nos. Bandziory poderwały się od stołu, w ich łapach pojawiły się noże

i krótkie pałki.

– Pewnie i tak byśmy tego nie uniknęli. – Gogiel westchnął, a potem wyszczerzył się w szerokim uśmiechu do zwierzchnika.

Ilnicki odpowiedział uśmiechem i złapał najbliższą ławę. Chciał unieść ją nad głowę i cisnąć w przeciwników. Niestety, wszystkie meble zostały przybite gwoździami do podłogi, by uniknąć wykorzystania w podobnych sytuacjach. Grasanci znów zarechotali.

– Ściągaj spodnie, salceson – parsknął pryszczaty typ, który pierwszy zaczął policjantów. – Szykuj dupę, zobaczymy, czy da się z ciebie zrobić dziewczeczkę.

Roch jednym ruchem rozwiązał sznur, którym związana była jego kapota i rozsunał jej poły. Sięgnął do niewidocznej dotychczas pochwy u pasa i wyciągnął z niej tasak pruskiej piechoty – krótką szabelkę o ostrzu długim na łokieć. Ryknął basowo i ruszył naprzeciw bandziorom. Dał susa na ławę, z niej wskoczył na stół i wymierzył kopniaka w głowę najbliższego przeciwnika. Zasłonił się ostrzem przed cięciem nożem i natychmiast zaatakował, tnąc napastnika w ramię.

Ilnicki skoczył z gołymi rękami na mężczyznę, który próbował zająć Gogiela z tyłu. Pryszczaty drab odwrócił się do kapitana i splunął mu w twarz, po czym runął na niego, wymachując pałką, z której końca sterczały wbite pod różnymi kątami żelazne hufnale. Kapitan wygiął się w tył. Pałka świsnęła przed jego twarzą. Pan Michał wyprostował się i błyskawicznie, niczym atakujący wąż, trzepnął pięścią w bok głowy przeciwnika. Bandzior jęknął i zatoczył się, tracąc równowagę. Oficer znów zrobił rozpaczliwy unik. Tym razem z boku ktoś próbował go dźgnąć nożem. To jedna z dziwek. Zdradziecka suka! Złapał wyciągniętą rękę za nadgarstek i szarpnął ją do siebie. Trzasnął czołem w twarz prostytutki, aż zadudniło. Wykręcił jej rękę i wyrwał nóż. Kobieta usiadła na ziemi, a po sekundzie zwała się bezwładnie na bok.

Tymczasem olbrzym przyjął główne siły wroga na siebie. Rąbał i ciął znad

głowy jak oszalały. Zmusił złoczyńców do cofnięcia się, obficie zraszając ich krwią ściany i podłogę karczmy. Wprawdzie większość broczyła z płytkich ran na ramionach i nikt nie sprawiał wrażenia ciężko rannego, ale w błyszczących oczach obwiesi płonąła żądza mordu. Dwaj policjanci podpisali na siebie wyrok.

– Ja wam dam, skurwysyny – wybełkotał przez łyzy zakrwawiony szynkarz.

Sięgnął za stojącą przy drzwiach do kuchni beczkę i wydobył stary muszkiet z odpiłowaną w połowie lufą. Odciągnął kurek i uniósł broń. Kapitan, który stał dwa kroki od niego, ze zgrozą zauważył, że panewka broni była obficie podsypana prochem. Kolecki cały czas trzymał obrzyna gotowego do strzału!

Nie zastanawiając się ani chwili, oficer rzucił się na karczmarza i podbił ręką lufę. Zezwolaty zadziwiająco sprawnie wymierzył mu cios kolbą, ale chybił. Ilnicki już się z nim zwarł i przystawił ostrze zdobycznego noża do gardła.

– Spokój! – ryknął. – Spokój, bo urżnę mu łeb!

Bandyci zastygli w bezruchu. Druga z pańienek klękła przy towarzyszce i próbowała ją ocucić. Pryszczaty, ciągle oszołomiony ciosem kapitana, wyraźnie stracił animusz. Rzucił pałkę na podłogę i usiadł na najbliższej ławie.

– Odpowiesz wreszcie na pytanie, gdzie urzęduje Kolba? – Ilnicki spytał cicho rozdygotanego karczmarza. – Czy mam urżnąć ci ucho w ramach poprawiania pamięci?

– Robi teraz z młodym Jaśkiem i Chromym. Mieszkają u tego pierwszego, w chałupie na Powiślu. Szara buda z zarwanym dachem na wprost wylotu Drewnianej. Naprzeciw kapliczki.

– Z jakim Jaśkiem? – sprecyzował Gogiel.

– Cholera wie, czy ma jakieś nazwisko. Syn niedawno zmarłego piaskarza, nowy w fachu.

– Przesiaduje zwykle z kompanami u starej Mańki – niespodziewanie odezwała się dziwka cucąca towarzyszkę. – Tu przychodzą tylko upłynnić^[12] fanty. Idźcie już, panowie policjanty, nic więcej się nie dowiecie.

Ilnicki pchnął szynkarza, aż ten usiadł na podłodze. Wyrwał mu z ręki muszkiet i wyciągnął z kurka krzemień, zabezpieczając w ten sposób broń. Skinął na Rocha i pierwszy wyszedł na zewnątrz.

– Nie spodziewałem się, że z pana taki chojrak^[13] – powiedział Gogiel, gdy odeszli kawałek od karczmy.

– To tylko rozgrzewka, panie śledczy. – Kapitan uśmiechnął się. – Coraz bardziej jestem ciekawy, kto i po wysadził w powietrze kobietę w pałacu. Podejrzewam, że rozwalimy jeszcze niejednego łeb, zanim się tego dowiemy. Wiesz, gdzie jest melina starej Mańki?

– Pewno. Kiedyś często się tam bywało. To traktiernia na Powiślu, dla rybaków i robotników z okolicznych manufaktur.

– Prowadź zatem – krótko rozkazał pan Michał.

Rozdział 6

Otoczone wysokim płotem drewniane zabudowania na ulicy Niskiej jeszcze kilkanaście lat wcześniej pełniły funkcję wojskowych laboratoriów, zajmujących się głównie fabrykacją amunicji i fajerwerków. Na skutek protestów okolicznej ludności, która bała się, że pewnego dnia warsztaty wylecą w powietrze i pożar pochłonie całą jurydykę, a może nawet i większą część miasta, produkcję przeniesiono do Kuźni Artylerii Koronnej przy pałacu Słomińskich. Budynki przez kilka lat stały puste, jak wiele rządowych i prywatnych zabudowań w wyludnionej Warszawie czasu pruskich rządów, potem skoszarowano tu francuskie wojsko, a gdy te się wyniosło, laboratoria przejęła policja. Gliński kazał urządzić w pawilonach magazyny na zarekwirowane towary i dowody w prowadzonych śledztwach, w największym budynku mały areszt śledczy i biuro badawcze z prosektorium. To właśnie miejsce policjanci nazywali „warsztatami” i tu miał zjawić się kapitan Ilnicki. I zjawił się, zgodnie z poleceniem Glińskiego, ale dopiero wieczorem i w towarzystwie Gogiela, niosącego przerzuconego przez plecy nieprzytomnego chłopaka. Obaj policjanci szli rozchwianym krokiem, ale trzymali się niezłe, zważywszy na ilość trunków, które dziś wypili.

Roch zadudnił pięścią w drewnianą bramę posesji i rozdarł się na całe gardło, wzywając Macieja, który pełnił tu funkcję stróża. Mężczyzna otworzył im zaskakująco szybko i ponagłająco machając ręką, wpuścił do środka. Strażnik warsztatów okazał się żwawym, chudym staruszkiem z imponującymi białymi wąsiskami. W czasach augustowskich był magistrackim inwestygatorem^[14], a pan Augustyn znalazł go kilka miesięcy temu żebrzącego pod kościołem i przywrócił do służby. Maciej skinął

Ilnickiemu głową na powitanie, obrzuciwszy go przy tym ciekawym spojrzeniem.

– Śmierdzi od was gorzałą na milę – chrypiącym głosem powiedział staruszek. – Ekscelencja nie będzie zachwycony...

– Jaka znowu ekscelencja? – spytał pan Michał.

Gogiel drgnął i zaklął ze zgrozą. Zdawał sobie sprawę, że Maciej nie dość, że kocha Glińskiego całym sercem, to traktuje go z najwyższym możliwym szacunkiem. Jeśli już kogoś tytułował „ekscelencją”, to mogło chodzić wyłącznie o sekretarza generalnego policji.

– Jak to... ekscelencja? – jęknął wielkolud. – Przecież miał mieć kolację z dyrektorem teatru, a potem iść na przedstawienie. Sam nam mówił!

– Widocznie zmienił plany. – Ilnicki wskazał na powóz stojący na placu otoczonym przez zabudowania warsztatów.

W pierwszej chwili nie zauważyli w ciemnościach odsłoniętego wozu, którym zwykle podróżował ich szef, ani kręcącego się przy pojeździe woźnicy. Pomaszerowali żwawo w kierunku głównego budynku. W oknach na dole widać było światło. Ilnicki poprawił cylinder i kołnierz koszuli, Gogiel splunął tylko na ziemię i śmiało ruszył do środka. Za drzwiami natknęli się na ciężki kontuar, przy którym w przyszłości miał zasiadać dyżurny, obecnie jednak nie było nikogo. Przeszli długim, ciemnym korytarzem z dwoma lub trzema drzwiami, które Roch zignorował. Zapukał dopiero w ostatnie i poprawiając przewieszzonego przez bark nieprzytomnego chłopaka, wszedł do rozjaśnionego dwoma świecznikami salonu.

Przed przysadzistym piecem kaflowym klęczał Szaja Appenszlak i pogrzebaczem poprawiał ogień w palenisku. Obok, na długim, masywnym stole leżały rozłożone rupiecie oraz pogięte i porwane wybuchem żeliwo – dowody przywiezione z miejsca zbrodni. Przy blacie, na wysokim krześle, siedział doktor Ritter, przeglądając własnoręcznie sporządzony spis znalezisk. Gliński stał przy oknie, tyłem do sali. Kiedy drzwi się otworzyły

i mężczyźni weszli do środka, odwrócił się niespiesznie, pykając z fajki.

Kapitan czuł się strasznie głupio. Wiedział, że na twarz wypłynął mu rumieniec wstydu. Nie dość, że nie posłuchał przełożonego i natychmiast nie przybył na posterunek, to pierwszego dnia pracy urznął się jak świnia. Choć nie widział złości na twarzy oficjalisty, był przekonany, że szef musi być wściekły. Pan Michał w ostatniej chwili powstrzymał się przed zasalutowaniem do cylindra, niezdarnym ruchem zdjął nakrycie głowy i wyprężył się na baczność.

– Widzę, że udało się wam aresztować podejrzanego – spokojnie zauważył Gliński. – Rochu, połóż tego nieszczęśnika na kozetce. Wygląda bardzo słabo.

Faktycznie, przez nienaturalną pozycję, w której podróżował, twarz chłopaka zrobiła się purpurowa. Zaczął też charczeć i jęczeć. Kiedy tylko wielkolud rzucił go na pozbawione choćby siennika łóżko, młodzieńcem wstrząsnęły wymiotne skurcze. Gogiel podsunął mu drewniane wiadro.

– Pozwoli pan, że wyjaśnię swoją nieobecność i przedstawię postępy śledztwa. – Ilnicki prężył pierś, trzymając pod pachą cylinder niczym ułan swoją rogatywkę.

– Spocznij – rozkazał pan Augustyn. – Bardzom ciekaw, co panowie robiliście przez cały boży dzień. I co skłoniło was do picia żydowskiej, podłej siwuchy. Śmierdzi od was fuzłami jak z gorzelnianej kadzi. Proszę zdjąć pelerynę, nie musi pan już stać, jakby połknął kij. Tam jest wieszak.

Oficer posłusznie zawiesił na nim pelerynę i nakrycie głowy, a potem złożył ręce za plecami i zaczął zwięźle meldować:

– W toku śledztwa udało się nam dotrzeć do współnika zabitego w zamachu bandyty o pseudonimie Kolba. To ten młodzieniec. Wiek mniej więcej siedemnaście lat, nazywany po prostu Jaśkiem. Nazwisko nieznane, możliwe, że nie posiada. W czasie przesłuchania zeznał, że w feralną noc, w towarzystwie Kolby i Chromego, który jest prawdopodobnie drugim

zabitym, udał się na Żoliborz celem przeprowadzenia rozbójniczego napadu.

– Hersztem bandy był Kolba – wtrącił Roch. – Ten szczeniak miał stać na czatach, nie jest kosiorem^[15] z prawdziwego zdarzenia, jeszcze nie posmakował krwi.

– Przestępcy nie mieli wypatrzonego celu napaści – kontynuował pan Michał. – Parę godzin włóczyli się po okolicy, czekając na okazję. Ofiarą miał paść samotny przechodzień lub przejeżdżający powóz. Kolba jednak zdecydował się na wtargnięcie na teren pałacyku. Po przeskoczeniu płotu bandyci zatrzymali się, by wybrać dogodny moment do ataku. Dostrzegli wtedy stojącą na dziedzińcu bogato zdobioną karetę, z której wysiadło dwóch mężczyzn – francuski oficer i dostojnik w peruce. Po chwili przed pałacyk podjechała buda, która przywiozła młodą kobietę w jasnej sukience i o blond włosach. Kobieta weszła do pałacyku, a tylnym wejściem wtargnęli tam Kosa i Chromy. Mieli obezwładnić przybyłą i zacząć się na dwóch Francuzów. Wtedy nastąpił wybuch.

– Postanowiliśmy sprawdzić, czy dziewczka była aksamitką z miasta, mającą obsłużyć żabojadów – znów wtrącił Roch, który bezczelnie rozwalił się w stojącym w kącie fotelu. – Aby nie tracić czasu, pan Ilnicki zdecydował, że odnajdziemy opiekuna zabitej, znaczy znajdziemy burdel, w którym pracowała. Kobiątka była wysoka, młoda i bardzo ładna, umiała ponoć pięknie tańczyć. Tak powiedział mistrz Kiliński. Stwierdziliśmy, że właściciela takiego cukiereczka z pewnością szybko odszukamy. Jeśli oczywiście panna była dziwką. Wzięliśmy więc chłopaka i ruszyliśmy na poszukiwania...

– I z każdą burdelmamą musieliście wypić kielicha? – spytał Szaja.

– Żałujesz, że cię z nami nie było? – burknął olbrzym.

– Razem ze śledczym Gogiem przeprowadziliśmy przesłuchania właścicieli domów publicznych, szczególnie w okolicach, gdzie kwitnie handel żywym towarem – formalnym tonem kontynuował Ilnicki. – Odwiedziliśmy osiem przybytków na Trębackiej, kolejnych kilka na Żabiej, dalej była Świętojańska, Wałowa i Oboźna. Darowaliśmy sobie zamtuzy

stojące w okolicach koszar, jak również dziewczki uliczne, bo nasza, przynajmniej według opisu Jaśka, na równie plugawą nie wyglądała. Przyznaję, że by zachować dobre stosunki z indagowanymi, byliśmy zmuszeni w ich towarzystwie spożywać napoje serwowane w lupanarach z wyszynkiem.

Gliński wydmuchnął dym, więc wyrazu jego twarzy kapitan nie dostrzegł.

– Wie pan, że nie dalej jak trzy miesiące temu sporządziliśmy kartotekę większości aksamitek w mieście? – znad papierów odezwał się doktor Ritter.
– Z opisami wyglądu i stanem zdrowia. Wydaliśmy też każdej książeczki zdrowotne. To potrzebne do utrzymania porządku zgodnie z Kodeksem Napoleona. Cała kartoteka jest w pokoju za ścianą.

– Ale co by nam dał rysopis dziwki? – burknął Roch. – Chcieliśmy się dowiedzieć, która burdelmama wysyła dziewczynki Francuzom i która z jej dziewczyn nie wróciła z nocnej roboty. Tego w pana kartotekach nie ma.

– I ustaliście tożsamość zabitej? – spytał sekretarz generalny.

– Niestety nie – odparł pan Michał. – Okazało się, że obywatele francuscy bardzo chętnie korzystają z usług warszawskich prostytutek, często bywają w lupanarach i czasem biorą dziewczyny do siebie. Także oficerowie i kanceliści, zdarza się, że bardzo wysoko postawieni. Okazuje się jednak, że z żadnego z przybytku nie zaginęła wczoraj dziewczyna.

– Mniejsza z tym – burknął Szaja, wreszcie zamykając drzwiczki pieca i podnosząc się z klęczek. – Po pierwsze, w wybuchu zabiło dwóch bandytów i jakąś nieznaną bliżej dziwkę. Srał ich pies, i jednego, i drugiego mamy w Warszawie aż nadto. Po drugie, nic się nie stało dwóm wygalantowanym Francuzom. Po trzecie, zabojady nie życzą sobie, byśmy węszyli przy tej sprawie. Roboty mamy aż nadto z wyłapywaniem przemytników zwożących do miasta angielskie towary, może więc zajmiemy się pilną robotą, a o tej sprawie jak najszybciej zapomnimy?

Zapadła cisza. Gliński zaczął przechadzać się po pomieszczeniu,

niespiesznie pykając fajeczką. Kilkakrotnie zerkał w okna.

– Mnóstwo osób życzy sobie, byśmy natychmiast zakończyli dochodzenie – odezwał się po dłuższej chwili. – Wyciągnięto mnie w tej sprawie z obiadu u pana Bogusławskiego. Zostałem postawiony przed ministrem policji, który nakazał wszelką dokumentację i zgromadzone dowody przekazać Francuzom. Skwitował całą sprawę podobnie jak pan Appenszlak, choć nie tymi słowy. Hrabia Potocki sprawiał wrażenie podenerwowanego, chyba dostał w tej sprawie polecenie z góry...

– Znaczy od kogo? – zahuczał Gogiel.

– Od premiera lub od pana Vincenta^[16] – odpowiedział Ilnicki.

– Jestem niezwykle ciekaw, czemu tak bardzo im zależy na zamknięciu tej sprawy? – Pan Augustyn uśmiechnął się.

Znów zapadła cisza. Kapitan przymknął powieki, walcząc z rosnącymi zawrotami głowy. Ciepło bijące od pieca powodowało, że wódka zaczęła go rozbierać. Trunek nie należał do najwyższego gatunku, więc teraz do gardła podchodziła mu treść żołądka. Miał wrażenie, że za chwilę dołączy do Jaśka, który w trakcie rozmowy zdążył już wymiotować kilka razy.

– Może najwyższa pora stwierdzić, że dziewczyna wcale nie była dziwką? – powiedział.

– Otóż to. – Gliński skinął głową. – A dwaj Francuzi wcale nie musieli być tym, na kogo wyglądali.

– I co, szefie, zrobimy? – spytał Roch.

– Chcę się dowiedzieć, co tam zaszło. Dla zasady. Nie lubię, gdy w moim mieście dzieją się jakieś paskudne rzeczy, a policja nic o nich nie wie. Kapitan Ilnicki spróbuje doprowadzić się do ładu i jeszcze dziś obejrzy znalezione odłamki. Jutro o świcie stawi się po nie posłaniec, który w imieniu Wielkiej Armii zabierze wszystkie dowody. To polecenie ministra. Ma pan zatem czas do rana, kapitanie. Do południa chcę widzieć meldunek z ekspertyzy na moim biurku, w Pałacu Saskim. Szaja zaczai się na posłańca

i wyśledzi, gdzie ów zanieśie przejęte dowody i komu odda. Roch zaopiekuje się tym dzieciakiem. Mam wobec niego pewne plany. A pan, doktorze, opisze ciała zabitych i przekaże je do pochowania w mogiłach biedoty, na koszt miasta. Dziękuję panom, miłej nocy.

Sekretarz generalny wysypał popiół z fajki i schował ją do kieszeni. Podszedł do wieszaka i zdjął frak. Wkładając go, spotkał się spojrzeniem z Ilnickim.

– Panie Gliński, proszę wybaczyć mi niedyspozycję. Pragnę zapewnić, że pijaństwo w trakcie służby nie jest u mnie normą i nie będzie się więcej powtarzało.

– Nie musi się pan tłumaczyć. Rozumiem, że było to koniecznością. Jeśli będzie usprawiedliwione pozytywnymi postępami dochodzenia, nie mam nic przeciwko. Martwi mnie jedynie, by nie uległ pan deprawacji. Rozumiem, że wy, śledczy, macie bezpośredni kontakt z przestępcami, że złem i zepsuciem, nurzacie się w nim, brudzicie dla dobra miasta, dla nas wszystkich. Wielu zdolnych policjantów, szkolników, inwestygatorów pogrzyżyło się w mroku tak głęboko, że ten ich pochłonał. Proszę na siebie uważać, kapitanie.

Pan Augustyn nałożył kapelusz i wyszedł.

Rozdział 7

Chrapanie Rocha zdawało się wstrząsać całym budynkiem. Ilnicki z bolesną miną spojrział na rozwalonego na podłodze i przykrytego własną kapotą wielkoluda. Nie miał już sił złościć się na byłego milicjanta, musiał przywyknąć do dudniących odgłosów, które ten wydawał. Nie przeszkadzały one zupełnie Jaśkowi, z upiornie bladą twarzą śpiącemu na służbowej kozetce. Pan Michał nawet raz sprawdził, czy chłopak żyje, ale wyglądało na to, że zatrucie wódką tylko go wymęczyło. Kapitan za to czuł się jak wyciągnięty z grobu. Wypił wszystko ze skromnych zasobów kuchni, czyli dzbanek zwietrzałego piwa i dwa kubki skwaśniałego mleka, ale i tak czuł w gardle pustynną suszę. Najgorszy był jednak upiorny ból głowy, utrudniający skupienie. Skronie ścisnęły niewidzialne imadła, a w czoło aniołowie walili niebiańskimi młotami. Ilnicki nie spodziewał się, że służba w policji może okazać się tak ciężka.

Resztkami sił zgarnął ze stołu do skrzyni pozostałe odłamki zebrane na miejscu wybuchu. Westchnął ciężko. Wrzucił do pojemnika także spis przygotowany przez doktora Rittera, po czym zakrył wieko. Ostatnia świeczka dopalała się powoli, więc za chwilę i tak musiałby skończyć robotę. Jeszcze raz spojrział na jedyne pozostawione na blacie znaleziska pracowicie wygrzebane z rupieci. Spośród odłamków, kawałków sprzętów i drobnych przedmiotów zwróciło jego uwagę kilkanaście kół zębatach, wyglądających jak części dużego zegara. Nie znalazł nigdzie tarczy ani wskazówek, za to do zegarowej sprężyny przymocowano trzpień z zamocowanym pistoletowym kurkiem. Czymkolwiek było to urządzenie, raczej nie służyło do pomiaru czasu.

Zebrał zagadkowe szczątki i wsunął do płóciennego woreczka. Ten nie

trafi do Francuzów, ale razem z meldunkiem kapitana zostanie rano przekazany Glińskiemu. W liście do szefa Ilnicki wyliczył na podstawie oględzin odłamków, że w pałacyku wybuchło mniej więcej sześć dwunastofuntowych granatów, tyleż sześciofuntowych, co najmniej jeden fajerbal^[17] i jeden kartacz gronowy. Całkiem pokaźny składzik artyleryjski ktoś zgromadził na Żoliborzu.

Przez chwilę kapitan zastanawiał się, czy nie zdrzemnąć się obok Rocha na podłodze. Dzięki kaflowemu piecowi w pomieszczeniu było bardzo ciepło i przytulnie, aż się nie chciało wychodzić na grudniową noc. Niestety, trudno byłoby zasnąć w towarzystwie chrapiącego wielkoluda, więc zerknął na dokument zostawiony przez Glińskiego, w którym było napisane, że „pan Michał Ilnicki został mianowany funkcjonariuszem Policji Krajowej”. W kieszeni przyjemnie ciążył mu służbowy kawaleryjski pistolet AN VIII, nowoczesna francuska pukawka. Poza tym szef zostawił mu jeszcze, jako fundusz mundurowy, całe pięćdziesiąt czerwonych złotych. Zatem miał przy sobie sumę pozwalającą spłacić pozostałe długi brata. Miło będzie przekazać je bratowej, Hania wreszcie odetchnie.

Kapitan ubrał się i wyruszył w drogę do domu. O trzeciej nad ranem miasto pogrążone było jeszcze w głębokim śnie. Po pustych ulicach hulał wiatr, błoto ściał mróz i można było wreszcie maszerować bez obawy zapadnięcia się po kostki. Świeże, rześkie powietrze powoli stłumiło ból głowy, odeгнаło senność i zmęczenie. Ilnicki czuł się, jakby znów był żołnierzem i wracał do koszar po nocnej służbie. Gdzieś tam, w ciemnościach, za linią frontu, czaił się wróg, zmuszając do wzmożonego wysiłku, ale świadomość jego obecności motywowała i dodawała sił.

Nie wiedzieć kiedy dotarł do kamienicy kupionej dawno temu przez ojca. Teraz bratowa wynajmowała większość mieszkań, sama zadowolając się trzema niewielkimi pokojkami, gnieźdząc się w nich z trójką dzieci i gosposią. Pan Michał sypiał w najmniejszym z pomieszczeń, dotychczas należącym do służącej. Nie mógł jednak o tej porze łatwo dostać się do

mieszkania. Musiał najpierw dłuższy czas łomotać w furtę bramy, by obudzić stróża, ale nie na tyle głośno, by postawić na nogi wszystkich lokatorów. Wcisnął w dłoń zaspanemu mężczyźnie w gaciach i brudnej koszuli grosza i wreszcie wśliznął się do mieszkania. Marzył o łóżku.

W przedpokoju stała Hania z zapaloną świecą w ręku. Opatuliła się szlafrokiem, spod którego wystawała sięgająca kostek nocna halka. Długie, ciemne włosy spięła w niedbały, roztrzepany kok, przez który wyglądała młodo i wesoło. Figurę miała jeszcze dziewczęcą i miłą dla oka. Ilnicki poczuł falę błogości i, niespodziewanie, podniecenia, widząc ją ciepłą i potarganą, prosto z łóżka. Miał ochotę wziąć ją w ramiona, rozchylić szlafrok, pocałować. Dopiero po chwili dostrzegł, że twarz kobiety ściągnięta była troską. Szeroko otwartymi, wielkimi oczyma patrzyła uważnie na Michała. W jednej chwili zrobiło mu się przykro. Czy tak samo wyczekiwała na jego brata, który wracał nad ranem pijany z domu uciech, gdzie przy zielonym stoliku przegrywał majątek?

– Wszystko w porządku, Michale? Martwiłam się o ciebie – szepnęła niepewnie, jakby z obawą. – Czekaliśmy z obiadem, potem kazałam Jance zostawić dla ciebie kolację. Kasza ze skwarkami czeka na kuchni, jeszcze ciepła.

Pewnie rozeźlony przegrany małżonek wpadał w gniew, gdy wyczekiwała tak na niego niczym żywy wyrzut sumienia. Bił ją? Wyzywał? Ilnicki zdjął cylinder i uśmiechnął się łagodnie.

– Wybacz, Haniu, zatrzymały mnie pewne sprawy – powiedział.

Kobieta cofnęła się o krok. Przez jej twarz przebiegł grymas strachu, może obrzydzenia. Wyczuła przetrawioną wódkę w jego oddechu, dostrzegła chwiejne ruchy. Opuściła wzrok, czekając, aż się rozbierze.

– Zostawię ci świecę – powiedziała. – Pójdę już.

– Czekał. – Złapał ją za dłoń.

Nie wyszarpnęła ręki, ale cała zeszywniała. Spojrzała mu w oczy. Bił od

niej smutek i ból, kapitan dostrzegł też strach. Mąż brał ją po pijanemu? Gwałcił? Zmuszał do ohydnych czynów? Tego samego spodziewała się po nim?

– Znalazłem zajęcie, pracę – powiedział. Wyciągnął z kieszeni kamizelki mocno wypchany pugilares i włożył go w jej dłoń. Dopiero wtedy ją puścił. – Tu jest ponad sto pięćdziesiąt czerwieńców. Razem z dwiema setkami, które mamy w kufrze, wystarczy do spłacenia ostatniego wierzyciela. Zostanie tylko hipoteka domu do pokrycia. Za rok, dwa będziemy wolni.

Patrzyła oniemiała to na niego, to na pugilares.

– Będziesz pracował? Ty?

Groźnie zmarszczył brwi.

– Nie bierz mnie za brata. Nie wszyscy Ilnicy są utracjuszami – odparł z urazą w głosie. – Od dzisiaj jestem dowódcą Wydziału Policji Śledczej przy Biurach Policji Krajowej. Będziesz mogła żyć w spokoju, bez troski o brak środków do życia.

– Nie musisz mnie o tym zapewniać, wiem, że nas nie zostawisz. Jesteś człowiekiem honoru, udowodniłeś to, otaczając mnie i dzieci opieką – powiedziała i uśmiechnęła się po raz pierwszy od tygodni. Michał poczuł gorąco rozplływające się w piersi. Mimo że nieuczesana i bez gorsetu, wyglądała obłądnie. Uśmiech niesamowicie ją odmładzał i dodawał uroku. – Cieszę się i co dzień Bogu dziękuję, że Joachim miał ciebie za brata. Wiem, jakim jesteśmy dla ciebie obciążeniem i nie potrafię wyrazić wdzięczności za to, co dla nas robisz.

– Nie musisz mi dziękować. To nie tylko mój obowiązek, Haniu – wyjaśnił. – Zaopiekowałbym się tobą, nawet gdybyś nie była moją bratową. Kocham was, ciebie i dzieci, jak własną rodzinę.

Hania znów się uśmiechnęła, jej oczy lśniły ognistocie. Może zachętą, może obietnicą? Zbliżyła się do Michała, poczuł jej ciepło i zapach. Oszłamiający zapach gorącej kobiety, która dopiero co wyszła z łóżka. Wsunęła mu świecę

w rękę i położyła dłoń na piersi, a potem pocałowała w usta. Tylko lekko musnęła, ale i tak mało nie zemdlął z podniecenia.

– Ależ jesteśmy rodziną – szepnęła. – I też wszyscy bardzo ciebie kochamy.

Odwróciła się i znikła w pokoju, w którym spała razem z dziećmi. Ilnicki musiał oprzeć się o ścianę i parę chwil łapać oddech, by zapanować nad chucią. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio miał kobietę, ale chyba minęły wieki. Potem, gdy dotarł do kuchni i szukał w niej czegoś do picia, z trudem się hamował, by nie zacząć śpiewać. Dawno nie czuł się tak szczęśliwy. Zasnął snem sprawiedliwego, pełen nadziei i zadowolenia.

Wreszcie wrócił do domu. Do swego domu.

Rozdział 8

Ministerstwo Policji było młodym i jeszcze małym urzędem. Nie zostało podzielone na wydziały, a zajmowało jedynie kilka gabinetów w Pałacu Saskim. Garstka oficjalistów, kancelistów i sekretarzy od kilku miesięcy gorączkowo próbowała opanować chaos i stworzyć urząd z prawdziwego zdarzenia. Na ich barkach spoczywało nie tylko dbanie o bezpieczeństwo w Księstwie, ale też o więziennictwo, cenzurę prasy, służbę celną i wywiadowczą, łapanie włóczęgów i szpiegów, pilnowanie urzędów i budynków publicznych, walkę z fałszerzami, organizację straży pożarnej, stan dróg i wywóz nieczystości, a nawet odśnieżanie ulic.

Od ranka policyjni urzędnicy miotali się z dokumentami, gnali w tam i z powrotem po korytarzach, wrzeszczeli na siebie i toczyli heroiczny bój o opanowanie sytuacji. Porządek i cisza wracały, gdy do *ministerium* przychodził hrabia Potocki. Uspokoić urzędników potrafił także pan Gliński, który brał ich grzecznością i życzliwością. Nie szczędził pochwał i chętnie rozdawał awanse oraz premie – ku niezadowoleniu skąpego ministra. Sekretarz generalny przybywał do pałacu rankiem, po drodze zahaczając o ulubioną cukiernię, gdzie wypijał kawę. Siedział w kancelarii do południa, po czym wyruszał na obiad. Wracał do pracy koło piętnastej, ale nie zawsze, czasem bowiem na mieście zatrzymywały go różne „śledztwa” i „dochodzenia”.

Tego dnia nie wytrzymał nawet do obiadu. Przystudiował kilkukrotnie meldunek od Ilnickiego i sprawozdanie z oględzin zwłok napisane przez doktora Rittera. Obejrzał kółka zębate, które tak zaintrygowały kapitana, a potem sporządził raport kończący dochodzenie dla ministra Potockiego. Nie pominął w nim wiele, wspomniął nawet o Jaśku, jedynym świadku

zdarzenia. Napisał też, gdzie młodzieniec jest przetrzymywany i że gdyby nie zamykano śledztwa, można by wykorzystać chłopaka do identyfikacji podejrzanych Francuzów. Potem przekazał dokument sekretarzowi i jeszcze nim zegar ratusza wybił południe, wymknął się z Pałacu Saskiego.

Tym razem nie zaszedł do żadnego z ulubionych lokali, a przez Marywil pomaszerował prosto na Stare Miasto. Wszedł w główną jego ulicę, Świętojańską, ciągnącą się na wprost Zamku Królewskiego, gdzie pewnym krokiem skierował się do jednej z kamienic. Wszedł do warsztatu zegarmistrzowskiego Franciszka Gugenmusa i zasapany, oparł się o stół, przy którym pracował młody terminator.

– Powiedz mistrzowi, że przyszedłem – mruknął do eleganckiego subiekta, który natychmiast stanął za jego plecami.

– Mistrz miał właśnie wychodzić, ale może jeszcze pana przyjmie. Proszę łaskawie usiąść i poczekać.

Gliński z ulgą opadł na wskazany fotel. Poluzował ciasno zawiązany fontaż^[18] i rozejrzał się z ciekawością po sklepie. Choć był tu nie pierwszy raz, zawsze z przyjemnością oglądał dzieła Gugenmusa. Stary Niemiec szczyił się posiadaniem tytułu *horloger du roi* – zegarmistrz królewski, nadanego mu przez króla Stanisława. Był ostatnim warszawskim rzemieślnikiem noszącym tak nobilitujące i zaszczytne miano. A że tytuł zobowiązywał, zegary pana Franciszka, wszystkie bez wyjątku, były istnymi cackami, obficie zdobionymi w barokowe ornamenty i piękne grawerunki. Błyszcząły polerowaną miedzią i złotem, lśniły szkłem i lakierowanym drewnem. W pomieszczeniu zdawały się wszystkie żyć, brzmiało nieustanne tykanie, zlewające się w jeden szum niczym brzęczenie pszczoł w ulu.

– Jakże się cieszę. Dawno nie zaszczyił mnie pan swoją wizytą, kochany panie Augustynie! – Staruszek pojawił się w drzwiach szeroko uśmiechnięty, z rozłożonymi rękami, jakby miał wziąć policjanta w ramiona. Mówił płynną polszczyzną, bez śladu akcentu, albowiem wychował się i całe życie spędził w Polsce. – Mam dla pana kilka wspaniałych okazów. Przyszły z pocztą kilka

dni temu. Proszę do mnie, na górę.

Gliński uściśnął serdecznie rękę zegarmistrza, z ukosa przyglądając się jego strojowi. Sześćdziesięciokilkuletni mężczyzna nosił się według mody sprzed pół wieku. Kolorowy surdut, czarne spodnie do kolan, spod których wystawały białe pończochy, trzewiki na obcasie z wielkimi, srebrnymi sprzączkami, a przede wszystkim biała peruka z lokami nadawały mu wygląd dworzanina z odległych czasów.

Wprowadził policjanta do swego przestronnego gabinetu w całości – od podłogi po sufit – wypełnionego książkami. Zbiór był imponujący, nie ograniczał się oczywiście do dzieł polskich, niemieckich i francuskich, zawierał także cenne rękopisy po łacinie. Oficjalista został usadzony przy wielkim biurku, na którym tykał zegar z tarczą otoczoną warszawskimi syrenami i z białym orłem w centrum. Gugenmus, gadając jak nakręcony, znikł na chwilę w garderobie, by wrócić z mahoniowym pudełkiem w jednej ręce i szkłem powiększającym w drugiej. Wręczył przyrząd policjantowi i zaczął podawać cenne przedmioty z pudełka.

– Kilka z tych okazów z pewnością pana zadowoli, to unikaty. Proszę, oto piękny portugalski Zygmunt Augusta. – Włożył w dłoń Glińskiego okazałą złotą monetę. – Do tego srebrny szóstak z tego samego okresu i niezłe zachowane dwa grosze, prawie zupełnie nieoberżnięte. Riksdaler, czyli srebrny talar szwedzki, i ten złoty ludior. Ale to tylko na przekąskę, głównym daniem jest to. Dostałem go od przyjaciela z Italii. Wszystko błędnie przy tym oto dukacie weneckim z czternastego wieku!

Sekretarz generalny aż poderwał się z krzesła i niecierpliwie zabrał się do oglądania ostatniej monety. Zaczął przy tym oblizywać usta i cmokać z zadowoleniem. Gugenmus zachichotał z radością.

– I co, podoba się panu?

– Drogi panie Franciszku, jest pan dla mnie zbyt dobry. To wyłącznie dzięki panu mam najpiękniejszą kolekcję monet w Księstwie. I te są wspaniałe, jak zwykle zresztą. Nie wątpię, że to autentyki. Biorę wszystko,

cena nie gra roli.

– Wspaniale! Zapraszam zatem na obiad i piwo dubeltowe do Kazimirusa.

– Oczywiście. – Gliński uśmiechnął się. – Pewno pan tam szedł i nieopatrznie pana zatrzymałem. Jednak nim wybierzemy się na przekąskę, mam prośbę. Czy byłby pan łaskaw przyjrzeć się tym szczątkom i określić, z jakiego urządzenia pochodzą?

Pan Augustyn odsunął monety i wysypał zawartość woreczka. Kółka zębate z brzękiem rozsypały się po blacie. Zegarmistrz zmarszczył brwi, odebrał szkło powiększające policjantowi i pochylił się nad przedmiotami. Tym razem to on zaczął oblizywać usta. Brał kółka w palce i obracał je, oglądając ze wszystkich stron, potem sprawnym ruchem posegregował, pistoletowy kurek na sprężynie odkładając na bok. Tymczasem policjant pieczołowicie włożył monety do kieszeni kamizelki.

– Mechanizm zegarowy pochodzący z francuskiej manufaktury pod Paryżem. Proszę, tu jest wybity znak cechowy i napis z numerem. Kółka wykonano z taniej blachy, coś paskudnego. Wycięto je maszynowo, rozumie pan? Świat schodzi na psy! Niedługo wszystko będzie się produkowało w fabrykach, kropka w kropkę tak samo. Tanie, tandetne wyroby, przeznaczone dla tłuszczy. Za pięćdziesiąt lat byle cham będzie miał zegarek w kieszeni, a za sto będą tykały w każdej chłopskiej chałupie. Brzydkie i fatalnie wykonane. Pora kłaść się do grobu.

– Niech pan się uspokoi. – Gliński poklepał mistrza po plecach. Zaniepokoił go żal i smutek w głosie staruszka. – Więc mówi pan, że to zegar. Po co był podłączony do kurka?

– Ktoś grzebał w tym zegarze i chyba wymontował z niego główny mechanizm, a potem podłączył do kurka. Gdy odmierzony czas dobiegał końca, ten wihajster zwalniał sprężynę. Ona rozwijała się gwałtownie i kurek opadał. Może uderzał w gong? – Gospodarz zamyślił się na chwilę. – Ciekawa koncepcja, ale nie wiem, czemu miałyby służyć. Słyszałem, że na zachodzie coraz częściej robi się zegary z pozytywkami. O pełnych

godzinach wygrywają melodyjki. Mamy tu podobny sposób działania.

– Gdyby w kurku tkwił krzemień i po zwolnieniu opadał na panewkę z prochem, mógłby spowodować zapłon? – spytał siwowłosy gość.

– Oczywiście. Ale, na miłość boską, po co podłączać spust pistoletowy do zegara?

– Żeby po określonym czasie od nakręcenia spowodował wybuch. Zadziałał jako zapalnik potężnej, nowoczesnej bomby.

– Nowoczesnej? – ze zgrozą zdumiał się starzec. – Cóż to za pomysł!

– To mechanizm bomby przyszłości, panie Franciszku. Bomby zegarowej.

Rozdział 9

Kapitan Ilnicki przybył do siedziby Wydziału Śledczego krótko po południu. Wyspał się za wszystkie czasy, a potem odświeżył, zażywając zimnej kąpieli. Hania kazała służącej oczyścić mu nowe buty, a sama rano pocerowała mu spodnie i pelerynę. Na śniadanie i obiad jednocześnie była wczorajsza kasza ze skwarkami, która zjedzona w towarzystwie pięknej i promiennie uśmiechniętej kobiety smakowała mu jak nigdy w życiu. Po drodze, w targowej jatce, kupił chłopakom z posterunku garniec piwa, chleb i zarżniętą kure, a na dokładkę, od stojącej w bramie wiejskiej baby, kawał białego sera. Roch Gogiel ucieszył się z prezentu radością wielkiego dziecka. Przywitał przełożonego wylewnie, jakby znali się od lat.

– Szef nie dał jeszcze znaku życia – zameldował. – Szaja też się nie pojawił, znikł, gdy przylazł posłaniec od Francuzów. Oddałem skrzynkę z dowodami, zgodnie z poleceniem. Potem przyszedł doktor Ritter i pomogłem mu załadować trupy na wóz. Zabrał je na cmentarz za rogatkami Powązkowskimi. A Jaśka zagoniłem do zamiatania, czyszczenia pieca, a potem szorowania podłogi. Chłopak jest chętny do roboty, śmiga jak fryga, nawet go w dupę nie musiałem kopać.

Jaśko uśmiechnął się niepewnie do kapitana, odrywając sobie kawał chleba podanego mu przez Rocha.

– Napalić pod kuchnią? – spytał. – Mogię skoczyć do jednej znajomej kramarki i kupić sól, marchew, pietruszkę i cebulkę. Byśma zrobili rosół z tej kury. Potrzebowałbym ino ze dwa grosze.

– Ha! Widział go pan, spryciarza! – zahuczał były milicjant. – I będę musiał cię potem ganiać po całym mieście?

– Nie ucieknie – z pewnością w głosie oświadczył Ilnicki, patrząc

chłopakowi w oczy. – Wie, że byśmy się wtedy pogniawali, a gdyby potem wpadł w nasze ręce, bardzo by nieposłuszeństwa pożałował.

– Może pan na mnie polegać, panie kapitanie! – Jaśko uderzył się pięścią w pierś, aż zadudniło. – Nigdzie nie ucieknę. Wrócę tu, przysięgam na pamięć mojego ojczulka, niech spoczywa w pokoju.

Oficer rzucił mu kilka dydek^[19].

– Kup więcej żarcia, bo chyba posiedzimy dziś dłużej. Śmigaj, no już. – Machnął ręką, jakby odganiał muchę. – Tymczasem ty, Rochu, zaprezentuj mi łaskawie nasze królestwo.

Policjanci ruszyli w obchód kompleksu przy Niskiej. Pan Michał przekonał się, że w głównym budynku, prócz posterunku, urządzono archiwum dokumentów i trzy cele aresztanckie, w okna pokoi wstawiając kraty. Sąsiedni budynek, przestronna chałupka, z której usunięto piec, pełniła funkcję prosektorium, a jej piwnica służyła za kostnicę. Podłogę posypywano często zmienianym piaskiem, by wsiąkała w niego krew, ale i tak w powietrzu unosił się trupi zapach. Ilnicki zauważył, że innym jego źródłem były wiszące przy wejściu stare fraki, które doktor Ritter stosował jako robocze ubrania.

Kolejna była stara kuźnia z piecem zaopatrzonym w miech. Potem obejrzelni sąsiadujące z kuźnią stajnie, obecnie puste. Większość koni w Warszawie zagrabili Francuzi, policja nie miała więc służbowych wierzchowców. W dalszych zabudowaniach, właściwie szopach, w których niegdyś składano amunicję i fajerwerki, znajdowały się opieczętowane magazyny z zarekwirowanymi angielskimi towarami. Pilnowało ich dwóch starsuszków siedzących w szopce strażniczej.

Panowie Jakub i Roman byli w wieku nieobecnego dziś Macieja, a wyglądali jak jego bracia. Pierwszy nosił białą, długą brodę, drugi golił się na gładko, prezentując paskudne blizny na pomarszczonej gębie. Sieć zmarszczek na jego twarzy nieustannie się poruszała, bo starzec ciągle żuł coś bezzębnymi dziąsłami. Obaj stróże nosili przekrzywione konfederatki^[20],

podobnie jak Gogiel, za to upiornie brudne i chyba faktycznie pamiętające czasy konfederatów barskich, od których pochodziła ich nazwa. Przywitali kapitana grzecznie, prezentując broń – masywny garłacz i zardzewiały muszkiet.

– Skąd ich Gliński wytrzasnął? – Ilnicki spytał śledczego, gdy odeszli kawałek. – Organizuje korpus weteranów i inwalidów policji czy co?

– Mniej więcej. Zatrudnia dziadów proszalnych, dawnych funkcjonariuszy lub żołnierzy, by nie pozdychali z głodu. – Roch wzruszył ramionami. – Takie ma upodobanie, wyciąga ludzi z rynsztoka.

Pan Michał nie skomentował, bo właśnie uświadomił sobie, że wobec niego sekretarz generalny policji postąpił właściwie tak samo. Miał dług wdzięczności wobec Glińskiego identyczny jak te, do niedawna, proszalne dziady.

Gdy zwiedzali zabudowania, pojawił się doktor Ritter. Zajechał na dziedziniec warsztatów, siedząc na koźle dwukółki zaprzęzonej w starą kobyłę. Prusak zeskoczył rażno z wozu i przywitał się z pozostałymi śledczymi. Na pace przywiózł kolejnego trupa, którego przekazali mu spotkani po drodze stójkowi. Był to ubrany w łachmany biedak, który prawdopodobnie zamarł ostatniej nocy po pijanemu. Medyk nie zamierzał nawet go oglądać, takich trupów trafiało się mieście na pęczki i szkoda było na nie czasu. W czasie, gdy Francuzi bili się z Prusakami i Rosjanami, po ulicach miasta wręcz walały się trupy żołnierzy, którzy spadali z wozów wiozących rannych oraz konających. Można powiedzieć, że Warszawiacy przywykli do makabrycznych widoków porzuconych ludzkich zwłok, a policja do ich sprzątnięcia. Mimo to Ritter był wściekły, że stójkowi potraktowali go jak zwykłego urzędowego grabarza. Uspokoił się dopiero, gdy do bazy wrócił Jaśko, niosąc worek pełen warzyw. Pasją doktora było gotowanie i błogość spływała na niego, gdy mógł szatkować, kroić i siekać. Zamknął się więc w kuchni i zajął przygotowaniem obiadu.

– Boję, że kiedyś z rozpędu uraczy nas smażoną wątróbką wyciągniętą

z jakiegoś nieszczęśnika. – Roch westchnął. – Cholera wie, co takiego robili z trupami funkcjonariusze gestapo. Całe miasto znało ich jako wyjątkowych śmierdzieli i bydlaków. Ritter jest niby inny, tak przynajmniej twierdzi szef, ale czy ja wiem? Co właściwie o nim wiadomo? Sam nic o sobie nie gada, zadziera tylko nosa. Woli siedzieć w trupiarni lub w kuchni. Dziwak.

Dla zabicia czasu i wykorzystania resztek dziennego światła Ilnicki udał się do archiwum i zabrał do studiowania kartotek prostytutek. Materiały zostały zebrane całkiem niedawno, można więc było traktować je jako aktualne. Czytał rysopisy warszawskich dziwek oraz notatki na temat miejsca ich pracy i przypadłości. Ze zgrozą skonstatował, że większość dziewczyn leczyła się lub przeszła nawet kilka kuracji na syfilis.

Odkładał na bok karty wysokich, szczupłych blondynek. Zrobiło się ich jednak zaskakująco sporo. Westchnął ciężko. Nic z tego badania nie wynikało, bo jak sam już wcześniej zaczął przypuszczać, zabita w wybuchu wcale dziwką być nie musiała. Praca jednak pozwalała kapitanowi poczuć się użytecznym i potrzebnym. A nuż trafi się co ciekawego w tych papierach? Los nagroził wreszcie zaangażowanie pana Michała ciekawym znaleziskiem. Karta jednej z dziewcząt została przekreślona i figurował w niej dopisek czerwonym atramentem: „zmiana zawodu”, na kolejnej natomiast, identycznie skreślonej: „zmiana stanu”. Ilnicki zabrał oba dokumenty i powędrował do kuchni.

W pomieszczeniu z otwartym piecem, w którym trzeszczały polana, pachniało dymem i gotującym się rosołem. Ritter, zdjęwszy frak i kamizelkę, uwijał się przy dwóch garach jedynie w samej koszuli. Chudy, błądy jegomość nabrał rumieńców od gorąca, a jego czoło zrosił pot.

– Rosół będzie z lanymi kluskami, a potem wygotowana kura w sosie warzywnym z kaszą – powiedział Prusak. – Na koniec legumina chlebowa.

– Prawdziwa ucztą, panie doktor. W wojsku nie karmili nas tak dobrze.

– W policji w ogóle nas nie karmią. Nie jemy, jeśli sami czegoś nie przygotujemy – odparł Ritter, a potem wyciągnął z kieszeni monokl

i przystawił go do oka, lustrując kapitana przez szkło. – Chyba nie przyszedł pan po zupełę, co? Czym mogę służyć?

Oficer pokazał medykowi karty, których większość wypełnił sam Niemiec. Ten wzruszył ramionami, jakby było to coś nieistotnego.

– Ach, te dwie. Pamiętam. Pierwsza awansowała w fachu i przeszła pod skrzydła pani Kiełczakowskiej. A dziwek z wyższych sfer nie mamy prawa kontrolować. Druga dziewczyna po prostu usidliła jakiegoś osobnika i ożeniła się z nim. To się zdarza, choć nieczęsto. Panienki szybko się starzeją i z dobrych lupanarów trafiają na ulicę albo do obskurnych burdeli przy koszarach. W końcu umierają na choroby Wenery lub zapijają się na śmierć. Rzadko trafia się im inny los.

Ilnicki z zadumą podrapał się w brodę kartami.

– Kiełczakowska to ta burdelmama, która była dziwką za czasów króla Stanisława?

– Bardzo wpływowa osoba jeszcze za Rzeczypospolitej. – Ritter skinął głową. – Wyszła za wachmistrza policji magistrackiej, który dzięki niej zrobił szybką karierę. Stał się wysokim urzędnikiem na królewskim dworze. Po jego śmierci pani Kiełczakowska wróciła do zawodu, ale już jako stręczycielka dla wysoko urodzonych. Jej panie do towarzystwa to najwyższa klasa, przeznaczone są tylko dla arystokracji.

– Tak, słyszałem o tym. – Oficer pokiwał głową. – Więc rekrutuje swoje pracownice także spośród zwykłych ulicznych. Ciekawe skąd jeszcze? Kim są jej dziewczęta?

– Głównie córki szlacheckie, dobrze wychowane, posiadające obycie i języki. Muszą umieć grać na instrumentach i prowadzić ciekawą konwersację po francusku. – Doktor, nie wyjmując monokla z oczodołu, odwrócił się i energicznie zamieszał bulgoczącą leguminę. – Wiem, bo za panowania pruskiego mój wydział próbował inwigilować to środowisko. Chcieliśmy z Kiełczakowskiej i jej panienek zrobić komórkę wywiadowczą,

ale się nie udało. Ta baba jest zbyt pazerna i niezwykle sobie ceni niezależność.

– Wydaje mi się, że właśnie od wizyty u tej damy powinniśmy byli zacząć śledztwo – mruknął kapitan. – Co mi strzeliło do łba, by włączyć się z Rochem po tanich burdelach?!

– Myślałem, że tak po prawdzie zrobiliście to dla zabawy. – Wąskie usta Prusaka ułożyły się w zimny uśmiech. – Wystarczyło mnie zapytać. Wiem to i owo o stosunkach panujących w Warszawie. Jeszcze by się pan zdziwił, jak wiele. – Medyk zanurzył łyżkę w zupie i siorbnął trochę gorącego płynu. – Będę lał kluski i za chwilę podam obiad. Niech będzie pan tak łaskawy i poprosi chłopaków do głównego gabinetu.

Mężczyźni zebrali się w parę chwil. Jaśko został wysłany z porcjami posiłku dla leciwych wartowników, a zanim wrócił, w warsztatach pojawił się Szaja. Towarzyszyły mu dwa wielkie psiska, które na szczęście zostawił na zewnątrz. Żyd sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie, radośnie wymienił się zaczepkami z Rochem, zrzucił chałat i usiadł z mężczyznami do stołu. Dowódca pozwolił mu w spokoju zjeść przed złożeniem meldunku. Zanim jednak to się stało, do posterunku wkroczył pan Gliński.

Pan Michał poderwał się i stanął na baczność, przyzwyczajony do takiej właśnie reakcji na wejście przełożonego do pomieszczenia. Jego śladem poszedł Jaśko, a po chwili konsternacji pozostali policjanci także odłożyli łyżki i wstali. Pan Augustyn machnął im niedbale ręką i kazał siadać. Odmówił też poczęstunku, tłumacząc, że przybywa prosto z karczmy. Usadowił się w jedynym fotelu, po czym wyciągnął z kieszeni zegarek.

– Czekają nas coś pilnego, szefie? – spytał Ilnicki. – Musimy się pośpieszyć z posiłkiem?

– Nie, skąd – bąknął z roztargnieniem sekretarz generalny, wyraźnie zajęty swoimi myślami. – Szaja, czegoś się dowiedziałaś?

Żyd z namaszczaniem odłożył łyżkę i wytarł rękawem usta.

– Zgodnie z poleceniem waszej miłości tropiłem posłańca, który wiozł skrzynię z dowodami. Dostarczył ją do dawnych koszar Gwardii Pieszej Koronnej na Faworach. Odebrał ją podoficer francuskich grenadierów – i to właściwie byłoby na tyle. Wszak nie mogłem się kręcić i podpytywać żołnierzy w koszarach, szczególnie że nie znam francuskiego. – Teatralnie zawiesił głos. – Zarobiłbym jedynie kilka kopniaków albo przymknęliby mnie jako ruskiego szpiega. Zbierałem się już do powrotu, gdy dostrzegłem stojących i woźniców krzątających się przy powozowni. Wszyscy powożący obsługujący Francuzów to nasi, więc pomyślałem, że jeśli mnie przyłapią, to jakoś się wyłgam. Przemknąłem się tam niepostrzeżenie i razem z pieskami obejrzelśmy sobie pojazdy. A że pozwoliłem sobie zabrać ową skórkową rękawiczkę, którą znalazłem w błocie przy pałacyku, dałem ją powąchać pieskom... I co?

– Chwyciły trop? – spytał Jaśko.

– Pewno! Zaprowadziły mnie do bogatej karocy: czarne pudło lakierowane, pozłacane ramy, mosiężne ćwieki na łączeniach, ale brak malunków z herbem.

– To ta! – Chłopak ożywił się. – To z niej wysiedli Francuzy!

– Pogadałem trochę z woźnicami, musiałem ich tytoniem poczęstować, co kosztowało mnie majątek. – Żyd spojrział z boleścią na Glińskiego. – I dowiedziałem się, kto zwykle powozi tym pudłem. Nie uda się nam jednak tego gagatka podpytać, bo rankiem wysłali go kareta pocztową do Berlina. Udało mi się za to ustalić, że z powozu korzysta sztab dywizji, a najczęściej generał Morand.

– Ten sam, który wygonił nas z pałacyku – mruknął Ilnicki.

– Nie jestem zaskoczony – odparł pan Augustyn. – Nie martw się, Szaja, dostaniesz zwrot za tytoń – razem z apanażem. A nasza sprawa zaczyna powoli się klarować. Rozmawiałem dziś z Gugenmusem i dowiedziałem się od niego...

– Z zegarmistrzem Gugenmusem? To on jeszcze żyje? – zdziwił się pan Michał. – W dawnych czasach uchodził za najlepiej poinformowanego człowieka w Warszawie.

– Nic się do dziś nie zmieniło. – Sekretarz generalny, który nawet nie obraził się, że podwładny przerwał mu w pół słowa, uśmiechnął się. – Oczywiście o wybuchu w pałacyku też wiedział – i to więcej niż my. Co z niego wyciągnąłem? Otóż ówże budynek na Żoliborzu był oddany do wyłącznego użytku generała Moranda. Nasz przyjaciel urządzał tam przyjęcia dla wysokich oficerów. A w noc wybuchu generał wrócił na swoją kwaterę w Zamku Królewskim w całkiem ubłoconym mundurze, jakby tarzał się w rynsztoku.

– Lub jakby wybuch cisnął go w kałużę. – Ilnicki skinął głową. – Wiemy zatem, że to jego widział Jaśko przed pałacykiem. Morand przyjechał w towarzystwie jakiegoś arystokraty, by przedstawić go damie do towarzystwa.

– Generał kazał usunąć się służbie, by nie peszyć gościa – kontynuował Gliński. – Widocznie przywiózł kogoś naprawdę znacznego, komu zależało na dyskrecji. Wróg cesarstwa wykorzystał moment, by dokonać zamachu na generała lub jego towarzysza i zostawił w pałacyku bombę zaopatrzoną w mechanizm zegarowy. Z jakiegoś powodu ładunek eksplodował zbyt wcześnie, zabijając jedynie damę lekkich obyczajów i dwóch bandziorów, którzy przypaętali się tam przypadkiem.

Wyciągnął z kieszeni fajkę i machinalnie zaczął ją nabijać, patrząc przy tym niewidzącym wzrokiem przed siebie.

– Mamy w Warszawie szpiega obcego mocarstwa, który chciał uśmiercić wysoko postawionego generała i jakieś książątko. Tych ostatnich jest u nas na kopy, odkąd w Warszawie bywa Napoleon. Cały czas zjeżdża do nas jakiś dygnitarz, królik lub pomniejszy władca z Niemiec czy innych stron. Jakby nasze miasto wyglądało w oczach cesarza, gdyby zamordowano tu francuskiego dowódcę i sprzymierzonego z Francją arystokratę? He?

– Morand chce wyciszyć sprawę, by nie dopuścić do skandalu. To dlatego kazano nam zamknąć dochodzenie – zauważył dowódca śledczych. – Może powinniśmy dać spokój?

Sekretarz generalny zogniskował wzrok na panu Michale. Po raz pierwszy od początku ich znajomości zmarszczył brwi, przyjmując – choć tylko w swoim mniemaniu – groźną minę.

– Zamachowcy detonują bomby w moim mieście, a ja mam puścić to płazem?! – Wymierzył ustnik fajki w kapitana. – Złapiemy konstruktora bomby i to zanim zrobią to Francuzi. Rozumiemy się? Potraktujcie to jako wyjątkowe zadanie, od którego zależy prestiż warszawskiej policji.

– Rozkaz! – Oficer skinął głową. – W takim wypadku proponuję przesłuchać panią Kiełczakowską. To ona zaopatruje francuskie dowództwo w dziewczęta i prawdopodobnie tylko ona wiedziała, że Morand i jego gość tej właśnie nocy odwiedzą pałacyk na Żoliborzu. Może to dawna burdelmama przekazała informację zamachowcowi?

Gliński poklepał fajką w otwartą dłoń.

– Doskonale, kapitanie. Wytypował pan główną podejrzaną. Niestety, tej damy nie możemy tak po prostu aresztować. Ma zbyt wielu wpływowych przyjaciół. Musimy wybadać ją delikatnie. Tylko jak właściwie do niej dotrzeć? Hm. Nie pozostaje mi nic innego, jak poprosić o pomoc moich braci z rytu.

Ilnicki spojrzał uważnie na szefa.

– Rytu? Jest pan masonem?

– Co w tym dziwnego? Każdy człowiek o umyśle otwartym na wiedzę i postęp, a sercu czułym na potrzeby cierpiących i biednych należy do loży. Spróbuję wykorzystać moje wpływy i załatwić na jutro wizytę u hrabiny czy jaki teraz tytuł nosi ta kobieta. Pójdzie pan ze mną.

– A co my mamy robić, szefie? – spytał Roch.

– Roznieść po mieście plotkę, że policja ma świadka zamachu, który

widział zarówno gości zmierzających do pałacyku, jak i zamachowca podkładającego bombę.

– Zrobimy z Jaśka przynętę? – domyślił się Szaja.

Chłopak patrzył kolejno w twarze policjantów szeroko otwartymi ze zgrozy oczyma. Mężczyźni spoglądali na niego bez okazywania emocji, najwyżej z zaciekawieniem.

– Jeśli nie uda nam się wyciągnąć nic z Kiełczakowskiej, może choć sprowokujemy zamachowca do ruchu. – Gliński uśmiechnął się. – Dobrze, wracam teraz do domu odpocząć. Proszę, kapitanie, wyznaczyć warty. Będziecie na zmianę pilnowali Jaśka. Macie nie spuszczać go z oka.

Młodzieniec z trudem przełknął ostatnią łyżkę zupy. Nie uśmiechało mu się zostać ofiarą wariata wysadzającego w powietrze budynki. Pozostawała mu tylko nadzieja, że policjanci pierwsi dopadną zamachowca.

Rozdział 10

Glińskiemu nie udało się szybko załatwić wizyty u pani Kiełczakowskiej, mimo że wspierało go kilku braci z loży masońskiej. Pan Augustyn należał do Wielkiego Wschodu Francji, największego na świecie rytu, którego członkiem był sam cesarz, a w Warszawie spora liczba dygnitarzy na czele z księciem Poniatowskim, ale mimo to niewiele zdziałał. Okazało się, że przez swoje związki z arystokracją stręczycielka jest nie do ruszenia, trzeba ją traktować niemal jak koronowaną głowę. Łaskawie wyznaczyła policyjnemu oficjelowi audiencję w swoim pałacu za dwa lub trzy dni, nie precyzując dokładnie, kiedy będzie gotowa go przyjąć. Ponoć i tak był to z jej strony przejaw dobrej woli i iście królewski gest.

Śledczy zajęli się więc mniej istotnymi sprawami. Appenszlak myszkował wśród Żydów, Roch zagłębił się w wąskie uliczki Starego Miasta, a doktor Ritter zamknął w prosektorium z kolejnym trupem jakiegoś łazęgi znalezionej na ulicy. Kapitan Ilnicki udał się z kolei do prochowni, by wy badać możliwości wyniesienia z niej amunicji moździerzowej, ale szybko doszedł do wniosku, że kradzież jest niemal niemożliwa i zamachowiec musiał mieć wsparcie jakiegoś oficera lub, co bardziej prawdopodobne, sam był żołnierzem.

Przy arsenale artyleryjskim pan Michał natknął się na znajomego jeszcze z Legionów, który od niedawna pełnił czynną służbę w armii Księstwa Warszawskiego. Porucznik Jakub Zielnik zaprosił dawnego kompana na obiad do koszar. Tak oto dowódca śledczych niespodziewanie zasiadł przy stole w towarzystwie kilku młodszych oficerów artylerii, którzy przyjęli go z szacunkiem i prawdziwie polską gościnnością. Z rozmowy z nimi wiele się jednak nie dowiedział. Arsenał był ponoć świetnie pilnowany

i niemożliwością wydawało się żołnierzom, by zginęło z niego kilka wielkokalibrowych kul. Żeliwne pociski, fajerbole i granaty należały do najdroższych narzędzi do zabijania i traktowano je z ogromną uwagą.

– Chyba że kule znikły, zanim dotarły do arsenału – zauważył Zielnik. – Raczej nie skradziono ich z transportu, bo byłaby afera. Nie zgadzałyby się stany przed wyładunkiem i po. Ale gdyby zabrano je bezpośrednio z wytwórni...

– W Warszawie fabrykuje się jeszcze amunicję do armat? – zdziwił się pan Michał. Z tego, co pamiętał, ludwisarnie i młyny prochowe zostały zniszczone przez Rosjan w czasie insurekcji kościuszkowskiej.

– Pewno, że się fabrykuje! Francuzi niechętnie nas ostatnio wyposażają, bo odkąd cesarz powołał do istnienia Księstwo, nasza armia musi radzić sobie sama – odparł któryś z młodzieńców. – Gisernię odbudowano tam, gdzie kiedyś się znajdowała. W Kuźni Artylerii Koronnej na Muranowie.

Ilnicki nie zdążył się tam udać, bo ani się obejrzał, a krótki grudniowy dzień się skończył. Zanim wrócił do domu, gdzie czekała na niego coraz częściej uśmiechająca się i coraz miłsza Hania, zaszedł jeszcze na Niską. Skontrolował sytuację w warsztatach, gdzie Jaśko przebywał w domowym areszcie. Policjanci nie przymknęli go w celi, pozwolili poruszać się swobodnie po ogrodzonym terenie, ale chłopak dostał zakaz wychodzenia na zewnątrz. Na oku bez przerwy miał go któryś z trzech starszaków-weteranów, młodzieniec musiał też co jakiś czas meldować się przebywającemu aktualnie w zabudowaniach śledczemu. Kapitan obsztorcował go za bezproduktywne siedzenie w oknie i kazał wyszorować piec, oczyścić popielnik i zamieść na całym posterunku. Jako stary oficer pan Michał wychodził z założenia, że nie wolno dać podwładnemu czasu na nudę. Trzeba zawsze wymyślić mu jakieś pożyteczne zajęcie.

Następnego dnia Gliński przysłał przez posłańca rozkazy na piśmie. W związku z dużą operacją policyjną śledczy zostali na cały dzień i wieczór przesunięci do pomocy zwykłej miejskiej policji porządkowej. Najmniej

ucieszył się z tego doktor Ritter, za to Roch aż palił się do wyjścia, twierdząc, że z pewnością dojdzie do ogromnej bijatyki i będzie kupa zabawy.

W południe pojawiło się w warsztatach kilkunastu stójkowych, którzy przyjechali dwoma wozami. Z magazynów wyprowadzono dwie zarekwirowane karety angielskie i załadowano je zgromadzonymi w szopach nielegalnymi towarami. Resztę rupieci zwalono na policyjne wozy i cała kawalkada pojazdów ruszyła w kierunku Starego Miasta. Śledczy, jako jedyni bez mundurów, kroczyli spokojnie w pewnym oddaleniu, stopniowo łącząc się z rosnącym tłumem ciekawskich. Zanim dojechano do Placu Zamkowego, policji towarzyszyła rozgadana hałastrą, oczekująca na pasjonujące widowisko.

Pan Michał bez emocji obserwował rosnące zgromadzenie. Warszawiacy nie wyglądali na wzburzonych, nie wznosili żadnych okrzyków, więc wbrew zapowiedziom Rocha nie zanosilo się na rozruchy. Na wszelki wypadek sprawdził jednak pistolet, spoczywający w jednej kieszeni, i otrzymaną od Rittera krótką, drewnianą pałkę, umieszczoną w drugiej. Odszukał wzrokiem podwładnych. Gogiel z racji wzrostu górował nad tłumem, łatwo dał się więc zlokalizować. Gadał w najlepsze z dwiema dziewczętami wyglądającymi na córki ubogich rzemieślników. Ritter stał w bramie, u wylotu jednej z uliczek prowadzących w głąb Starego Miasta. Skinął kapitanowi na znak, że wszystko u niego w porządku. Szaja natomiast przechadzał się, trzymając ręce w kieszeniach rozpiętego chałatu. Sytuacja na razie znajdowała się pod kontrolą.

Karety, ku uciesze gawiedzi, przewrócono na bok i zwalono na nie kupę towarów. Powozy zarekwirowano, ponieważ wybito na nich napis podający jako miejsce ich wytworzenia Londyn. Najpewniej jednak pudła wykonano w którejś z rodzimych wytwórni, ale co było częste, oznaczono je jako zagraniczne, bo Polacy nie chcieli kupować pojazdów zrobionych w kraju. Tak leżące pojazdy przywalono oryginalnie angielskimi wyrobami. Na piętrzący się wysoko stos wdrapał się młody urzędnik magistratu

w eleganckim fraku. Z namaszczeniem rozwinął dokument i donośnym głosem odczytał obwieszczenie.

Zgodnie z wolą Napoleona Wielkiego wszelki handel z Wielką Brytanią został surowo zakazany. Anglia, której cesarz nie mógł pokonać tradycyjnymi metodami, czyli militarnie, miała zostać zniszczona gospodarczo. Obłożono ją całkowitą blokadą, zamknięto przed brytyjskimi statkami wszystkie europejskie porty, a każdy przedmiot potencjalnie wytworzony na Wyspach podlegał konfiskacie. Księstwo Warszawskie cierpiało boleśnie na blokadzie, albowiem polskie zboże od stuleci płynęło do Anglii, a z niej przywożono do Polski najróżniejsze nowoczesne i modne wyroby. Pan Michał poczuł się niepewnie, gdyż w stercie piętrzących się, zakazanych skarbów dostrzegł pluszowe cylindry, niemal identyczne z tym, który miał na głowie.

Mundurowi policjanci, otaczający kordonem stos, zwarli szyki. Kilku z nich zerwało lak z glinianych dzbanów i zaczęło polewać piramidę kamfiną do lamp. Lepka ciecz spłynęła po balach doskonałego płótna, zwojach jedwabnych sukien i muślinów, pakach pluszu i zamszu, a co gorsza – też po gotowych wyrobach: meblach, kapeluszach, frakach i surdutach, bryznęła na ozdobne bibeloty, umbrele do świeczników, drewniane figurki, kałamarze. Kiedy urzędnik zlął z góry, a w jego ręku pojawiła się zapalona pochodnia, dla wszystkich stało się jasne, co też stanie się ze zgromadzonymi skarbami.

Tłum gęstniał z każdą sekundą, coraz bardziej szumiał i zaczynał falować. Ilnicki spotkał się spojrzeniem z Ritterem. Błada twarz doktora ściągnęła się ze strachu lub skupienia. Warszawiaków przestało bawić przedstawienie, pojawiła się za to irytacja, szybko przeradzająca się w złość. Biedny lud nie mógł spokojnie obserwować tak kolosalnego marnotrawstwa.

Pan Michał próbował wypatrzeć prowodyrów, inicjatorów rosnącego zamieszania, ale szybko doszedł do wniosku, że tych nie było. Warszawiacy szumieli sami z siebie, zaczęli złorzeczyć całkiem spontanicznie. Najpierw na władze miejskie, a po chwili na Francuzów. Urzędnik magistracki miał to

w nosie i z uśmiechem cisnął pochodnię na stos. W górę wystrzeliły płomienie i kłęby dymu. Ludzie przez chwilę z zapartym tchem patrzyli w ogień pożerający skarby, a potem ryknęli jednym głosem. Tłum ruszył i przerwał kordon. Na nic zdała się dzielna postawa policjantów, którzy zostali po prostu obaleni na bruk. Zebrani rzucili się w płomienie i zaczęli wyciągać z nich, co tylko się dało.

– Ratujcie kancelistę! Bo go rezerwą na strzepy! – wrzasnął kapitan, wyciągając pałkę.

Roch wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i młóćąc pięściami niczym rozpędzający się wiatrak, skoczył w tłum. Ilnicki ruszył za nim, piorąc pałką na lewo i prawo. Oberwał fangę w nos i cios w żebra, ale udało mu się dotrzeć do Gogiela. Wielkolud rozgarniał właśnie pochylonych nad urzędnikiem gagatków, którzy zerwali z niego surdut i spodnie. Młody kancelista twarz miał rozkwaszoną licznymi kopniakami, ale nie poddawał się. Wbił zęby w łydkę jednego z napastników, kopał i wierzgał, rozdając nieporadne ciosy na wszystkie strony.

Oficer smagnął pałką po tylnej stronie ud jednego z walczących oberwańców, zmuszając go do klęknienia. Kolejnego kopnął w tyłek, a gdy ten odwrócił się z gniewnym rykiem, trzasnął go pałką między oczy. Kątem oka zarejestrował ruch z tyłu, ale gdy się obrócił, ujrzał doktora Rittera wykręcającego rękę jakiegoś ulicznika uzbrojonego w nóż. Niewiele brakowało, a kapitan oberwałby ostrzem w plecy.

Cherlawy Prusak poradził sobie z roslym obwiesiem zaskakująco sprawnie. Pewnym chwytem za rękę zmusił go do wygięcia się w tył, a potem drugą dłonią ścisnął za nasadę szyi. Wpił palce w splot nerwowy, a bandzior bezwładnie runął na bruk. Doktor na koniec precyzyjnie kopnął pechowca w przyrodzenie, całkiem go tym rozbrajając.

Przy walczących jak spod ziemi pojawił się Szaja. Żyd zarzucił krótki sznur na szyję kolejnego z walczących i zacisnął go gwałtownym ruchem. Jego ofiara nawet nie jęknęła. Wytrzeszczając oczy, rozrabiaka opadł na

kolana i wznosił błagalnie ręce w poddańczym geście. Appenzlak powalił go twarzą na ziemię i klęknął na nim, mocno wbijając kolano w plecy.

Młody urzędnik ocalał. Co prawda został w samych gaciach i poszarpanej koszuli, do tego krwawił z poobijanej twarzy, ale był żywy. Ukłonił się panu Michałowi, bezbłędnie wyczuwając w nim dowódcę.

– Tajna policja? Dziękuję wam, szanowni funkcjonariusze – wyjąkał, ocierając krew z twarzy. Zaskakująco szybko doszedł do siebie. – Panowie pozwolą, starszy kancelista kolegialny z Magistratu Miasta Stołecznego Warszawy, Tomasz Dangel. Jestem waszym dłużnikiem. Da Bóg, rychło się odwdzięczę, teraz jestem jednak zmuszony prosić o pomoc. Nie mogę paradować po mieście w tak nieobyčajnym stroju. Te gnoje zdarły mi nawet buty.

Został odziany w kapotę odebraną jednemu z pokonanych bandziorów. Ubrania urzędnika nie udało się odzyskać, znikło tak samo, jak wszyscy rozrabiacy, którzy rozwiali się w powietrzu po interwencji Gwardii z Zamku Królewskiego. Stos, częściowo rozwalony i rozgrabiony, długo się dopalał i policja musiała zostać na miejscu, by uprzątnąć szczątki. Doktor Ritter miał ręce pełne roboty, bo wielu stójkowych zostało poturbowanych. Jakimś cudem nikt jednak nie zginął, skończyło się na drobnych potłuczeniach.

– Za miesiąc znów mamy zrobić palenie – cieszył się Roch, masując obolałe od bicia knykcie. – Wspaniała zabawa, kapitanie, prawda?

Ilnicki jeszcze raz pomacał puchnący nos, choć według Rittera jego organ powonienia nie został zgruchotany. Bijatyka faktycznie okazała się zabawą. Krew żywiej popłynęła w żyłach, radość bitwy wypełniła umysł, odsuwając w niepamięć wszystkie kłopoty. Każdy mężczyzna potrzebował czasem takiej rozrywki.

– Nie mogę się doczekać kolejnej akcji. – Pan Michał uśmiechnął się szczerze.

Rozdział 11

Śledczy wybrali się do warsztatów dopiero po dwóch godzinach. Towarzyszył im Tomasz Dangel, który chciał przez posłańca ściągnąć od przyjaciela godny stój, by mieć w czym wrócić do domu. Bał się reakcji ojca, znanego przedsiębiorcy i bogacza, mającego syna za nieudacznika i pozbawionego inteligencji awanturnika. Młody urzędnik nie sprawiał jednak wrażenia ani jednego, ani drugiego. Kipiał energią i – mimo przeciwności losu – dobrym humorem.

Cała piątka dotarła do bazy długo po zmroku. Przywitała ich uchylona furta w bramie, ciemność i cisza. Prowadzący grupę Ilnicki zatrzymał się w pół kroku i sięgnął po pistolet. Położył palec na ustach, nakazując ciszę.

– Co się dzieje? – bez skrępowania głośno spytał Dangel.

Ritter syknął na niego ostrzegawczo. Roch stanął obok kapitana, dobywając swój pruski tasak. Dowódca wśliznął się przez furkę, pobieżnie lustrując podwórko. W oknach głównego budynku było ciemno, jakby Jasiek poszedł wcześniej spać. Przy świetle księżycy kapitan dostrzegł czarny kształt leżący na środku placu. Wskazał go kompanom. Gogiel, nie przejmując się ostrożnością, kilkoma susami doskoczył do ciała.

– Jasna cholera, to Maciej – szepnął.

Ritter znalazł się przy leżącym nie wiedząc kiedy. W ciemnościach szybko obmacał staruszką. Machinalnie wytarł zakrwawione ręce w spodnie.

– Poderżnięte gardło – stwierdził. – Jest już zimny i zaczyna sztywnieć, zatem załatwili go przed kilkoma godzinami.

Tymczasem pan Michał przemknął wzdłuż budynków, zaglądając w ciemne okna. Nadstawiał ucha, wzrokiem szukał śladów obecności ludzi. Wszystko wskazywało na to, że napastnik lub napastnicy już dawno opuścili

warsztaty. Chyba że zaczęli się w ciemnościach. Ilnicki z impetem otworzył drzwi posterunku i natychmiast się uchylił. Żadne ostrze jednak na niego nie spadło.

– Potrzebuję światła – powiedział.

Obawiał się, że w środku natkną się jedynie na zwłoki Jaśka. Oczywiście było dla niego, że ktoś przyszedł po chłopaka, wiedząc, że wszyscy policjanci zajęci będą gdzie indziej. Co za problem zaszlachtować starca, a potem dzieciaka? Gliński powinien postarać się o lepszą ochronę niż weterani-inwalidzi. Trzeba było przymknąć świadka w prawdziwym więzieniu, choćby w celach ratusza. Tam przynajmniej byłby bezpieczny.

Roch podniósł latarkę leżącą obok zabitego Macieja. Otworzył ją i sięgnął do kieszeni po krzesiwo. Po chwili mrok został rozświetlony rozchwianym ognikiem świecy wetkniętej w szklaną, prostokątną latarnię.

– Wchodzimy – oznajmił krótko dowódca i pierwszy wszedł do wnętrza.

Znalazł tylko porzucane po podłodze kartki ze splądrowanej kartoteki oraz przewracane meble. Jasiek zniknął bez śladu.

Rozdział 12

Centrum miasta stanowiła ulica Miodowa, raptem kilka miesięcy wcześniej przemianowana na Napoleona, i jej przedłużenie, czyli Krakowskie Przedmieście. To wzdłuż nich stały najwystawniejsze pałace, co prawda o podniszczonych i zaniedbanych fasadach, ale większość budynków w umęczonym, do niedawna wyludnionym mieście nosiło ślady upływu czasu. Obecnie Warszawa znów tętniła życiem, a najważniejsze ulice, stanowiące centrum miasta, brzmiały wielkomięskim hałasem. Turkot kół wozów, przekleństwa woźniców, nawoływania przekupek i śmiechy dzieci cichy dopiero po zmroku. Dopiero kiedy zapadała cisza, pan Augustyn mógł w spokoju oddać się lekturze, dokończyć pisanie raportów dla ministra i poleceń dla podwładnych.

Gliński mieszkał w sercu miasta. Żył sam w odziedziczonym po ojcu domu na Krakowskim Przedmieściu pod numerem 417. Sam, nie licząc oczywiście dwóch służących i gosposi. Nie wstąpił w związek małżeński i nie założył rodziny, gdyż sprawy sercowe nigdy go nie interesowały, a wobec uroków płci pięknej pozostawał niewzruszony. Nie miał żadnych ekstrawaganckich upodobań w tych sprawach, po prostu stał ponad chuciami, nie przyjmując ich istnienia do wiadomości. Było mu dobrze mieszkać samemu i nie czuł potrzeby dzielenia życia z kim innym. Policyjnemu dygnitarzowi wystarczała praca, której zawsze pozostawał wielce oddany, i grono masońskich przyjaciół. Wieczorem, zamiast pełnić małżeńskie obowiązki, wolał posiedzieć z kubkiem gorącego mleka przy papierach, pograć w szachy z którymś kompanem lub odwiedzić teatr. A teatr był jedną z jego wielkich pasji.

Dzisiejszego wieczoru zajął się najpierw tłumaczeniem z niemieckiego

komedii *Niebezpieczeństwa miłości*, co robił trochę dla zabawy, trochę z potrzeby tworzenia, a trochę, by wywiązać się z dżentelmeńskiej umowy wobec pana Bogusławskiego, dyrektora jedyne w Warszawie teatru.

Kiedy praca translatorska mu się znudziła, wezwał lokaja Anzelma i zażyczył sobie kieliszek likieru różanego, by delektując się napojem, otworzyć jedno z mahoniowych pudeł, pieczołowicie poukładanych na półce. Następnie z lupą w ręku oglądał zgromadzone wewnątrz monety. Cmokał przy tym i oblizywał się, co chwila zerkając do niemieckiego almanachu numizmatycznego, by porównując opublikowane w nim sztychy z oryginałami, napawać się swoją kolekcją.

Przyjemność przerwało mu powtarzające się chrobotanie, które dobiegało od strony okna. Początkowo wziął je za odgłosy wydawane przez korniki buszujące w okiennej ramie, ale w końcu doszedł do wniosku, że dźwięk jest zbyt głośny. Zatrzasnął pudełko i poderwał się od biurka. Sięgnął po leżący na blacie pistolet i odciągnął jego kurek. Wyposażył się w broń identyczną jak ta, którą dał kapitanowi Ilnickiemu, czyli w nowoczesny francuski pistolet kawaleryjski. Broń elegancko i pewnie leżała w dłoni – nie była zbyt wielka, za to niebywale poręczna. A nade wszystko dodawała odwagi i pewności siebie.

Gliński podszedł do okna i wyjrzał przez uchyloną koronkową zazdrostkę. Po to urządził gabinet na piętrze i od strony podwórka, by w pracy nie przeszkadzały mu hałasy dobiegające z ulicy, które roznosiły się po reszcie domu. Policjant spojrział na pogrążony w ciemności placyk ze studnią i szopkami, w których znajdował się także kurnik i chlewik. Gospoia Małgorzata uważała, że żadne gospodarstwo domowe nie może obyć się bez zwierząt. Panu Augustynowi nie przeszkadzały, nie czuł zapachów produkowanych przez trzodę, bo okna w jego gabinecie i tak się nie otwierały.

Niespodziewanie na gzymsie okiennym pojawiła się biała plama – ludzka ręka. Ktoś wspinał się mozolnie, wykorzystując pęknięcia w ścianach.

Złodziej! Lub zamachowiec podkładający bomby!

Gliński przywarł do ściany obok okna, uniósł pistolet. Czekał. Niech tylko głowa bandyty pojawi się za szybą. I pojawiła się, znajoma, młodzieńcza twarz. W dodatku pobladła ze strachu i przejęcia. Jaśko podciągnął się, usiadł na parapecie i grzecznie zapukał w szybę. Pan Augustyn pokazał mu się i też popukał, ale samego siebie w czoło.

– Złaź. Okna się nie otwierają – powiedział głośno. – Zaraz każę cię wprowadzić. – Szef policji otworzył drzwi gabinetu i krzyknął: – Anzelmie! Przyrowadź tu do mnie tego młodego cymbała, którego znajdziesz na podwórku.

– Wrócił? Dobijał się kilka razy, alem myślał, że to żebrak i zagroziłem, że go psami poszczuję, jeśli nie pójdzie – odparł z dołu służący. – Zara go wprowadzę, jeśli jaśniepan sobie życzy. Za czasów starego pana coś takiego byłoby niemożliwe. Byle łachudra, obdrapaniec i ladaco na pańskich pokojach... Koniec świata.

Jaśko już po chwili stanął w drzwiach gabinetu, nerwowo miętosząc zdjętą czapkę. Sprawiał wrażenie przejętego, a właściwie przerażonego.

– Anzelmie! Daj mu kubek mleka! – ryknął Gliński.

– Pewno jeszcze podgrzanego? – mruknął do siebie stary lokaj, ale tak, by być słyszany w całym domu. – Albo od razu śmietanki?

Pan Augustyn nie zwracał uwagi na służącego, przyglądał się uważnie wystraszonemu i speszonemu chłopakowi. Po chwili namysłu wskazał mu krzesło, a sam zasiadł za biurkiem, oparł łokcie o blat i splótł dłonie, przyjmując pozę urzędnika przesłuchującego petenta. Jaśko wypił duszkiem mleko przyniesione przez naburmuszonego lokaja.

– Dlaczego nie jesteś na posterunku? – krótko spytał sekretarz generalny.

– Stało się coś strasznego, wasza ekscelencjo! Przyszli po mnie, chcieli mnie na miejscu zaszlachtować!

– Po kolei i spokojnie, bo dostaniesz czkawki – rzekł gospodarz. – Co się

stało?

– Wszyscy śledczy wyszli razem z mundurowymi salcesonami na jakąś akcję. Zostałem z Maciejem, który zagonił mnie do roboty przy rąbaniu drewek na opał, a sam usiadł na pieńku i raczył historyjkami z dawnych czasów. Com ja się nasłuchał za opowieści! – Chłopak załamał rękę. – Gorszące historie o kasztelankach, które obsługiwały klientów w łaźni kasztelana Jezierskiego! O tym, jakie potrafiły sztuczki i co mógł z nimi zrobić mężczyzna mający trochę grosza w trzosie. Na przykład można było wynająć sobie pokoik z wanną gorącej wody, niby do mycia, a do tego dwie dziewczynki. Zabawiały się wpierw ze sobą, przyjmując pozy tak wyuzdane, że diabli w piekle płonęli ze wstydu. Wszystko to, by rozpalić klienta. Potem jedna brała do ust...

– Co mi za farmazony pleciesz! – huknął pan Augustyn. – Do rzeczy!

Jaśko drgnął ze strachu, zaczął mówić szybko, łykając końcówki słów:

– Kiedy się zmachałem rąbaniem drew i zrobiło się ciemno, zacząłem nosić je na posterunek. Maciej polazł zrobić obchód. Przeniosłem wszystko i zabrałem się za rozpalenie w piecu, gdy usłyszałem, że stary pierdoła z kimś rozmawia. Z ciekawości wyjrzałem przez okno. To byli trzej mężczyźni, jeden w zielonym płaszczu i z czako na głowie, dwaj w ciemnych surdutach.

– Artylerzysta. Francuz czy Polak?

– Polak, bo z Maciejem gadał, a stary nie znał francuskiego. Staruszka bardzo ta rozmowa zdenerwowała, zaczął wymachiwać rękami i wrzeszczeć. Kurwami rzucał, złorzeczył i groził im pobiciem. Pchnął mundurowego, a potem próbował szarpnąć jednego z surdutów. Ten odwinął się, błysnęło ostrze i Maciej umilkł. Na wieki. Jucha bryznęła, że nawet mimo mroku widziałem czarną strugę. Zaszlachtował go niczym prosiaka. Ciach! Jednym cięciem rąbnął. Ostry musieć miał sztylet, niczym brzytwa. Zdało mi się nawet, że słyszałem, jak ostrze zazgrzytało o kręgosłup Macieja, tak głęboko wlaźło.

– Nie zmyślaj! – burknął Gliški. – Co dalej?

– Drugi z surdutów zrugwał nożownika, ale po francusku. Był oburzony, chyba nawet przeklinał. Ci dwaj to byli żabojady. Dranie jak cholera. Zdębiałem i pomyślałem sobie, że tera na mnie kolej. Jak nic przyszli po mnie, to ludzie tych dwóch jegomościów, com ich widział przed pałacykiem. Zabili Bogu ducha winnego Macieja, to mnie co zrobią? Rozerwą żywcem! Zedrą pasy i posolą, bym nawet na tamtym świecie nikomu nie powiedział. Pora wiać, powiedziałem sobie. Nic tu po tobie, Jaśku. Wystarczy, bym dał dyla przez któreś z okien na tyłach budynku, a potem chopsa przez płot i dawaj, biegiem na Powiśle. Tam by mnie nie znaleźli. Zwołałbym chłopaków i jeszcze żabojady zaliczyliby kosą pod żebro albo choć cegłą w łeb. Tylko, jeśli zniknę, co powie pan kapitan Ilnicki i pan generał Gliški? Jaśko, mówię sobie, nie możesz dobrodziejów swoich tak zostawić! Trza pomścić Macieja, Kolbę i Chromego! Tera ty musisz prowadzić inwigil... Śledztwo! Ty będziesz, w zastępstwie, śledczym. Takem sobie, mało skromnie, pomyślał.

– Dobrze. – Oficjalista łaskawie skinął głową, akceptując ten samozwańczy awans.

– Zamiast dać dyla, pognałem na poddasze. W ostatniej chwili tom uczynił, bo mordercy wpadli biegiem na posterunek. Mknęli szybko niczym duchy, od drzwi do drzwi, od pokoju do pokoju, gotowi zabić każdego, kogo spotkają. Staralem się stapać tak, by podłoga nie skrzypiała. Chciałem się schować w szafie, co stoi na korytarzu, alem pomyślał, że tam mogą mnie szukać. Cały czas modliłem się do świętego Dyzmy i chyba miał mnie w opiece, bo faktycznie jeden z Francuzów wbiegł na górę i od razu zajrzał do szafy. A ja schowałem się w szparę pomiędzy nią a ścianą. Chudy jestem, wstrzymałem oddech i jakoś się wcisnąłem w ten ciemny kąt. Czułem zapach Francuza, diabelski, mówię panu, ekscelencjo. Śmierdział siarką.

– Mhm – mruknął Gliški. – I może trochę nawozem? To proch strzelniczy. Widocznie ten mężczyzna niedawno strzelał. Poznałbyś go?

– Chyba tak. Nastroszony wąsik, pociągła, diabelska gęba.

– Coś jeszcze wyszedził?

– Niewiele, bo te sukinsyny rozmawiały po francusku. Tłukli się po posterunku, a Polak w mundurze plądrował archiwum. Któryś zabojad strasznie się złościł, krzyczał ciągle: „wit, wit”! Co to znaczy? Może to jakieś hasło^[21]?

– Nie, to nieistotne.

– Stałem za tą szafą i nie śmiałem głośniej oddychać, a oni ciągle przetrząsali budynek. Jeden wreszcie nawrzeszczał na artylerzystę i to po polsku, ten nie był mu dłużny. Znaczy jednak się myliłem, tylko jeden z nich był Francuzem. Słyszałem odgłosy szamotaniny, chyba zaczęli się bić. Nagle przestali i wyszli. Wylazłem z za szafy, bo nie mogłem już tam wytrzymać i zszedłem na dół. Zajrzałem w przelocie do archiwum i znów wspomógł mnie święty Dyzma, bo na rozrzuconych po podłodze papierach dostrzegłem coś ciemnego. Podniosłem to i wtedy jeden z nich wrócił. – Jaśko teatralnie wstrzymał głos. – Nie miałem czasu znów biec na górę, skoczyłem za uchylone ciągle drzwi i przywarłem do ściany. To był ten w zielonym mundurze. Rozglądał się po podłodze, czegoś nerwowo szukał. Zorientował się, że w szamotaninie coś zgubił i teraz się za tym rozglądał. Ale to coś już siedziało w mojej kieszeni. Żołnierz zaklął wściekle i wybiegł. Poczekalem jeszcze trochę i pogałem za nimi, by ich śledzić, ale chyba odjechali powozem. Znikli w ciemności. Pomyślałem, że jak najszybciej muszę kogoś powiadomić o tym, co zaszło. Nie wiem, gdzie wybrali się śledczy, słyszałem za to, że wasza miłość mieszka na Krakowskim Przedmieściu. Wystarczyło popytać stróżów w bramach i raz-dwa znalazłem waszą siedzibę.

– Pięknie. Pokaż wreszcie, co takiego zgubił ów artylerzysta.

Jaśko wyciągnął z kieszeni rękawiczkę z cienkiej skórki i podał ją policjantowi. Ten obejrzał znalezisko z ciekawością i uśmiechnął się zadowolony. Nie musiał porównywać jej ze znalezioną przez Szaję na miejscu wybuchu, wiedział, że pochodzą z tej samej pary.

– W pałacyku, przed wybuchem, znajdował się polski artylerzysta. A to ciekawe. – Pan Augustyn odruchowo sięgnął do kieszeni po fajkę. Wsunął ją do ust i zaczął gryźć cybuch. – Czyżby to on nastawił bombę zegarową? Ale po co, u licha? Kogo chciał zabić? Przecież nie francuskiego generała, bo ewidentnie współpracuje z Francuzami. Może mamy do czynienia z jakimiś wewnętrznymi rozgrywkami na wyższych szczeblach dowództwa Wielkiej Armii? Generał Morand, do którego należy pałacyk i który, jak wiemy, omal nie zginął w wybuchu, nie jest byle oficerem, ale liniowym generałem z bezpośredniego otoczenia marszałka Davouta. Może zamach przygotowali przeciwnicy tego dygnitarza? Marszałkowie cały czas żrą się między sobą. Księżę Davout dowodzi Trzecim Korpusem Wielkiej Armii, a z pewnością jest wielu pretendentów na to stanowisko. A co, jeśli Morand sprowadził do pałacyku luksusową prostytutkę dla swojego przełożonego i zaprosił marszałka, o czym dowiedzieli się jego wrogowie?

– Nie wiem, o czym wasza łaskawość mówi, ale podejrzewam, że wsadziliśmy łapę między drzwi a framugę. Mam rację?

– Niestety, chłopcze. Żałuję, że nie posłuchałem polecenia ministra Potockiego ani rad kapitana Ilnickiego. Trzeba było zakończyć to śledztwo i jak najszybciej o nim zapomnieć. Teraz jest jednak za późno. Nie mam bladego pojęcia, jak wycofać się z tej kabały i ocalić nasze głowy.

Rozdział 13

– Jesteśmy na miejscu – oświadczył Tomasz Dangel, wskazując zamkniętą bramę. – Co teraz?

Młody urzędnik przyprowadził trzech śledczych pod dom w okolicach drogi Kalwaryjskiej, nazywanej coraz częściej Alejami Ujazdowskimi. Jedna z posesji otoczonych obszernym parkiem była ponoć siedzibą carycy warszawskiej prostytutce – *madame* Kiełczakowskiej. W trakcie burzliwej dyskusji na posterunku Ilnicki zdecydował, że od razu, nie czekając na zaproszenia załatwione przez Glińskiego i łaskę jaśnie pani, wtargną do jej domu i ją przesłuchają. Chodziło o pośpiech. Jaśko znikł bez śladu i wyglądało na to, że został uprowadzony. Porwał go zamachowiec lub zamachowcy, pewnie by dowiedzieć się, ile wygadał, a potem pewnie uciszyć na wieki. Może właśnie przypiekali mu pięty lub prali, ile wlaźło, by zaczął mówić?

Pan Michał postanowił wysłać Szeję po psy. Żyd dostał polecenie przyprowadzenia zwierząt na posterunek i użycia ich do tropienia śladów. Może po obwąchaniu pryczy, na której spał chłopak, psy złapią trop i wskażą przynajmniej kierunek, w którym ruszył porywacz z uprowadzonym. Do tego czasu nie sposób jednak było siedzieć z założonymi rękami. Kapitan nie mógł tak po prostu czekać, kiedy paliło go przekonanie, że dzieciak zostawiony pod jego opieką wpadł w łapy mordercy.

– Często bywałeś w tym burdelu? – Roch zwrócił się do Dangiela.

– Raz – odparł młodzieniec bez skrupowania. – Kiedy ojciec zabrał tu współników z Gdańska i Berlina. Towarzyszyłem im do samych drzwi, później staruszek strzelił mnie w łeb i kazał wracać do domu. Zresztą i tak niewiele bym zobaczył, bo *madame* nie prowadzi tu lupanaru, nawet nie ma

w tym domu dziewcząt. Tutaj zapoznaje się tylko z klientami, niby badając ich upodobania, by pod nie dobrą damy do towarzystwa. Tak naprawdę wszakże ocenia, czy klienta stać na jej dziewczynki i co może dodatkowo na tym ugrać. W ten sposób stała się bardzo wpływową osobą. Szczerze mówiąc, nie radzę panom tak po prostu wdzierać się do środka. To tak, jakbyście zamierzali podnieść rękę na koronowaną głowę.

Ilnicki odwrócił się do kompanów. Prócz Tomasza i Rocha towarzyszył mu jeszcze Ritter. Cała czwórka stała przed bramą w ciemnościach rozpraszanych jedynie przez mdłe światło latarki trzymanej przez doktora. W żółtym świetle pan Michał spojrzał kolejno w twarze policjantów.

– Panowie, wiecie, na co się narażamy – powiedział. – Jeśli jest tak, jak mówi pan Dangel, możemy zrujnować sobie kariery, wylądować na bruku. Wystarczy, że *madame* doniesie na nas, a wylądujemy za kratami lub nawet na stryckach. Nie mogę zmuszać was rozkazem do tak dużego poświęcenia. Szczególnie że chodzi tylko o nic niewarte życie jednego złodziejaska. Pójdę sam.

– Jeszcze czego – zadudnił Gogiel. – Wybacz, kapitanie, ale sam nie dotrzesz na pokoje tej starej kurwy. A jeśli nawet, to nie wiem, czy potrafisz rozmawiać z takimi jak ona. Idę z tobą. I z całym szacunkiem, ale w dupie mam karierę. Nie po to wstąpiłem na służbę, by trząść gaciami przed byle wywłoką. Idę.

Dowódca klepnął go w ramię, uśmiechając się szeroko. Wielkoluda nie dało się nie lubić.

– Ja też pójdę – cicho oznajmił Ritter. – Nie jestem tchórzem, choć może na takiego wyglądam. Poza tym umiem wyciągać z ludzi zeznania najsprawniej i najskuteczniej z was wszystkich.

Kapitan skinął głową. Oczywiście, były funkcjonariusz gestapo mógł znać metody, o których im dwóm nawet się nie śniło.

– Idę z wami! Nie umiem się bić ani torturować ludzi, ale może na coś się

przydam – oznajmił Tomasz.

– Nie jesteś pan policjantem. – Ilnicki pokręcił głową. – W pana sytuacji wtargnięcie do tego domu może zostać potraktowane jak rozbójnictwo. Wracaj pan lepiej do domu.

– To zaczekam na panów tutaj – oznajmił Daniel. – I tak dziś nie zasnę z ekscytacji. Ciekawy jestem, jak to się skończy.

– Hej, czego tam?! – dobiegł ich męski głos od strony pogrążonego w ciemności domu. – Nie mata gdzie debatować? Już mi stąd, pijaki cholerne!

Z mroku wyłoniła się postać opatulonego w płaszcz stróża. Straszy mężczyzna w przekrzywionej czapce szedł w kierunku bramy, podpierając się ciężkim kijem. Daniel wycofał się kilka kroków, a Gogiel skulił, jakby próbował pomniejszyć swoją sylwetkę. Kapitan natychmiast wszedł w rolę, zachwiał się i donośnie beknął. Oparł się ramieniem o kraty bramy i zaczął grzebać przy spodniach, mamrocząc coś pod nosem.

– Gdzie szczechasz, pijane chamidło! – ryknął cieć^[22] i ruszył do ataku.

Zamachnął się kijem i próbował sieknąć nim Ilnickiego, mierząc między prętami bramy. Laga świsnęła, ale trafiła w pustkę. Pan Michał uchylił się zwinnie, złapał spadające drewno i pociągnął je mocno ku sobie. Stróż poleciał do przodu, uderzył w kraty. Roch złapał go za kapotę, przyciągnął i przycisnął mocno do bramy. Oficer odrzucił zdobyty kij i włożył ręce w kieszenie mężczyzny. Wyciągnął z prawej duży żelazny klucz. Wetknął go w zamek furty i przekręcił z chrzęstem metalu.

– Póki co, dobrze idzie. – Roch uśmiechnął się, wchodząc na teren posiadłości. – Co zrobimy z dziadkiem?

– Nie zabijajcie – wycharczał przerażony cieć.

– Jesteś pan aresztowany. – Ilnicki położył rękę na jego ramieniu. – Panie Daniel, przypilnuje pan tego człowieka.

Trzej policjanci zostawili młodego urzędnika z trzęsącym się aresztantem

i szybkim krokiem ruszyli w kierunku domu. Dowódca poprowadził ich na tyły budynku, bo z pewnością właśnie stamtąd, z wejścia dla służby, wyszedł stróż. Drzwi rzeczywiście były otwarte i policjanci znaleźli się w ciemnym korytarzu. Minęli pogrążoną w miłych zapachach i ciepłe kuchnię, a potem kolejne drzwi składzików i pokoików, w których spali parobkowie i służące. Wyszli do przestronnego holu, podkute buty pana Michała zadzwoniły na marmurowej posadzce. Światło latarki, trzymanej w uniesionej ręce przez doktora Rittera, oświetliło korytarz, misternie udrapowane, ciężkie zasłony w oknach, starożytne dzbany stojące na rzeźbionych stolikach i obrazy na ścianach. *Madame* rezydowała w prawdziwym pałacu.

– Gdzie ta cholera może spać? – szeptem zastanawiał się Gogiel.

Wielkolud zajrzał do mijanego pokoju, ale to była bawialnia ze stolikiem do stawiania pasjansa i z porzuconymi na fotelach robótkami ręcznymi. Za pokojem znajdował się kolejny, podobny, ale chyba przeznaczony do palenia tytoniu, bo w stojakach stały fajki, a w kątach mosiężne spluwaczki. Ściany i zasłony przesiąkły przyjemnym, aromatycznym dymem. Policjanci mijali kolejne pokoje bawialne, łącznie z gabinetem do wypróżniania się, w którym czekały drewniane toalety i ceramiczne nocniki. Wreszcie trafili do buduarów z szafami pełnymi strojów, stojakami na kapelusze i manekinami ubranymi w suknie. Kolejnym pomieszczeniem musiała być sypialnia pani domu. I była.

Łoże z baldachimem stało pod ścianą, naprzeciw kaflowego pieca promieniującego ciepłem. Gdy buty policjantów zastukały na podłodze, a światło ich lampy rozjaśniło pomieszczenie, z łóżka wyskoczył młody, nagi mężczyzna. Dał susa w kierunku stolika, obok którego, na podłodze, leżało niedbale rzucone ubranie. Roch rzucił się ku niemu, warcząc groźnie. Młodzieniec zacharczał dziwnie ze strachu, pochylił się nad odzieniem ubraniach, ale widząc zbliżającego się wielkoluda, złapał krzesło i cisnął nim w napastnika. Gogiel odbił pocisk ramieniem. Mebel załomotał o podłogę.

– Ucisz go, do cholery – warknął Ilnicki.

Roch był już przy kochanku gospodyni. Ten złapał ubranie i szamotał się z nim w poszukiwaniu broni. Wtedy na jego głowę spadła potężna pięść Gogiela, powalając na ziemię. Były milicjant klęknął przy przeciwniku, ale ten ani drgnął. Stracił przytomność lub nie żył. Wielkolud odebrał mu frak, z którego wyciągnął pozbawiony ozdób sztylet.

Tymczasem na łóżku usiadła starsza pani o błyszczących wściekłością oczach. Nie wpadła w panikę, tylko szczupakiem rzuciła się ku ścianie. Uwiesiła się sznura zakończonego złotym kutasem i zaczęła z wściekłością nim szarpać. Gdzieś w głębi domu rozległo się dzwonięcie. Doktor Ritter podbiegł do *madame* i trzasnął ją otwartą dłonią w policzek. Złapał kobietę za włosy i szarpnął, zmuszając do puszczenia sznura dzwonka. Rzucił ją na podłogę z taką siłą, że potoczyła się niemal pod ścianę. Ilnicki spojrzał ze zdumieniem na niepozornego lekarza. Twarz Prusaka nie wyrażała żadnych emocji, tylko wąskie usta zacisnęły się w cienką szparkę.

– Nie wiecie, kim jestem – syknęła właścicielka domu. – Zapłacicie za to, skurwysyny. Moi ludzie znajdą was choćby na końcu świata.

Kapitan podszedł do niej, gestem podpatrzonym u Rittera chwycił za włosy i mocno pociągnął, stawiając kobietę na równe nogi. Przyłożył palec do ust, sugerując zachowanie ciszy. Starał się sprawiać wrażenie zdecydowanego i pozbawionego skrupułów.

– Wiemy, kim pani jest, *madame* Kiełczakowska – powiedział. – Nie chcę robić pani krzywdy. Proszę mi tylko odpowiedzieć na kilka pytań, a odejdziemy w pokoju.

– A żeby ci fiut sparszywił, gnojku! – Plunęła mu w twarz i rozczapierzonymi palcami próbowała rozorać policzek. Oficer odepchnął ją tak mocno, że znów poleciała na podłogę.

– Dla kogo generał Morand zamówił dziewczynę? – spytał lodowatym tonem.

– Kto was przysłał? – odparła pytaniem. – Już jesteście trupami!

Choćbyście się zagrzebali w Górze Gnojnej, wykopię was i każę każdemu urwać jaja, a potem je zeżreć. Lepiej od razu wyznajcie, kto was przysłał! Ta parchata kurwa z Woli, która mi podbiera dziewczyny? A może zrzuciło się całe Stare Miasto?

W głębi domu rozległy się wzburzone głosy. Służba nadchodziła. Ilnicki spojrział przez otwarte drzwi w głąb korytarza. Gogiel dobył tasaka i mrugnął zadziornie do dowódcy.

– Zatrzymam ich – mruknął. – Wyciągnijcie coś z tej dziwki.

Wielkolud wyszedł z sypialni i zamknął za sobą drzwi. Kapitan spojrział na siedzącą na podłodze rozgniewaną Kiełczakowską. Dyszała ze wściekłości. Nie wyglądało na to, że uda im się wydobyć z niej jakiegokolwiek informacji.

– Pan pozwoli. – Ritter skinął grzecznie Ilnickiemu i gdy ten z roztargnieniem pokiwał głową, jednym susem doskoczył do kobiety.

Złapał ją za prawą rękę i wykręcił tak, że znalazła się za plecami przesłuchiwanej. Potem wygiął najmniejszy palec. Chrupnęło, gdy wyskoczył ze stawu. Burdelmama ryknęła z bólu. Doktor wetknął w jej usta zwiniętą w kłębek chustkę. Oficer podniósł stojącą na podłodze latarkę i pochylił się, by przyświecić śledczemu, w którego dłoni pojawiła się długa, gruba igła. Lekarz zademonstrował ją kobiecie, a potem z wprawą wbił pod paznokcie wyłamanego palca. Przesłuchiwana wierzgnęła spazmatycznie. Pan Michał zacisnął zęby. Nie spodziewał się, że jako policjant będzie przyzwalał na stosowanie takich metod. Działo się jednak tak, jak przepowiedział Gliński – walcząc ze zbrodnią, musiał zanurzyć się w mroku i ohydzie. Odetchnął głęboko i znów złapał Kiełczakowską za włosy. Potrząsnął mocno.

– Mój przyjaciel może sprawić znacznie więcej bólu. Proszę odpowiedzieć na pytania, a zostawimy panią w spokoju. Dostarczyła pani dziewczynę dla specjalnego gościa generała Moranda – powiedział, siląc się na spokój. – Kto to taki? Nazwisko!

W korytarzu rozległy się krzyki i przekleństwa. Po chwili łomot walących się mebli. To Roch zaskoczył idących z odsieczą służących. Ilnicki miał nadzieję, że olbrzym wytrzyma wystarczająco długo. Skinął Ritterowi. Doktor wyciągnął knebel z ust kobiety.

– Fryderyk August, król saski – wycedziła, łkając z bólu i ponizenia.

Kapitan syknął przez zęby. Król Saksonii i księżę warszawski, koronowana głowa, oficjalnie dzierżąca władzę w polskim państwie. Wnuk króla Augusta III został mianowany przez cesarza Napoleona władcą nowo utworzonego Księstwa. Choć monarchą był marionetkowym i stale przebywał w ojczyściej Saksonii, potraktował obowiązki poważnie, nauczył się polskiego i niedawno przyjechał z wizytą do Warszawy. Dwa dni temu o mało nie wyleciał w powietrze. Jego śmierć skompromitowałaby zarówno Polaków, jak i cesarza Bonapartego. Mogłaby zbuntować liczne landy niemieckie przeciw Francji, a nawet doprowadzić do kolejnego wymazania Polski z map Europy. Nic dziwnego, że Morand wolał zachować sprawę w tajemnicy i samemu przeprowadzić dochodzenie. Kto zatem porwał Jaśka? Francuski wywiad wojskowy? Możliwe, że we współpracy z saskimi służbami Fryderyka Augusta.

Ilnicki przełknął ślinę. Zatem wszystko stracone. Francuscy szpicle wyciągną z Jaśka, co chcą i go zlikwidują. Tego nie sposób powstrzymać. Pewnie trzymają go w koszarach, do których policja nie ma wstępu. Ponadto, kiedy tajniacy stwierdzą, że warszawska policja śledcza może stanowić zagrożenie dla czci i honoru cesarza oraz dla interesów Francji, po prostu wrócą na posterunek i zaszlachtują funkcjonariuszy, łącznie z Glińskim. Jediną szansą na przetrwanie było znalezienie zamachowców i użycie ich jako karty przetargowej w rozmowach z generałem Morandem. Jeśli polscy policjanci podadzą Francuzom na tacy niedoszłego królobójcę, może uda się im wybrnąć z kabały.

– Kto, prócz pani, wiedział o Fryderyku Auguście? – Oficer szybko zapanował nad paniką.

– Nikt – odparła bez zastanowienia i sekundę potem wrzasnęła z bólu. Ritter znów wbił jej igłę pod paznokieć. – Powiem, powiem! Błagam, nie! Wiedział mój wspólnik, ale on nikomu nie mógł powiedzieć, jest bezgranicznie mi oddanym niewolnikiem. To ten mężczyzna. – Wskazała leżącego bez przytomności kochanka.

– Kto jeszcze?

– Nikt, przysięgam. Generał nalegał na dyskrecję, a ta jest dla mnie święta. Na niej opieram cały swój interes. Nikt nie wiedział.

– A dziewczyna?

– Ona oczywiście wiedziała, ale przecież nie żyje.

– Zanim wyleciała w powietrze, mogła powiedzieć komuś, kto wykorzystał tę informację – odparł kapitan. – Przekazał je rosyjskim lub austriackim szpiegom. Albo sam nim jest. Kim była ta aksamitka?

– Aksamitka? Nie, ona nie była dziwką. – Kiełczakowska zastygła, by nie prowokować doktora. – Król sam sobie ją wypatrył na jednym z balów. Śliczną młodkę, z którą tańczyli oficerowie. Jako że jego wysokość ma żonę, a poza tym jest koronowaną głową, nie mógł pospolitować się zawieraniem znajomości z dziewczką z polskiej szaraczkowej szlachty. Nasz miłościwie panujący Fryderyk August lubi panny świeże, nieskalane, o białej, alabastrowej cerze i niewinności wypisanej na twarzy. Poprosił jednego z zaufanych francuskich generałów o zorganizowanie spotkania sam na sam z tym dziewczęciem. A generał Morand, rzecz jasna, zwrócił się z tym do mnie.

– Jak zmusiłaś dziewczynę do nierządu? – Ilnicki czuł rosnącą falę gniewu.

– Och, to nie było niczym nadzwyczajnym. Kazałam ją sprawdzić swoim ludziom. Okazało się, że dziewczka jest półsierotą, biedną niczym mysz kościelna. Żyła z matką w małym, zawałającym się domku na skraju miasta, a utrzymywał je brat, żołnierz, ze swego lichego żołdu. Sprawa była więc

prosta. Kazałam ją przywieźć do siebie i grzecznie zagroziłam, że jeśli nie spełni mojej prośby, jej brat rychło zakończy karierę w armii, a może nawet życie. Ona zaś z matka wylądują na bruku i jeszcze sama, na kolanach do mnie przyjdzie, błagać o to, by być dziwką w moim haremie. Natomiast jeśli zdecyduje się spędzić jedną noc z królem, obsypię ją złotem, a jego wysokość też może okazać łaskę. Dziewka niby płakała, opierała się, ale tylko na pokaz. Szybko zrozumiała, że właściwie wygrała los na loterii. Wystarczyłoby, aby spełniła zachcianki króla i mu się przypodobala, a może udałoby się jej wyprosić u niego wysokie stanowisko w saskiej armii dla brata. Lub w inny sposób zapewnić sobie godny los. Może Fryderyk August wskazałby ją któremuś ze swoich dworzan jako potencjalną partię?

– Uczyniłaś jej więc przysługę? – mruknął pan Michał.

– Tylko uświadomiłam, ile może zyskać, a ile stracić. I za co? Za dziewictwo? A cóż one warte? Jeśli jest się biedną panienką bez posagu, trzymanie wianka na nic się nie zda. Ona szybko to zrozumiała. Przynajmniej takie odniosłam wrażenie.

Łomot i krzyki przybliżyły się do drzwi sypialni. Brzęczały zderzające się ostrza, po czym śledczy poznali, że Roch toczył szermierczy pojedynek z liczniejszym przeciwnikiem. Nadeszła najwyższa pora, by zniknąć. Ilnicki doskoczył do drzwi i otworzył je, wpuszczając dyszącego ze zmęczenia Gogiela. Wielkolud spocił się, głowę miał czerwoną i nabrzmiałą z wysiłku, jego kapota nosiła ślady szarpaniny, a jeden bok miała rozpruty aż do ziemi. Policjant nie wyglądał jednak na rannego.

Za nim kłębił się tłum służby: uzbrojonych w kije i siekiery pachołków, kucharza z tasakiem w garści i trzech drabów z szablami. Wszyscy zastygli, gdy oficer wymierzył w nich pistolet. Przez kilka uderzeń serca stali w bezruchu. Nikomu nie spieszyło się pierwszemu rzucić na kapitana i poświęcić, przyjmując kulę na siebie. Pan Michał zatrzaskał drzwi, które Roch natychmiast zastawił masywną gotowalnią^[23].

– Bronimy się czy wiejemy? – Gogiel wskazał okno.

W drzwi załomotały pięści i kopniaki. Ritter ciągle klęczał przy kobiecie, wykręcając jej rękę. Kiełczakowska patrzyła na Ilnickiego tym razem już bez wściekłości, a z rosnącym strachem. Mógł wszak kazać ją załatwić temu milczącemu potworowi, który ją torturował.

– Jak się nazywała ta dziewczyna?

Madame zawahał się. Od tej odpowiedzi mogło zależeć jej życie.

– Emilia Parys – odparła, zanim lekarz zdążył znów zrobić jej coś bolesnego.

Dowódca skinął na doktora i doskoczył do okna. Wybił szybę rękojęścią pistoletu i pchnął Rittera w kierunku otworu.

Ciężka komoda gotowni przesuwała się pod naporem służących. W powstałej szparze pojawiła się ręka z szablą.

Pan Michał po raz ostatni spojrzął na siedzącą na podłodze, zalaną łzami i krwią Kiełczakowską.

– Proszę nas nie szukać, a najlepiej zapomnieć o tej wizycie – powiedział.

– Nie chciałbym znów się narzucać, ale jeśli zostanę sprowokowany, wrócę z moim przyjacielem, który ma jeszcze wiele igieł i wie, jak je wbijać, by człowiek umierał w męczarniach.

– Idźcie do diabła – syknęła kobieta.

Ilnicki rozplynął się w ciemności.

Rozdział 14

Nad Warszawą zgromadziły się ciężkie, kłębiaste chmury i o świcie sypnął śnieg. Duże płatki opadały leniwie, ale ich warstwa błyskawicznie pokryła wielkemiejski brud nieskalaną bielą. Pod śniegiem znikły nieczystości tkwiące w rynsztokach, końskie i krowie łajno zalegające na ulicach, a dachy zarówno pałaców, jak i rozwalających ruder stały się identyczne. Puszyste i lekkie.

Ilnicki wyszedł z domu pana Glińskiego przed południem. Śledczy dotarli tu o świcie, chcąc ostrzec przełożonego o niebezpieczeństwie. Ku swemu zdumieniu zastali w gabinecie szefa drzemiącego słodko Jaśka. Obudzony, przywitał ich ze łzami w oczach. Glina zaś tkwił przy biurku, zamysłony i z fajką w zębach. Napisał kilka listów, przez co dłonie uwalane miał atramentem, a wzrok nieobecny. Kazał służącemu zrobić kawy dla gości, potem zaprowadził całą drużynę do jadalni na śniadanie. Dopiero po posiłku uważnie wysłuchał sprawozdania pana Michała. Wiadomość, że to król saski omal nie zginął, bo chciał wykorzystać młode dziewczę, przyjął bez zdziwienia.

– Jest podobny do swego pradziadka – rzekł niedbale. – August Mocny też był nad wyraz chutliwy i nie potrafił powstrzymać swoich żądz. Kobiety, wino, nieustanne obżarstwo to w tej rodzinie widocznie norma.

Dyskutowali jeszcze jakiś czas, rozważając, kto może być szpiegiem wrogiego mocarstwa, na dodatek tak wyszkolonym, by skonstruować bombę zegarową – rzecz, o jakiej nie słyszał wcześniej żaden z nich. Oczywiście mogła to być cała szajka, w skład której wchodził pracownik prochowni lub giserni^[24] wojskowej, mistrz zegarmistrzostwa i ktoś blisko zaprzyjaźniony z Emilią Parys. Najwygodniej dla śledczych byłoby, gdyby okazało się, że to

jedna osoba łącząca w sobie te trzy cechy. Niestety, wieczorna napaść trzech osobników na posterunek wskazywała, że policjanci muszą się pospieszyć, bo francuski wywiad zabrał się już do zacierania śladów i lada chwila mogą posypać się głowy.

Ilnicki dostał polecenie odwiedzenia fabryki amunicji w Kuźni Artylerii Koronnej na Muranowie i wybadania, czy bomba zegarowa nie została tam wyprodukowana. Za towarzysza miał wziąć sobie Szaję, który z psami ciągle poszukiwał tropów gdzieś na mieście. Jaśko musiał zostać chwilowo ukryty w domu pana Glińskiego. Gogiel z doktorem Ritterem mieli zabezpieczyć warsztaty policyjne na Niskiej i zacząć się w nich na wypadek kolejnego ataku. Do pomocy im sekretarz generalny oddelegował, na razie tylko w rozkazie dla komisarza cyrkułu, kilku stójkowych. Widok mundurowych kręcących się przy bramie warsztatów powinien nieco ostudzić Francuzów.

– Ja sam zajmę się świętej pamięci panną Parys – oznajmił pan Augustyn.
– Nie znam zupełnie tej rodziny, ale do wieczoru będę wiedział wszystko na jej temat. Spotkamy się po zmroku na Niskiej.

Cała trójka śledczych dostała na koniec rozkaz udania się do domów i doprowadzenia do ładu. Każdy został zobowiązany do przespania choćby trzech godzin przed podjęciem obowiązków. Gliński nie życzył sobie, by któryś popełnił błąd lub nawet poległ przez nieuwagę wynikłą ze zmęczenia.

Kapitan pożegnał się więc z kompanami i żwawym marszem ruszył w kierunku domu. Pewnie Hania znów się niepokoi. Będzie musiała przywyknąć, bo praca u Gliny okazała się niezwykle czasochłonna i męcząca, choć trzeba przyznać, że krew od niej żywiej w żyłach krążyła i człowiek angażował się w nią bez reszty. Hanna będzie musiała też przyzwyczać się do jego późnych powrotów, a czasem nawet do kilkudniowych nieobecności. Obiecywał sobie, że nigdy nie dopuści do tego, by w jej oczach znów pojawił się strach, kiedy wyczuła od niego wódkę. Nie będzie musiała się bać, że pobije ją po pijanemu czy wywoła awanturę, by wyładować swoją złość za niepowodzenia, jak to miał w zwyczaju czynić jego nieżyjący braciszek.

Pan Michał zasepił się nagle. Właśnie uświadomił sobie, że coraz częściej myśli o Hani niczym o swojej kobiecie. Jakby przejął ją na własność razem z długami brata. A może raczej jakby była jego żoną? To drugie nie byłoby wcale takie złe. Na twarz kapitana wypełził nieśmiały uśmiech. Myśl, że bratowa mogłaby go obdarzyć uczuciem, okazała się zaskakująco błoga, sprowadziła falę przyjemności. Tylko jaki byłby z niego mąż? A ojciec dla trójki pasierbów? Znalazłby się w tej roli? Umiałby kochać ich wszystkich, dbać o nich i zapewnić godny byt?

Rozmyślania spłynęły na niego, gdy akurat przecinał plac Zielony, na którym mimo zimna i padającego śniegu rozłożyło się kilka kramów. Kapitan przystanął przy chłopskim wozie załadowanym niewielkimi choinkami. Kupił jedno z roślejszych drzewek, a na sąsiednim straganie trzy cukrowe głowy i wianki obwarzanków, które zawiesił sobie na szyi. Zbliżały się święta, a w Warszawie już na dobre przyjął się zwyczaj dekorowania młodych sosen i ustawiania ich w domach. Była to pamiątka, którą zostawili po sobie Prusacy, jeszcze rok temu okupujący miasto. Właściwie ten dziwny, niemiecki zwyczaj był jedyną dobrą rzeczą, którą po sobie zostawili.

Wszedł do mieszkania, starając się zachowywać jak najciszej, nie chciał głośnym zachowaniem wystraszyć dzieci i Hani. Postawił choinkę w sieni, powiesił na niej sznury ciastek, a cukrowe głowy postawił na podłodze. Dzieciaki wybiegły z pokoju dziennego i zastygły z szeroko otwartymi ustami, patrząc na rozbierającego się pana Michała, a właściwie na skarby, które przyniósł. Nie śmiały okazać radości, widocznie ojciec, gdy wracał do domu, bardzo tego nie lubił. Kapitan uśmiechnął się szeroko i kolejno poczochnął starszych chłopców po czuprynach, a najmłodszą Kasię czule pogładził po policzku.

– To dla was – szepnął. – Tylko sza!

Wśliznął się do pokoju i zastygł przy drzwiach. Uśmiechnął się błogo. Hania siedziała w fotelu zwróconym w stronę okna. W dziennym świetle szyła coś zawzięcie, walczyła z igłą i grubym materiałem, nadymając usta

i robiąc komiczne miny. Włosy miała spięte w pozornie niestaranny kok, z którego wymykały się kosmyki. Wyglądała wesoło i uroczo. Oficer miał ochotę wziąć ją w ramiona. Zauważyła go dopiero, gdy w przedpokoju wybuchł harmider wrzeszczących z radości dzieci.

– Och, to ty! – Poderwała się z fotela i nieporadnie próbowała schować robótki za plecami. Zrezygnowała jednak, widząc uśmiech na twarzy kapitana. Sama parsknęła śmiechem. – A niech tam! To miał być prezent dla ciebie na gwiazdkę. Nie patrz!

– Spodnie? Uszyłaś mi spodnie? – Pan Michał czuł jednocześnie rozbawienie i rozrzewnienie. Podejrzewał, że takie uczucie to właśnie szczęście.

– Te, które nosisz, składają się z samych łąt i szwów. Kupiłam porządne sukno, miękkie, ale bardzo mocne. Ponoć francuscy oficerowie szyją sobie z tego mundury – oznajmiła z przejęciem. – Zafarbowałam na czarno, wiem, że lubisz ten kolor jeszcze z wojska. Staralam się wykroić je na wąsko, na wojskową modłę. Jeszcze nie są skończone, ale do Wigilii będą gotowe. Będziesz w nich wyglądał jak francuski huzar!

– Elegancja i wygoda. – Obejrzał zademonstrowane ubranie. – Są wspaniałe. Nie wiem, jak się odwdzięczę.

– Nie musisz robić mi żadnych prezentów – powiedziała, spuszcżając wzrok. – Wystarczy, że jesteś.

Michał podszedł do niej i chwycił za ręce, w których trzymała spodnie, jakby się nimi zasłaniając. Uniósł jej dłonie i pocałował. Spojrzała na niego, jej oczy błyszczały radością. W tym momencie do pokoju wpadły dzieciaki obwieszone sznurami obwarzanków. Wrzeszczały jedno przez drugie o pięknej choince, którą przyniósł wujek. Hanna roześmiała się pełną piersią, wesoło i szczerze.

– Dobrze, ale przystroimy ją dopiero jutro rano – powiedziała. – Możecie gonić do Tomasza, niech wyjmie z piachu w piwnicy zalane woskiem jabłka

i kilka pomarańczy. Powiesimy je na drzewku. No, biegnijcie. Tylko uważajcie na Kasię!

– Mam nadzieję, że generał policji da wam wolne w Wigilię – dodała, kiedy dzieci z wrzaskiem pognały na dół.

– Mamy trudną, bardzo pracochłonną sprawę... – Zawahał się, czy wspomnieć jej o niebezpieczeństwie, które mu grozi, ale stwierdził, że lepiej będzie, jeśli to przemilczy.

– Chciałabym, byśmy byli tego wieczoru razem, całą rodziną...

– Ja też bym chciał. – Ciągle trzymał ją za złączone ręce. Nie potrafił się zmusić, by puścić. Dotyk był tak przyjemny. On też nie próbowała się oswobodzić, a nawet jakby sama przysunęła się do Michała.

Patrzyli sobie w oczy i milczeli. Hania uśmiechała się łagodnie.

– Wyjdiesz za mnie? – spytał, zaskakując samego siebie.

– Tak – odparła bez wahania.

A potem go pocałowała.

Rozdział 15

Tego ranka Gliński nie był w najlepszym humorze. Po pierwsze, całą noc nie zmrzążył oka i czuł się okropnie zmęczony, po drugie zaś, nie miał czasu, by przed pójściem do urzędu posiedzieć trochę w cukierni, poczytać gazetę i porozmawiać z kimś znajomym. Zwyczajowy plan dnia diabli wzięli. Sekretarz generalny policji od razu pognał do Pałacu Saskiego i wpadł do swego gabinetu. Przed wejściem czekało już trzech kancelistów z niezwykle ważnymi sprawami, których nie dało się odłożyć na później. Gliński musiał zakasać rękawy i podpisać kilka dokumentów, a następnie wystosować kolejnych kilka pism do szefów podległych mu urzędów. Praca ta była żmudna i wymagała pełnego skupienia. Nie wchodziło w grę, by na państwowym dokumencie pojawił się kleks czy błąd. Pan Augustyn musiałby wtedy wszystko pisać od początku. Na szczęście wprawy w operowaniu piórem nabył jako student Collegium Nobilium pod surowym okiem księży pijarów, a doskonały charakter pisma wykształcił sobie w pierwszej pracy jako sekretarz marszałka wielkiego koronnego. Spędzał wtedy całe dni na starannym przepisaniu dokumentów, dziś więc poradził sobie z tym zadaniem nad wyraz sprawnie i już po dwóch godzinach pracy ukradkiem wyszedł z gabinetu.

Przemknął korytarzem niczym cień, starannie unikając spotkań z policyjnymi kancelistami, którzy z pewnością zasypaliby go kolejnymi zaległymi sprawami. Pognał schodami na wyższe piętro, gdzie znajdowały się urzędy magistrackie, i ruszył zwawo do gabinetu znajomego referendarza, a właściwie przyjaciela z masońskiego rytu. Pocałował jednak klamkę, urzędnika dziś nie było. Nie zdobył zatem dostępu do kartotek miejskich, w których chciał sprawdzić historię rodziny Parysów. Zaczepianie

pomniejszych urzędników – grzecznych, ale śmiertelnie poważnych i przekonanych o własnej wielkości oraz powadze pełnionych obowiązków – nie miało sensu. Żaden nie odważyłby się wykonać czegoś niezgodnego z przepisami, a wpuszczenie do archiwum policjanta bez upoważnienia prezydenta miasta do takich czynów właśnie należało.

Gliński oparł się o ścianę korytarza, spoglądając przez okno na ciągnący się w dal Ogród Saski. Ten wyglądał dziś bajkowo, przysypany czystym, jeszcze niezabrudzonym sadzą z miejskich kominów, śniegiem. Po ogrodowych alejkach, mimo mroźnej pogody, spacerowały damy, wokół których biegały rozwrzeszczane dzieciaki. W powietrzu dało się wyczuć nastrój zbliżających się świąt. A może to tylko zapachy z pokoiku stróża, który podgrzewał właśnie na piecu przyniesioną z domu zupę?

Pan Augustyn drgnął, wracając do rzeczywistości. Nie ma wyjścia, znów będzie musiał wymknąć się z Pałacu Saskiego, by udać się do królewskiego zegarmistrza Gugenmusa, najlepiej poinformowanego człowieka w Warszawie. Pewnie ten wie wszystko o rodzinie Parysów – nawet takie rzeczy, o których prawie nikt poza nim nie słyszał. Trzeba dowiedzieć się, gdzie mieszka matka zabitej panny Parys i jak najszybciej podjąć jej obserwację. Może uda się zlokalizować szpiega-królobójcę, a przynajmniej trafić na jego trop. Liczne, coraz bardziej zaległe i piętrzące się sprawy urzędowe będą musiały poczekać. Oby tylko minister Potocki nie dowiedział się, czym zajmuje się jego najważniejszy urzędnik.

– Wasza ekscelencjo – zza pleców Glińskiego dobiegł młody głos. – Pan wybaczy, że przeszkadzam w rozmyślaniach, ale czy mógłby mi pan poświęcić chwilę?

Pan Augustyn odwrócił się i stanął twarzą w twarz z przystojnym mężczyzną ubranym w doskonale skrojony surdut i koszulę z nakrochmalonym na sztywno kołnierzem, aż wbijającym się w policzki. Patrzyły na niego bystre, błyszczące inteligencją oczy. Twarz chłopaka była pokancerowana i opuchnięta, mimo to młodzieniec z trudem powstrzymywał

się przed uśmiechem, który chyba rzadko schodził z jego ust.

– Czego sobie życzysz, chłopcze? – Sekretarz generalny westchnął ciężko, domyślając się, że pewnie oto upolował go któryś z nowych kancelistów Ministerstwa Policji. Zaraz też przedstawi problem, którego rozwiązanie będzie wymagało od wielogodzinnego grzebania w papierach.

– Nazywam się Tomasz Dangiela i miałem przyjemność pracować wczoraj z pańskimi podwładnymi.

– Tak?

– Z tajną policją, ze śledczymi.

– Ach, słyszałem o panu! – Pan Augustyn przypomniał sobie sprawozdanie Ilnickiego, w którym ten nie pominął osoby młodego Dangiela. – Czy nie jest pan przypadkiem spokrewniony z producentem powozów?

– Tak, to mój ojciec – z niechęcią czy nawet wstydem przyznał urzędnik. – Ale ja nie zamierzam przejąć tego interesu, wybrałem sobie jako cel życiowy karierę w służbie ojczyzny. Traf chciał, że wylądowałem w administracji, jestem kancelistą w magistracie.

– Doskonałe miejsce na rozpoczęcie kariery – zauważył Gliński. – Może zostać pan nawet prezydentem miasta.

– Kiedy mnie nie marzy się pogrzebanie żywcem w papierach! Nie chcę spędzić młodości w archiwach, siedząc za biurkiem i nurzać się w atramencie. Pragnę działać dla dobra ojczyzny, ale naprawdę działać, a nie tylko pozorować działanie, siedząc na tyłku w pałacu. To dlatego na ochotnika zgłosiłem się, by poprowadzić zniszczenie skonfiskowanych dóbr angielskich. To miała być praca w terenie, z ludźmi, choć wyszło, jak wyszło. Mało co nie zostałem zlinczowany.

– Dobrze, mój panie, ale co ja mam z tym wspólnego? – zirytował się naczelnny policjant Księstwa, który miał mnóstwo ważniejszych spraw na głowie niż kariera i marzenia jakiegoś młodzieńca.

– Chcę wstąpić do Policji Śledczej – pewnym głosem oznajmił Dangiela. –

Będę wspaniałym narybkiem. Nie dość, że potrafię pisać i czytać, znam francuski, niemiecki i rosyjski, mam ogładę i wyniesioną z domu kulturę osobistą, to do tego jestem sprawny niczym akrobata, umiem strzelać, brałem lekcje szermierki, jestem też sprytny i zwinny. Nie znajdziesz pan w całym mieście lepszego kandydata na śledczego.

Gliński uśmiechnął się smutno.

– Coś ty sobie ubzdurał, chłopcze – powiedział, kręcąc głową. – Nie wiesz, na co się porywasz. W zespole śledczym nie zrobisz takiej kariery jak w magistracie. Nie zarobisz też większych pieniędzy. Służba jest ciężka i wymagająca, a do tego preferowani są do niej ludzie z doświadczeniem zarówno życiowym, jak i bojowym. Najchętniej przyjmuję nawróconych bandytów, mężczyzn znających środowisko zbrodni, potrafiących sobie radzić w najmroczniejszych stronach miasta. Gdybym cię przyjął, skazałbym cię na paskudne i krótkie życie.

– Ale ja...

Sekretarz generalny wziął go pod ramię i ruszył z nim korytarzem w kierunku schodów.

– Najlepiej zrobisz, jeśli wrócisz grzecznie do swojej kancelarii i pilnie zabierzesz się do pracy. Kiedy znudzi ci się w urzędzie, wróć do fabryki ojca i zajmij się produkcją karet. O policji jednak zapomnij, nie potrzebujemy w niej grzecznych i odczytanych chłopców. Tylko twardych i bezwzględnych mężczyzn. Rozumiesz?

Dotarli do schodów, gdzie pan Augustyn puścił chłopaka i zaczął samemu schodzić na dół. Myśłami krążył już wokół sposobów na wymknięcie się z pałacu. Tomasz jednak kroczył za nim, najwyraźniej nie zamierzając rezygnować.

– Jest pan w błędzie, wasza ekscelencjo – oznajmił dobitnie. – Nie docenia mnie pan, z pewnością bardzo bym się wam przydał. Przecież działalność śledczych nie ogranicza się tylko do nocnych napadów na rezydencje

bogaczy i torturowania podejrzanych. Myślę, że wielu z pochopnych i gwałtownych czynów dokonywanych przez pana ludzi można by uniknąć, gdyby w oddziale znalazł się człowiek mający głowę na karku. Gdybym mógł tylko jakoś się przysłużyć rozwiązaniu prowadzonej przez was sprawy...

Gliński odwróci się gwałtownie i srogo zmarszczył brwi.

– Zobowiązuję pana do zachowania dyskrecji. Proszę jak najszybciej zapomnieć o tym, co pan widział i słyszał ostatniej nocy. To dla pana własnego dobra, Dangieli.

– Oczywiście, wasza ekscelencjo. Może pan na mnie polegać. – Tomasz wyprężył się na baczność. – Natomiast co się tyczy owej sprawy, mogę udowodnić swoją przydatność. W ciągu dwóch godzin dowiem się więcej o pannie Emilii Parys i jej rodzinie niż wszyscy pana śledczy razem wzięci przez cały dzień. Chciałbym tylko, żeby potem jeszcze raz rozważył pan moją prośbę. Nic więcej.

Pan Augustyn spojrział na niego z ciekawością. Oferta młodzieńca była bardzo korzystna i gdyby wywiązał się z zadania, wielce ulżyłby mu w wysiłkach. Oficjel zatrzymał się po zejściu ze schodów i lekko uśmiechnął do rozmówcy.

– Najdalej w południe widzę pana w moim gabinecie – rozkazał krótko. – Do tego czasu może przekopie się przez zaległą robotę – dodał już do siebie w myślach.

Dangieli rozpromienił się w szerokim uśmiechu i pędem ruszył z powrotem na górę. Gliński spojrział na niego z zadowoleniem. Przydałby mu się w Wydziale Śledczym taki rzutki i energiczny funkcjonariusz, ale mimo wszystko trochę byłoby go szkoda. Na całym świecie policję kryminalną tworzyło się z przestępców, morderców i wszelkiego rodzaju szumowin wyciągniętych z więzień i rysztołów. Kapitan Ilnicki nie pasował do tej charakterystyki, ale potrzebny był w wydziale jako dowódca, a któż lepiej poradziłby sobie z grupą bandziorów niż były żołnierz, człek silny i dobrze

radzący sobie w trudnych sytuacjach. Natomiast młody Dangel do tej kompani zupełnie nie pasował. Koledzy z wydziału tylko by go zdeprawowali, a przy kontakcie z prawdziwą zbrodnią młodzieniec nie dałby rady. I pewnie poległby w czasie pierwszej poważniejszej akcji.

– Pan sekretarz generalny policji, Augustyn Gliński? – Przed oficjalistą stanął wąsaty oficer w mundurze szwoleżera-lansjera.

Gliński zamrugł zaskoczony. Oszłomiły go barwne wyłogi, błyszczące srebrem i złotem guziki oraz epolety na mundurze żołnierza. Ułan nosił na głowie wysoką rogatywkę z kitą i błyszczącą blachą z numerem pułku.

– Tak, o co chodzi?

– Pójdzie pan ze mną – zimno oznajmił oficer.

– Dokąd? Co to ma znaczyć?

– Zaprasza pana na śniadanie minister wojny – huknął szwoleżer.

Urzędnik posłusznie skinął głową i bez mrugnięcia okiem skierował się do swego gabinetu po płaszcz i kapelusz. Wyglądał na spokojnego, ale w środku dygotał z niepokoju. Czegóż, u licha, może od niego chcieć sam książę Józef Poniatowski?

Rozdział 16

Ilnicki wyciągnął z kieszeni dokument z wielką pieczęcią, opatrzony dodatkowo licznymi, zamaszystymi podpisami i asygnujący go na stanowisko oficera policji. Wręczył papier dowódcy warty, posepnemu chudzielcowi w mundurze fizyliera. Sierżant obejrzał dokument, marszcząc brwi, ale nawet nie próbował go czytać, widocznie nie najlepiej radził sobie z tą sztuką.

– Zatem z kim chcesz się pan widzieć? – spytał z niepewnością w głosie.

– Z dowódcą placu czy kto tam aktualnie dowodzi w kuźni – odparł kapitan.

– Komendanta nie ma o tej porze, zapytam oficera dyżurnego – mruknął sierżant i odszedł z papierem w stronę zabudowań.

Pan Michał musiał przyjść do Kuźni Artylerii Koronnej w pojedynkę, bo Szaja nie pojawił się na posterunku. Oficer stał więc przy bramie jedynie w towarzystwie pełniących wartę dwóch fizylierów. Byli to młodzieńcy, którym wąż się ledwie sypnął. Jednemu z nich zbyt duża rogatywka nieustannie opadała na oczy. Kapitan zastanawiał się, czy umieliby użyć muszkietów, które mieli przewieszane przez ramiona. Byli tacy jak większa część młodej armii odradzającego się państwa – zupełnie niedoświadczeni, ale z pewnością dzielni. Nie zdążył z nimi porozmawiać, bo wrócił dowódca warty, by zaprowadzić go do wartowni, w której pełnił służbę oficer dyżurny.

Ilnicki tylko w przelocie rzucił okiem na wojskową fabrykę. Na placu manewrowały wozy z drewnem opałowym, kręciło się przy nich kilku parobków. Z kominów kuźni walił dym, z daleka słychać było szum miechów i okrzyki robotników. Policjant miał nadzieję, że spotka tu jakiegoś znajomego artylerzystę, ale jedynymi żołnierzami w okolicy byli młodzi

fizylierzy.

Oficer dyżurny również okazał się piechurem. Choć wyglądał na starego wygę, pan Michał niestety go nie znał. Nie wstał, by powitać przybysza, nawet nie podniósł na niego wzroku. Siedział za biurkiem, w dłoni trzymając dokument kapitana. Miał cienkie, sprawiające wrażenie zjeżonych, wąsiki i wklęsłą bliznę na czole. Na jego twarzy malowała się niechęć.

– Nie wydaje mi się, bym mógł wpuścić policję do kuźni – powiedział. – To teren należący do armii i wszyscy pracownicy podlegają pod administrację wojskową. Miejska policja nie ma prawa nikogo z nich aresztować.

– Ani mi to w głowie – spokojnym, wręcz pokornym tonem odparł Ilnicki. – Chcę tylko pogadać z majstrami wyrabiającymi amunicję. Zasięgnąć porady mistrzów na temat bomb artyleryjskich.

Fizylier wreszcie uniósł wzrok i zmierzył przybyłego pogardliwym spojrzeniem. Pan Michał domyślał się, o co chodzi. To przez napoleońską propagandę, która sięgnęła po wzorce antyczne i wprowadzała zwyczaje nawiązujące do rzymskich. Afirmowała wojsko, wbijała ludziom do głów, że służba w armii to najwyższy honor, a za prawdziwych obywateli i patriotów mogą się uważać jedynie ci, którzy walczą za ojczyznę. Skutkiem tego wojskowi zaczęli się mieć za lepszych od cywili i coraz częściej patrzyli na nich z góry. W Księstwie Warszawskim dało się zauważyć identyczne zmiany obyczajowości. Społeczność żołnierska wytworzyła coś w rodzaju nowego stanu, kasty uważającej się za uprzywilejowaną. Mundurowi coraz jawniej traktowali z pogardą mieszczan, a nawet szlachtę. Połączeni więzami braterstwa broni, przynależnością do żołnierskiej braci, zupełnie odizolowali się od społeczności.

– A na cóż łapaczom rzezimieszków wiedza o bombach? – prychnął fizylier. – Nie powinienes pan pilnować, by nikt nie okradał straganiarek na Starym Mieście?

– Kiedy kształciłem się w królewskiej Szkole Głównej Artyleryjskiej,

uczono mnie, że oficer polskiego wojska powinien traktować funkcjonariuszy pozostałych służb państwowych z należnym im szacunkiem. – Głos Ilnickiego stwardniał. Kapitan wyjął dokument z rąk oficera dyżurnego, złożył go i schował do kieszeni. – Gdy biłem się w armii Naczelnika^[25] o Warszawę, razem ze mną walczyli i ginęli miejscy urzędnicy, policjanci, a nawet stróże. Żadnemu z nas, oficerów, nie przyszło wtedy do głowy, by traktować ich z wyższością. Widzę, że od czasów, gdy przeszedłem w stan spoczynku, w armii wiele się zmieniło. A może w akademii, którą kończył pan porucznik, uczono pogardy dla pozostałych służb?

Ilnicki domyślał się, że fizylier żadnej akademii nie kończył. Jak często się zdarzało w czasach wojny, otrzymał epolety za zasługi na polu bitwy. Cios okazał się celny, bo żołnierz pobladł i wstał od stołu.

– Gdyby nadal nosił pan mundur, skłonny byłbym zażądać satysfakcji za oskarżanie mnie o zachowanie niegodne oficera – powiedział. – Zważywszy jednak na fakt, że jest pan weteranem zasłużonym w insurekcji, puszcę pańskie słowa w niepamięć. Mimo wszystko nie mogę panu pozwolić na swobodne chodzenie po kuźni i wypytywanie majstrów o tajemnice służbowe. Udam się z panem i będę kontrolował przesłuchania.

Kapitan skinął tylko głową na zgodę. Naburmuszony porucznik wskazał mu drzwi i po chwili przeprowadził przez plac prosto ku kuźniom. Szedł przodem, z rękami założonymi z tyłu.

– Czy wytapiacie także armaty? – zagaił pan Michał.

– Ależ skąd! Nie mamy tu ludwisarni – burknął fizylier. – Niby skąd mielibyśmy zdobyć materiały na brąz, skoro całą cynę zarekwirowali Francuzi? Nawet dzwony kazali z wież kościołów zdejmować. Pewnie zgromadziłoby się sporo miedzi, ale co nam po samej miedzi?

– Piękną ludwisarnię zbudował Piotr Aigner w czasie przebudowy Arsenалу, ale chyba nigdy jej nie uruchomiono.

– O tak, budynek długi na sto kroków. Duża fabryka – przyznał piechur. –

I mają ją uruchomić, jak tylko książę Poniatowski zdobędzie materiał na armaty.

– Zatem robicie tu tylko amunicję. Żelaza na żeliwo pewnie jest sporo, a i węgla można ze Śląska nawieźć. – Ilnicki pokiwał głową, gdy zatrzymali się przed otwartymi wrotami pierwszej z kuźni.

– To nie byle węgiel, a specjalna odmiana. – Porucznik wskazał stertę czarnych kamieni zapełniających sąsiadującą szopę.

Mężczyźni stali chwilę, patrząc w ogień huczący w otwartym piecu, do którego paleniska parobkowie pakowali grube, brzozone bale. Stapiano tu żelazo z węglem, tworząc stop odpowiedni do odlewu kul. W okolicy kręcił się majster, rozebrany do pasa i umazany węglowym pyłem niczym diabeł. Ilnicki nie palił się, by mu przeszkadzać, toczył niespieszną rozmowę z fizylierem. Okazało się, że ten doskonale zna technologię wytwarzania amunicji. W trakcie pogawędki znikło gdzieś złowrogie nastawienie obu mężczyzn. Wspólne zainteresowania błyskawicznie stopiły lody i pozwoliły im szybko zapomnieć o niedawnym spięciu.

Wreszcie porucznik przedstawił się jako Krystian Załuski. Okazało się, że w czasach insurekcji pracował jako pomocnik majstra w młynie prochowym na Gołędzinowie. To z jego magazynów młody fajerwerk^[26] Ilnicki pobierał proch do powstańczych armat. Całkiem możliwe, że spotkali się wtedy i to nie jeden raz. Później Załuski wstąpił do pruskiej armii, ale Niemcy nie chcieli Polaka w elitarniej artylerii, wylądował zatem w piechocie. Kiedy doszło do wojny Prus z Francją i pojawiły się szanse na odrodzenia Polski, natychmiast zdezerterował i wstąpił do Legii Północnej^[27]. W oblężeniu Gdańska został paletowany^[28] na oficera, a potem wylądował w Warszawie. Do tej pory żałował, że los nie pozwolił mu zostać artylerzystą.

Możliwość wyplakania się Ilnickiemu ze swoich trosk i rozczarowań podziałała na fizyliera jak najlepszy trunek. Po godzinnej rozmowy traktował pana Michała niczym starego przyjaciela i radośnie zdradzał mu wszystkie pilnie strzeżone tajemnice wojskowe, których niedawno tak heroicznie bronił.

Z wielką dumą pokazał kapitanowi piec do odlewania kartaczy, jakby urządzenie było jego dzieckiem. Kiedy obeszlą wszystkie otwarte kuźnie, zaprowadził gościa do szop, w których znajdowała się szlifiernia. Przy kręcących się kamiennych kołach szlifierskich siedzieli czeladnicy. Każdy trzymał w dłoniach surową kulę armatnią, którą przyciskał do wirującego koła. Co jakiś czas robotnicy moczyli szlifowane kule w baliach z wodą. W sufit leciały iskry, w powietrzu unosił się zapach rozgrzanego żelaza.

– To wszystko, co mogę panu pokazać, drogi panie Ilnicki – z uśmiechem oświadczył Załuski. – W tamtych budynkach znajduje się, przeniesione z ulicy Niskiej, tak zwane Laboratorium Artyleryczne. W nim pracują wyłącznie artylerzyści, znaczy sami wojskowi. Robią tam amunicję specjalną, bomby zapalające i takie tam. W Laboratorium panuje całkowity zakaz wstępu dla niepowołanych.

– Nie robi mi pan tego, panie poruczniku! Błagam pana, to właśnie ze specjalistami od bomb chciałem rozmawiać – gorąco poprosił kapitan. – To nie tylko czcza ciekawość z mojej strony, ta sprawa jest ważna dla bezpieczeństwa publicznego.

– Nie wiem, mógłbym potem mieć kłopoty – zafrasował się fizylier. – Ale z drugiej strony trudno odmówić koledze weteranowi. Niech to będzie gest przyjaźni dla dawnego żołnierza. Proszę tedy, pójdziemy do laboratorium jednego z najlepszych oficerów, a przy okazji mojego drogiego towarzysza broni. Razem walczyliśmy w oblężeniu Gdańska, a potem Torunia. To świetny młody żołnierz, a do tego wybitny uczonek. Może mi wybaczy, jeśli przyprowadzę do jego pracowni dawnego oficera, a do tego znawcę sztuki wojennej. Niech pan go komplementuje, to z pewnością będzie łaskawy i odpowie na wszystkie pytania. Proszę za mną, panie Ilnicki.

Murowany, przysadzisty budynek, do którego poszli, miał wysokie okna i naprawdę grube, solidne mury. Leżał w pewnym oddaleniu od szop i kuźni, a od strony miasta otaczał go wał ziemny. Kapitan domyślił się, że solidna konstrukcja miała przetrwać ewentualny niespodziewany wybuch, a okna tej

wielkości służyły temu, by wyrzucić falę uderzeniową na zewnątrz bez rozrywania dachu. Wał ziemny chronił okolicę przed zasypaniem płonącymi odłamkami. Laboratorium Artyleryczne zbudowano więc nowocześnie, nie zapomniawszy o bezpieczeństwie.

Przy wejściu zatrzymało ich dwóch strażników w zielonych, artyleryjskich kurtkach i z czakami ozdobionymi orłem siedzącym na skrzyżowanych armatach. Załuski przywitał ich skinieniem głowy i oznajmił, że przyprowadził gościa do pana kapitana. Niezatrzymywani, przeszli mrocznym korytarzem, mijając kilka masywnych, okutych żelazem drzwi. W powietrzu unosił się przesycony mocznikiem zapach nawozu, z którego robiono saletrę do prochu, czuć też było siarkę. Fizylier zatrzymał się przed lekko uchylonymi drzwiami i mocno w nie zapukał. Nikt nie odpowiedział, ale porucznik śmiało wszedł do środka.

Znaleźli się w sali o owalnym sklepieniu niegdyś białym, obecnie niemal czarnym od sadzy ze świec i lamp kamfinowych. Na dwóch długich stołach leżały sterty rupieci, wśród których Ilnicki dostrzegł w przelocie pootwierane korpusy bomb, rozsypane kulki kartaczy, woreczki na proch, którymi wypełniano rozrywające się kule, a do tego liczne narzędzia: szczypce, młotki i młoteczki, szkła powiększające, kliny i brzeszczoty. Wśród bomb i ich części stały kałamarze i stojaki na pióra, leżały zabazgrane i upačkane woskiem ze świec kartki. Podobna rupieciarnia znajdowała się na biurku i regałach przy ścianach. Pracujący tu naukowiec nie należał do przesadnie porządnym.

– Nie ma go – zauważył Załuski. – Ale zostawił otwarty gabinet, znaczy, że tylko wyszedł gdzieś na chwilę. Poczekamy, z pewnością lada moment się pojawi.

– Kim jest ów mędrzec? – spytał Ilnicki, przechadzając się między stołami.

Zauważył stojącą pod jednym z nich beczkę z prochem. Na blacie nad nią tkwił świecznik z obecnie zgaszonymi kikutami kilku łożówek. Oficer, który tu pracował, musiał lubić dreszczyk niebezpieczeństwa i sam go sobie

gwarantował.

– Mędrcom raczej bym go nie nazwał, ale bez wątpienia jest oficerem obdarzonym niezwykłą wyobraźnią. – Porucznik ruszył za gościem. – Ale niech pan niczego nie rusza!

Pan Michał pochylił się właśnie nad otwartą skrzynią zawaloną pogiętymi, czarnymi kawałami żeliwa. Wziął w rękę jeden z nich. To był fragment rozerwanej wybuchem kuli. Cała ich sterta bardzo przypominała te zebrane przez śledczych w pałacyku i przekazane Francuzom. Czyżby właśnie tu trafiły zarekwirowane przez Wielką Armię odłamki?

Machnął ręką, odganiając Załuskiego jak natrętną muchę. Rzucił żeliwo z powrotem do skrzyni i rozejrzał się bardzo uważnie po pracowni. Dосkoczył do biurka. Na blacie leżały rozsypane krzemienie karabinowe, obok pistolet z rozebrany na części zamkiem. Kapitan wysunął szufladę i aż wstrzymał oddech z wrażenia. Wewnątrz błyszczała sterta kółek zębatych i sprężyn. Rozebrane mechanizmy zegarowe!

– Co pan wyprawia, do stu diabłów! – oburzył się fizylier. – Jak pan śmie?!

– Jak się nazywa oficer, który tu pracuje? – spytał Ilnicki.

– Pan pyta o mnie? – W drzwiach stanął wysoki mężczyzna w ciemnozielonym fraku. Ostry, niechętnym spojrzeniem czarnych oczu świdrował intruza. – Jestem kapitan Karol Parys. Z kim mam przyjemność?

– Parys? – szepnął zaskoczony policjant. – Jak to?

– Kim pan jesteś?! Czemu grzebiesz pan w moich rzeczach?! – wybuchł artylerzysta.

– To pan podłożyłeś bombę w pałacu na Żoliborzu – syknął kapitan. – Emilia Parys była pańską krewną? Zginęła przez przypadek?

– To policjant, były żołnierz, kapitan Ilnicki. Panowie, proszę o spokój. Chyba spotkało nas jakieś nieporozumienie... – Załuski próbował załagodzić sytuację.

– Policjant? – Parys wszedł do środka, jedną ręką rozpinając frak. – I sam go tu sprowadziłeś, Krystianie?

– Przyszedł węszyć – burknął piechur. – Wpierw chciałem go przegonić, ale potem pomyślałem, że lepiej sprawdzić, ile wie...

Ilnicki sięgnął do kieszeni po pistolet. W tej samej chwili artylerzysta wyszarpnął z pochwy u pasa szablę i runął do ataku. Policjant rzucił się w tył, przeokołkował przez stół, zrzucając z niego kilka rupieci. Ostrze gwizdnęło w powietrzu. Pan Michał przykucnął, znów się przeturlał, tym razem po podłodze. Szabla zadzwoniła o kamienną podłogę w miejscu, gdzie przed chwilą był. Parys nacierał, ciął zamazyście raz za razem. Przeskoczył przez stół i ponownie zaatakował, tym razem śmiertelnym pchnięciem. Pióro szabli rozpruło pelerynę cofającego się śledczego, ale jego samego nie zraniło. Policjant wy dobył wreszcie pistolet i wymierzył go we wściekłego artylerzystę.

– Dość! Rzuć broń, bo cię zastrzelę! – wrzasnął.

Kątem oka zauważył ruch z boku. Skulił się, obracając jednocześnie do nowego przeciwnika. Załuski spadł na niego, w garści trzymając za lufę pistolet z rozebrany zamkiem. Okuta blachą rękojeść gruchnęła w tył głowy Ilnickiego.

Kapitanowi eksplodował przed oczami biały błysk. Tępy ból głęboko wbił się w czaszkę. Mężczyzna osunął się na podłogę. Niezdarnie próbował zasłonić się przed uniesioną do kolejnego ciosu bronią. Rękojeść trzasnęła go drugi raz w bok głowy. Runął na twarz, bryzgając wokół krwią.

Rozdział 17

Gliński przez chwilę łudził się, że został zaproszony przez księcia Poniatowskiego do Pałacu Pod Blachą. Budowla do niedawna słynęła jako siedziba rozpasania i rozpusty, w której księżę Pepi urządzał dzikie orgie i niebywale pijaństwa, ale ostatnimi czasy wszystko się zmieniło. Jego kompani – jeszcze kilka miesięcy temu banda obiboków i awanturników – przywdziali mundury i stali się oficerami polskiej armii, a sam księżę ich dowódcą. Urzędnicy tacy jak Gliński nigdy nie mieli wstępu na książęce salony, arystokracja jawnie pogardzała mieszczanami w drogich surdutach. Wiele się jednak zmieniło, może zaproszenie na śniadanie to ciąg dalszy zmian w obyczajach na wysokich dworach? Dla pana Augustyna prawdziwym honorem byłoby wejść do słynnego pałacu i siąść do stołu w towarzystwie człowieka, w którego żyłach płynęła królewska krew, a do tego najpopularniejszego bohatera nie tylko Warszawy, ale całego kraju.

Niestety ułan, który przyszedł po policjanta, a teraz, siedząc w siodle, pilotował jego powóz, zamiast skrócić w kierunku Zamku Królewskiego, pogalopował w przeciwną stronę. Przejechali Nowym Światem i przecięli Rozdroże Złotych Krzyży^[29], kierując się na Ujazdów. Sekretarz generalny zaczął wiercić się na siedzeniu, coraz bardziej zaniepokojony. Jednak nie będzie wykwintnego śniadania w pałacu, szybciej księżę może kazać wywlec Glinę z powozu, wychłostać i wygnać za rogatki. Pewnie ma pretensje o niezamknięte śledztwo wymierzone przeciw Francuzom. Pepi wszak słynął jako najbardziej profrancuski z polskich oficerów, do tego był zafascynowany zachodnią kulturą i obyczajowością.

Ułan skręcił w bramę rozległych koszarów ujazdowskich. Pan Augustyn ujrzał szeregi stajni i uwijających się przy koniach licznych żołnierzy

w furazerkach. Mundurowi szwoleżerowie przechadzali się dumnie, z podniesionymi głowami i natchnionymi obliczami niczym średniowieczne rycerstwo, nie widząc błota ani końskiego nawozu, po którym kroczyli. Glina ze zgrozą skonstatował, że ułani księcia Józefa to zbieranina największych bufonów i egzaltowanych rycerzyków w polskiej armii. Z pewnością walczyli dzielnie jak prawdziwi rycerze, ale i z równą pogardą potraktują jakiegoś tam zakichanego policjanta. Możliwe, że śniadanie skończy się dla Glińskiego obiciem nahajkami i pogonieniem przez ulice ze spuszczonej spodniami, jeśli taka będzie fantazja uroczych przyjaciół księcia Józefa. W każdym razie na szacunek dla urzędu nie miał co liczyć. Wszystko zależało, w jakim nastroju jest sam książę.

Prowadzący lansjer podniósł rękę, sygnalizując stangretowi, by zatrzymał powóz. Gliński wstał i starając się zachować dobrą minę, zszedł w, na szczęście zmarznięte, błoto. Nie musiał pytać, gdzie znajdzie księcia, nie sposób było się pomylić. Poniatowski stał przed stajnią w mundurze mniejszym^[30] generała jazdy. Otaczało go kilku roześmianych oficerów ułanów i dwóch adiutantów, z których jeden trzymał tacę zastawioną żywnością, a drugi dzban z napitkiem.

– O, jest i nasz drogi generał policji! – zakrzyknął książę na widok gościa.

Pan Augustyn nawet nie mrugnął, choć w głębi serca aż zagotował się ze zdziwienia. Nigdy nie został przedstawiony ministrowi wojny, nie był też postacią na tyle popularną, by ów dandys i arystokrata mógł go rozpoznać. Widocznie nie spodziewał się nikogo innego.

– Pan pozwoli, panie Gliński – zaprosił go, rozkładając ramiona. – Nie mogliśmy się doczekać i zaczęliśmy śniadać bez pana. Proszę się częstować, mamy tu świeżo wędzoną kielbasę, słoninę w ziołach i słodkie bułki z mamałygą.

Glina uklonił się oficerom, zgadując, że ma do czynienia z arystokracją, okrytymi złą sławą kompanami księcia, obecnie poprzebieranymi za żołnierzy. Nie okazał też zdziwienia, widząc, że wszyscy trzymają w garści

po kawałku kiełbasy lub bułki. Sam podziękował za poczęstunek i poprosił o kubek czegoś do picia. Dostał pełen głęboki kielich wina.

Ciekawe zwyczaje ma nasz książę. Jadać śniadanie na stojąco, pod gołym niebem i w otoczeniu chędożonych^[31] przez parobków koni – pomyślał, delektując się młodym, cierpkim napitkiem.

Po przywitaniu minister wojny zignorował go i podjął przerwany wywód o urodzie żon przebywających w Warszawie francuskich oficjeli. Gliński czuł się idiotycznie, tkwiąc w otoczeniu przystojnych i pięknych oficerów rechoczących z żartów księcia. Nie sięgał żadnemu z postawnych żołnierzy nawet do brody, dalece też odbiegał od nich bogactwem stroju. Mundury ułanów olśniewały błyszczącymi guzikami i epoletami, a uszyto je z najlepszych materiałów.

Policjant szybko otrząsnął się z zażenowania i korzystając z rzadkiej okazji, przyjrzał się z bliska legendarnemu księciu. Pepi lata świetności miał już za sobą. Nie wyglądał niczym Apollo, jak lubiły go sobie przedstawiać wielbicielki. Pod opiętym mundurem widać było obfity brzusek, a łysinę ukrywał pod doskonale dopasowaną peruką. Liczne zmarszczki wokół oczu świadczyły, że arystokrata całe życie kipiał humorem i lubił się śmiać.

Wreszcie śniadanie się skończyło, książę oddał adiutantowi kielich i pożegnał krótko oficerów, mówiąc, że musi pokazać swoje włości drogiemu generałowi. Ujął pana Augustyna pod ramię i poprowadził między ciągnącymi się zabudowaniami stajni.

– Ośmieliłem się kłopotać pana, panie Gliński, w związku z kilkoma nieoczekiwanymi spotkaniami, które miałem wczoraj po zmroku i dziś o bladym świcie. Proszę sobie wyobrazić, że wieczorny raut przerwał mi sam marszałek Davout, który wprosił się na przyjęcie i wypłoszył damy. Coś niebywałego. Przyszedł naskarżyć na warszawską policję, której funkcjonariusze ponoć nie słuchają własnego ministra i dręczą, tak, dręczą oficerów Wielkiej Armii. Prowadzicie jakieś dochodzenie przeciw naszym sprzymierzeńcom?

– Niezupełnie przeciw, raczej z nimi związane. Staram się tylko wyjaśnić...

– Dobrze, nie chcę znać szczegółów. Nudzi mnie to. – Księżę machnął ręką, wykrzywiając usta z odrazą. – Żeby we własnym domu nawiedzał mnie marszałek i czynił wyrzuty! Właściwie to dał mi burę, groził nawet palcem. Musiałem w pokorze wysłuchiwać tych nudziarstw, wyrzutów i nakazów. Kazał mi zapanować nad samowolą, jaka panuje w Warszawie – albo weźmie sprawy w swoje ręce. Ech... To jednak nie koniec. Dziś rankiem miałem kolejnego gościa, który mnie obudził i zmusił do wstania bladym świtem, jakbym był jakimś chudopachołkiem karmiącym świnie. Szambelan jego wysokości Fryderyka Augusta wezwał mnie niczym do konfesjonału i bezczelnie zrugął. Że niby raczycie dręczyć osoby zaufane króla saskiego i swoim wścibstwem dążycie do narażenia dobrego imienia jego wysokości. Czy pana śledczy torturowali wczoraj w nocy kogoś przy udziale jakiegoś niemieckiego sługusa? Szambelan był bardzo oburzony. Kazał mi was wyłapać i powiesić. Król nie życzy sobie dalszego węszenia wokół jego osoby, jasne?

– Gdzież byśmy śmieli narażać naszego władcę na podobny afront! – Pan Augustyn uderzył się w pierś. – To nieporozumienie!

– Wiele o panu słyszałem, Gliński. – Księżę nie zwracał uwagi na oburzenie policjanta. Jeszcze mocniej ścisnął jego ramię i spojrzał nań, srogo marszcząc brwi. – Jak dotychczas, wiele dobrego. Jesteś pan ponoć uczciwy i nieprzekupny, rządny prawdy i mający poczucie sprawiedliwości. Nie podoba mi się jednak, gdy sypią mi się gromy na głowę z powodu awantur wyczynianych przez śledczych. Moja duma została bardzo boleśnie urażona. Pomiatają mną Niemcy i Francuzi, traktują jak lokaja, który nie dopilnował swoich pomagierów od wynoszenia stolców oraz nocników.

– Jest mi niewymownie przykro.

– I będzie jeszcze bardziej. Hrabia Potocki od rana klęczy na dywanie w poczekalni u króla Fryderyka Augusta, pokornie czekając na audiencję.

Niech się pan spodziewa, że panu za to podziękuję.

Gliński przełknął ślinę. Minister policji dostanie burę od samego króla, a to może zakończyć karierę generalnego sekretarza, o ile wcześniej ten nie da gardła – nie wiadomo jeszcze przecież, co mu szykuje ksiązę Pepi, wszak jego duma i honor też zostały urażone. Nie sposób było wszak przewidzieć, co chodzi po głowach dumnych arystokratów. Jedno było pewne – nade wszystko cenili sobie poczucie własnej wielkości i nie znosili, gdy było ono narażane na szwank.

Niespodziewanie ksiązę puścił ramię policjanta i wolną ręką wykonał znajomyy oficjelowi gest – tajny znak masoński. Pan Augustyn zdębiał, tym razem nie zdołał ukryć zdumienia. Wiedział oczywiście, że ksiązę Poniatowski należy do rytu i to do tego samego co on, ale nie spodziewał się, że ujawni się z tym przed byle urzędniczyną. Tymczasem gest księcia miał mówić – spokojnie, bracie, jestem swój.

– Domyślam się, że chodzi o wybuch sprzed kilku dni – powiedział arystokrata już innym tonem. – Francuzi i król saski za moimi plecami knują coś w moim mieście, potem próbują to ukryć, a gdy to im się nie udaje, ukrecają łeb sprawie. Nie jestem taki jak mój stryj^[32], nie pozwolę sobą manipulować i pomiatać, nieważne komu – carycy, niemieckiemu królowi czy francuskiemu marszałkowi. Nie stanę się marionetką, szybciej zginę.

– Staramy się...

– Bardziej się starajcie, panie Gliński. Słuchaj, bracie w loży, masz moje pełne poparcie. Zrób, co w twojej mocy, by wyjaśnić tę sprawę. Chcę mieć ją opisaną w raporcie najdalej za kilka dni. Ze wszystkimi nazwiskami i plugastwami, których się dopuścili ich właściciele. Po powrocie do gabinetu znajdziesz w nim glejt z moją pieczęcią i podpisem, który otworzy ci wrota wszystkich koszar, wojskowych archiwów i arsenałów oraz zapewni pomoc wszystkich oficerów mi podległych. I nie tylko! Jest napisany w dwóch językach, na wypadek, gdyby potrzebował pan pomocy Francuzów. Znajduje się w nim prośba o pomoc skierowana do oficerów Wielkiej Armii. Idź pan

teraz i pokaż tym zracym żaby fanfaronom, że to jest nasze miasto, a nie ich.

– Tak jest, wasza wysokość – bąknął pan Augustyn.

Uklonił się i odwrócił na pięcie.

– Liczę na ciebie, Glino! – rzucił za nim książę.

Rozdział 18

W drodze powrotnej do urzędu Glińskiego rozboleł brzuch. Picie cierpkiego, młodego wina przed obiadem, do tego na pusty żołądek nie było najlepszym pomysłem. Policjant kazał stangretowi się zatrzymać, wygramolił się z powozu i ruszył dalej piechotą. Słyszał gdzieś, że aktywność fizyczna na świeżym powietrzu może, choć tylko w niektórych wypadkach, poprawiać stan zdrowia. Ponoć dobrze robiła na serce, ale nie wszyscy lekarze byli co do tego zgodni. Panu Augustynowi też wierzyć się nie chciało, że wysiłek może przynieść coś więcej niż zadyszkę czy zwiększyć niebezpieczeństwo przeziębienia, ale stwierdził, że lepsze to niż wytrząsanie brzucha w powozie bujającym się jak szalony na dziurawych warszawskich drogach.

Przemaszerował niespiesznym krokiem przez całą długość Nowego Światu i pod koniec przechadzki poczuł się znacznie lepiej. Zdążył się uspokoić po spotkaniu z księciem i przemyśleć kilka spraw. Niespodziewanie kiszki generalnego sekretarza rozpoczęły normalną pracę i jako że były puste, zaczęły grać marsza, rozpraszając właściciela. Ten przechodził akurat obok otwartych drzwi jakiejś niespecjalnie wykwintnej traktierni i w nozdrza uderzył go zapach ciepłych potraw. Bez zastanowienia wszedł do środka i usiadł przy stole, obok mających przerwę w pracy tragarzy i pilarzy. Zażyczył sobie to samo, co oni, czyli porządną michę parującego krupniku na wieprzowinie.

Siedział w towarzystwie wyrobników przeklinających głośno oraz plugawie, lecz nie zwracał na to uwagi, w spokoju delektując się niewyszukaną, ale pożywną potrawą, gęstą od kaszy i z kilkoma tłustymi kawałkami mięsa z żeberek. Zupa zadziałała niczym balsam na trzewia Glińskiego, pozwalając mu ostatecznie odzyskać siły oraz jasność umysłu.

Teraz gotów był zmierzyć się ze wściekłym ministrem Potockim. Rzucił karczmarzowi kilka groszy i wyszedł na ulicę. Na rogu z Królewską wpadł na niego pędzący na oślep Tomasz Dangel. Młody urzędnik wysyczał przekleństwo, ale kiedy zorientował się, z kim się zderzył, zaczął wylewnie przeproszać, kłaniając się w pas.

– Proszę dać spokój, nic się nie stało. – Policjant machnął ręką. – Gdzie pan tak gnasz?

– Woźnica powiedział, że idzie pan piechotą, postanowiłem więc wyjść naprzeciw. Odkryłem coś! – wypalił ożywiony młodzieniec.

– Chodźmy zatem w kierunku pałacu, a po drodze wszystko mi pan zreferujesz. – Pan Augustyn poklepał urzędnika po ramieniu. – Co masz, chłopcze, za rewelacje, słucham?

– Znalazłem rodzinę Parysów – odparł uradowany Dangel. – To szaraczkowa szlachta o klejnocie dawno skarłałym i pokrytym kurzem. Nie mają żadnych wpływów ani majątków w Warszawie, jedynie niewielki dom niedaleko rogatek Wolskich. Dokładnie mówiąc, to na Lesznie. Plugawa okolica, w sąsiedztwie działa kilka garbarni, które zatruwają wyziewami i smrodami nie tylko powietrze, ale i okoliczne studnie. Jest tam też potężny młyn, który robi potworny hałas, a do tego fabryka maszyn żelaznych z głośnymi kuźniami i potężnymi kominami. Tamtejsze rynsztoki to siedliska paskudztwa wprost niewyobrażalnego, a domy trzęsą się od łomotu fabryk. Wokół, w rozwalających się ruderach, mieszkają głównie Żydzi i inni biedacy.

– Znaczący, państwo Parys to ludzie niezamożni, których los ulokował w wyjątkowo niekorzystnym miejscu. Cieszę się, że ustalił pan miejsce zamieszkania zabitej panny, ale czy wiesz pan coś ponadto? Kim są jej rodzice? Z kim przyjaźniła się dziewczyna? Komu mogła zwierzyć się z prób zastraszenia i stręczenia?

– Ha! Otóż to jest najlepsze. Ojciec panny Parys był pułkownikiem polskiego wojska i od kilku lat spoczywa na cmentarzu, dziewczyna

mieszkała z matką, a utrzymywał je brat, żołnierz armii Księstwa Warszawskiego. Jego akt oczywiście nie mamy, podlega wszak pod jurysdykcję wojskową, nie wiem zatem, gdzie służy ani na jakim stanowisku. Sądząc jednak po niskiej pozycji tej rodziny podejrzewam, że nie jest nikim ważnym.

– To mniej więcej zdradziła nam już pani Kiełczakowska, więc wybitnego odkrycia raczej pan nie uczyniłeś – zauważył Gliński.

– Ale to nie wszystko! – triumfalnie oświadczył Daniel. – Interesuje nas, kogo panna Parys poinformowała o schadzce z królem, kto dokonał zamachu. Tego z archiwów, rzecz jasna, nie mogłem wydobyć. Udałem się zatem do gabinetu osobistego sekretarza prezydenta miasta, Moszyńskiego, a mojego wielkiego przyjaciela, Alfonsa Czekańskiego. Ów jegomość ma słabość do arystokracji, której styl życia go fascynuje i nieodparcie pociąga. Sam pcha się na salony, choć nie jest nawet herbowy, więc jako gołodupiec nie może wbić się w towarzystwo, ale uparcie próbuje. Kto wie, może uda mu się wżenić w sfery, o ile wcześniej zgromadzi okazały majątek i na niego usidli jakąś zubożałą hrabiankę? W każdym razie ten żałosny nieszczęśnik uwielbia grzać się w blasku wszelkiego rodzaju ekscelencji i lizać im tyłki, dzięki czemu zna wszystkie plotki dotyczące życia sfer. O panie Parys jednak w życiu nie słyszał, co znaczy, że dziewczyna faktycznie była nikim. Czegoś się jednak od niego dowiedziałem! Przyszło mi do głowy, że skoro król saski upatrzył sobie naszą wybuchową ślicznotkę na balu, to ktoś musiał ją na ten bal zaprosić i wprowadzić, tak? Otóż jego wysokość przyjmuje najwybitniejszych warszawiaków i francuskich oficjeli w Zamku Królewskim. Zabawy to są dziwne, bo nie podaje się na nich wieczerzy, a jedynie obwicie raczy gości cukrami, chłodnikami i ciastami. Takie król ma upodobanie. Staruszek lubi sobie potańczyć, ale uwielbia też grę w karty, w szczególności w trysetę. W każdym razie jest ponoć na tych wieczorkach przeraźliwie nudno...

– Do rzeczy, chłopcze.

– Panna Parys nie miała szans zostać zaproszona na królewskie salony, ale mój przyjaciel twierdzi, że Fryderyk August raz był gościem na balu urządzonym przez księcia Poniatowskiego w Pałacu Pod Blachą i raz przez marszałka Davouta w teatrze warszawskim. Szczególnie bale u księcia Pepi słyną z szampańskiej zabawy i są niebywale lubiane przez warszawskie elity. Od dawna bale te organizowała kochanica księcia, pani de Vauban, ale ostatnimi czasy poszła ponoć w odstawkę, a wielką faworytą, wiodącą aktualnie rej, jest niejaka Anetka Tyszkiewiczówna. Ta piękna i niepozbawiona fantazji dama wybiera panny debiutujące na salonach. Mówi się, że to ona wytypowała siedemdziesiąt warszawianek, które zostały przedstawione jego cesarskiej mości, Napoleonowi.

– W tym panią Walewską?

– Tak! Wyszukuje ślicznotki, najlepsze polskie perły. I z całą pewnością to ona zaprosiła pannę Parys na bal, na którym wypatrzył ją stary satyr... To jest, chciałem powiedzieć, jego wysokość Fryderyk August. – Dangielski poczerwieniał z emocji. Swoje wywody podkreślał gwałtowną gestykulacją.

– Twierdzisz, że kiedy Emilia Parys została zaszantażowana, zwierzyła się właśnie Tyszkiewiczównie? To logiczne, komuż innemu mogłaby się poskarżyć? Tylko ta wpływowa dama mogła ustrzec protegowaną przed zakusami króla. Zaraz, zaraz, czy Tyszkiewiczówna nie jest przypadkiem siostrzenicą księcia Poniatowskiego? – Gliński zatrzymał się w miejscu z wrażenia, mętnie przypominając sobie koligacje warszawskiej arystokracji.

– Mało tego, Anetka jakiś czas temu wyszła za mąż za Aleksandra Potockiego, znaczy jest teraz hrabiną Potocką i dzięki temu bratową ministra policji, noszącego takie samo imię i nazwisko jak jej mąż.

Sekretarz generalny złapał się za głowę w dramatycznym i teatralnym geście.

– Zatem główną podejrzaną o konszachty z austriackim, pruskim lub rosyjskim wywiadem jest krewniczka i ulubienica księcia Pepi, a jednocześnie bratowa jego przełożonego!

– Wspaniale, prawda? – zauważył oficjalista. – Czy to nie fascynujące? Co zrobimy? Przyskrzynimy ją?

– Nie, na litość boską! – ryknął Gliński, przyciągając uwagę wszystkich spacerowiczów z placu Saskiego, na którego środku stali. – Za podobny afront z pewnością zapłaciłbym głową. Poza tym nie mamy najmniejszych dowodów jej złej woli, zupełnie nic.

– Może przesłuchać ją w podobny sposób jak Kiełczakowską? Pana śledczy doskonale sobie radzą z wyciąganiem zeznań z podejrzanych.

Pan Augustyn spojrział z ukosa na młodzieńca, podejrzewając, że ten próbuje go sprowokować. Nie mylił się, oczy chłopaka błyszczały z uciechy.

– Nie widzisz różnicy między burdelmama a hrabiną skoligaconą z najważniejszymi osobami w państwie?

– Prócz pochodzenia społecznego i sposobów działania dostrzegam wiele podo...

– Nie kończ! I wbij sobie do głowy, że nie możemy działać w ten sam sposób wobec podejrzanych pochodzących z różnych sfer. – Gliński pogroził mu palcem. – Z hrabiną będę musiał porozmawiać osobiście, a do tej rozmowy musimy się przygotować. Póki co, chyba będzie lepiej, jeśli dziś nie pojawię się w urzędzie. Wolałbym nie spotykać ministra, może mieć zły humor. Mam zatem dla ciebie kolejne zadanie. Wsłizniesz się do mojego gabinetu i zabierzesz dokument, który zostawił tam posłaniec od księcia Poniatowskiego. Ten glejt, mam nadzieję, otworzy mi drzwi do pani Potockiej. Spotkamy się w warsztatach policji na Niskiej.

Wrócił piechotą do domu, gdzie przebrał się w świeżą, wykrochmaloną koszulę ze sztywnym kołnierzem. Włożył najlepszą, jedwabną kamizelkę, elegancki, pluszowy kapelusz i odświętny frak. Do tego wzuł buty ze złotymi kłamrami, a w rękę ujął laskę z błyszczącą gałką. Nie zapomniał jednak o pistolecie, który schował w wewnętrznej kieszeni, tak na wszelki wypadek. Był gotowy do akcji na wielkopańskim dworze.

Zabrał ze sobą śmiertelnie wynudzonego Jaśka, którego kazał lokajowi ubrać we w miarę schludne ubranie, zmieniające go z rzezimieszka w służącego. Do warsztatów pojechali powozem. Bramy posterunku pilnowało czterech mundurowych policjantów, w tym dwóch ze staroświeckimi halabardami, nadającymi im dodatkowej powagi. Kolejny siedział za kontuarem w sieni głównego budynku. Zasalutował Glińskiemu i bez pytania wpuścił przybyłych.

W głównym, uprzątniętym już gabinecie zastali pochylonego nad tasakiem z osełką w dłoni Rocha Gogiela i pogrążonego w lekturze doktora Tytusa Rittera. Od doby nie pojawił się Szaja, znaku życia nie dał także kapitan Ilnicki. Zaniepokojony szef wydziału postanowił zaczekać na powrót policjantów, a przede wszystkim na Dangiela z otwierającym wszystkie drzwi dokumentem.

Jednak żaden z tej trójki uparcie się nie pojawiał.

Rozdział 19

Szara godzina, czyli ten okres zmroku, kiedy jeszcze nie zapalano świec i korzystano z resztek dziennego światła, w grudniu nadchodzi koło piętnastej. W polskich domach poświęcano ten czas, gdy czytać ani robić czegoś pożytecznego już się nie dało, modlitwie lub cichym rozmowom. Natomiast na posterunku na Niskiej Gliński zarządził partyjkę wista, modnej ostatnio gry karcianej. Jaśko nie znał tak wymagającej rozgrywki, ale błyskawicznie nauczył się reguł. Partnerował naczelnikowi wydziału, za przeciwników mając duet Rittera z Gogiem. Roch złościł się na analizującego w milczeniu karty doktora, szczególnie że mimo obliczeń oraz rozważań medyka i tak nie mogli przewidzieć wzajemnych posunięć i tracili lewą po lewej. Jaśko chichotał za każdym razem, gdy zbierał wygrane lewe, a Gliński kiwał głową z uśmiechem zadowolenia. Wreszcie wielkolud, mając przekleństwo w ustach, rzucił karty i wstał, by zapalić trzy łożówki, które rozstawił na stole.

Mimo dobrej zabawy pan Augustyn nie mógł zapomnieć o zmartwieniach. Często spoglądał w okno, za którym zrobiło się już całkiem ciemno. Podwładni nadal się nie pojawiali. Najbardziej niepokoił go los młodego Dangiela. Co stało się z tym chłopakiem? Złapali go urzędnicy, gdy wchodził do gabinetu Glińskiego i potraktowali jak złodzieja lub szpiega?

Po raz kolejny sekretarz generalny policji wyciągnął z kieszeni zegarek na łańcuszku i sprawdził godzinę. Nadeszła pora wieczery, którą zwykł jadać w domu. Ciekawe, co też przyrządziła dziś Małgorzata? Pan Augustyn lubił przed snem spożywać potrawy ciepłe, choć niezbyt obficie, by zaniechać obciążać żołądka, co mogłoby z kolei spowodować złe sny. Odłożył karty, bo przez nerwy i głód zaczynał robić się rozdrażniony i nie mógł się skupić.

Podszedł do okna i rękawem koszuli przetarł szybę. Podwórze pogrążone było w ciemnościach, a w bramie majaczyły sylwetki dwóch wartowników. Pozostałych dwóch oraz dyżurnego zza kontuaru Glina odesłał na posterunek z rozkazem przyprowadzenia zmiany.

Niestety, warszawska policja nie dysponowała na tyle dużą liczbą funkcjonariuszy, by można nimi było dowolnie dysponować. Jutro z pewnością komisarz cyrkułu będzie się domagał zwolnienia swoich ludzi z dodatkowej służby. Gliński już dawno zwiększyłby stany liczbowe policji, ale ministerstwo nie miało na to pieniędzy. Księstwo przez to, że miało na utrzymaniu francuskie korpusy stacjonujące w Polsce i cierpiało przez blokadę handlu z Anglią, borykało się ze sporymi kłopotami finansowymi. Poza tym priorytetem rządu było wyposażenie i utrzymanie polskiej armii, a nie zatrudnianie kolejnych policjantów. Od jutra zatem warsztaty na Niskiej znów będą pozbawione dodatkowej ochrony.

Szef śledczych oparł głowę o zimną szybę z mętnego szkła i chłonął jej przynoszący ulgę chłód. Przez chwilę starał się nie myśleć o niczym. Jutro Wigilia, ale jakoś nie czuł podniosłości bożonarodzeniowego czasu. Nie spodziewał się też, że dane mu będzie odpocząć w czasie świąt.

Nagle dostrzegł światła w bramie warsztatów. Wydało mu się, że słyszy głosy i widzi ruch. Jakby kilku ludzi szamotało się z policjantami stojącymi na warcie. Tymczasem za jego plecami Roch głośno natrzasał się z miernych umiejętności gry w karty doktora Rittera.

– Cisza! – syknął Gliński. – Coś się dzieje przy bramie.

Cała trójka poderwała się od stołu i przywarła do okien. W tej chwili huknął strzał i jedna z szyb rozbryznęła się, sypiąc odłamkami. Jaśko krzyknął ze strachu i rzucił się plackiem na podłogę. Siwowłosy oficjalista dopadł swego eleganckiego, odświętnego fraka, który tkwił na wieszaku, i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni pistolet. Gogiel rzucił się do drzwi, jego buciory załomotały na korytarzu, gdy pędził do głównego wejścia. Puścił energicznie sztabę rygla, zamykając drzwi. Tymczasem na podwórku zaroilo

się od ciemnych sylwetek. Pan Augustyn wystawił lufę przez potłuczone okno i wypalił bez celowania. Pomieszczenie wypełniła chmura dymu.

– Kto nas atakuje, do diabła? – warknął lekarz.

– Widzi mi się, że to Francuzy – odparł Jaśko, który zdążył poderwać się z podłogi i teraz wyglądał przez okno.

Gliński złapał go za ramię i siłą odciągnął na bok. W samą porę, bo szyba z brzękiem eksplodowała szkłem. Po podłodze potoczyła się cegła.

– Francuzy? – zdziwił się doktor. – Znaczą żołnierze?

– W mundurach i wysokich, futrzanych czapach, w tych, jak im tam... bermycach – odparł złodziejasek. – I mają muszkiety.

– Grenadierzy – jęknął sekretarz generalny. – Już po nas. Komuś znudziła się zabawa w ciuciubabkę.

Roch przewalał coś w archiwum, wreszcie wpadł do głównej sali z garłaczem w garści. Wielkokalibrowa broń z rozszerzającą się lufą należała do jednego z emerytów-weteranów zatrudnionych jako stróż. Wczoraj pan Augustyn wysłał ich na kilkudniowy odpoczynek – do czasu, aż się trochę uspokoi. Broń starszków została jednak na posterunku.

Wielkolud oparł kolbę o stół i zaczął sypać do lufy proch z przyniesionego woreczka. Nie próbował odmierzać porcji, sypnął na oko, tak jak chwilę później garść posiekanych, zardzewiałych gwoździ – pieczołowicie przygotowaną przez weterana amunicję. Uszczelnił całość pogniecionym kawałkiem papieru wydartym z policyjnych akt i ubił wszystko stemplem. Jaśko patrzył na poczynania Rocha z otwartymi ustami. W tym czasie Gliński z Ritterem zastawili regałem jedno z wybitych okien.

– Żywcem nas nie wezmą. – Gogiel mrugnął do Jaśka. – Niechby i grenadierzy Gwardii, sram na nich. W powstaniu Kościuszki biliśmy się i z pruskimi jegrami, i z carską Lejbgwardią. Da się ich zabić, uwierz mi, chłopcze. I nie stój tak, leć sprawdzić okna w kuchni.

W oknach pozostałych pomieszczeniach na parterze znajdowały się kraty,

większość sal przerobiono bowiem na aresztanckie cele. Drzwi wejściowe okuto żelazem i nie dało się ich po prostu wyważyć – by wejść do środka, trzeba by wysadzić je w powietrze. Policjanci przechowywali też w archiwum, z braku specjalnego magazynu, trochę broni, prochu i amunicji. Mieli ponadto nieco żywności i wody w kuchni, mogli więc w solidnym, murowanym budynku bronić się nawet kilka dni.

– Co ma znaczyć ta napaść?! – wrzasnął naczelnik wydziału, przywierając do ściany przy dużym oknie. – Jestem policyjnym oficjalistą! Przedstawicielem administracji!

– Wiemy, panie Gliński! – odpowiedział ktoś po polsku. – Siedź tam lepiej cicho, to może ujdziecie żywi. Trzeba było nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.

– Z kim rozmawiam?

– Lepiej ci tego nie wiedzieć, Glino! Stul pysk i przestań węszyć, bo możesz wreszcie śmiertelnie zatruć się ołowiem!

Jakby na potwierdzenie tych słów zagrzmiał strzał. Kula świsnęła koło głowy pana Augustyna, przeleciała przez salę i wbiła się w ścianę. Jaśko i Roch przykucnęli, tylko doktor Ritter nie zareagował i nadal wyglądał przez szparę w szafie przed chwilą przystawionej do jednego z okien.

– Widzę go – powiedział spokojnie. – Jako jedyny ma rogatywkę na głowie. Opiera się o otwarte skrzydło bramy. Mogę sprzątnąć gada.

– Przynieś broń – rozkazał pobladły z gniewu Gliński.

Prusak zniknął w archiwum, by wrócić z błyszczącym od oliwy austriackim gwintowanym karabinem. Medyk miał założoną na głowę uprząż z wymienialnymi monoklami o różnych szklach. Niósł też dziwny optyczny przyrząd, jakby lunetę opiętą klamrami. Oparł karabin o ziemię i sprawnie przykręcił do niego – za kurkiem z panewką – lunetę. Potem zabrał się do mozolnego nabijania broni.

– Czego chcecie? Mojej głowy? – znów krzyknął przez okno pan

Augustyn.

– Ta kwestia jest jeszcze nierozstrzygnięta, debatują o tym ważniejsi ode mnie – odparł oficer dowodzący atakiem. – Mógłbym skrócić te dysputy i po prostu was powystrzelać, ale kazano mi się wstrzymać. Póki co, wystarczy nam pańskie milczenie. Skoro nie da się pana zmusić do niego na drodze urzędowej, mam rozkaz zatrzymać pana w tym oto zaimprovizowanym areszcie. Sam więc jesteś pan sobie winien. Nie trzeba było węszyć.

Roch zaklął szpetnie, ale widząc minę Glińskiego, natychmiast przeprosił.

– Jesteśmy uwięzieni – mruknął wielkolud. – Cholera wie, na jak długo i czy nie zdecydują się tu jednak wdrzeć i nas wymordować. Stoją tam sobie, jak gdyby nigdy nic. Mogę wypalić do nich z armaty? – Potrząsnął garłaczem.

– Nie. Nie chcę zabijać Francuzów – zabronił szef. – Doktorze, jest pan gotowy?

Ritter sypnął proch na panewkę i skinął głową. Kucnął przy krawędzi okna, opierając lufę o dolną framugę. Wsunął na miejsce w aparacie jeden z monokli i przycisnął kolbę do ramienia, wpatrując się lunetę.

– W celu – zameldował.

– Nie zabijaj – rozkazał Gliński. – Nastrasż go tylko, niech sobie nie myśli, że zadarł z byle kim.

Doktor nie odpowiedział, tylko wolno i delikatnie pociągnął za spust. Kurek trzasnął w panewkę, krzesząc iskrę. Błysnęło i karabin huknął ogłuszająco. Stojący w bramie porucznik Załuski poczuł uderzenie i szarpnięcie pod brodą. Pasek podtrzymujący rogatywkę zsunął mu się, zahaczając boleśnie o nos, wysoka czapka poleciała w śnieg. Stojący obok grenadierzy zarechotali głośno i bez szacunku. Fizylier schylił się i podniósł strącone nakrycie głowy. W blasze nad daszkiem, w której wybito numer pułku, ziała dziura po kuli karabinowej. Załuski spojrzał z nienawiścią w okna posterunku.

– Zapłacisz mi za to, Glino – syknął.

Rozdział 20

Ilnickiego obudził chłód i niewygodna. Śniło mu się, że leży na szanćcach twierdzy w Mantui, leje się na niego zimny deszcz, wokół rozrywają się austriackie kartacze, a on nie może się ruszyć. Bomby wybuchają wszędzie wokół, gwizd spadających kul zlewał się w jedno z rykiem eksplozji. Raz po raz kamienne bryły wyrwane z szanćców uderzały w głowę kapitana, kaleczyły ją i boleśnie obijały. Pan Michał zacisnął oczy, by nie widzieć błysków i lecących kul. Ogarnęła go ciemność. Koszmar był na tyle realny, że po otwarciu oczu jedynym, co ujrzał, był pogrążony w mroku popękany mur, a głowa bolała go, jakby faktycznie spadły na nią całe góry odłamków. Dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że to nie złudzenie ani ciąg dalszy snu, a rzeczywistość.

Poruszył się i syknął z bólu. Piekący ból rozpląnął się po boku i tyle głowy, jak się okazało, obwiązanej szmatą. Oficer usiadł, ale wtedy poczuł falę mdłości. Zakrztusił się śliną i kaszląc, zwymiotował. Ktoś obok niego kucnął i pomógł mu oprzeć się plecami o ścianę. Ilnicki spojrzał w pociągłą twarz, okoloną zakręcającymi się pejsami.

– To ty, Szaja? – jęknął.

– Cieszę się, że zaczyna pan dochodzić do siebie, kapitanie – odparł Żyd. – Miał pan tylko rozcięcie skóry na głowie, trochę opuchnięte. Myślę sobie: albo szybko oprzytomnieje, albo ma pęknięty czerep i krew w mózgu, a w takim przypadku już raczej oczu nie otworzy. Skoro pan rzygasz i mnie poznałeś, znaczy, że to tylko wstrząśnienie.

– Aha. – Ilnicki ciężko skinął głową. – Nie mam tylko pojęcia, gdzie jesteśmy i skąd się tu wziąłem. Nic nie pamiętam.

– Jak pana capnęli, to ja nie wiem. Mnie dopadli, gdy wśliznąłem się na

teren Kuźni Artyleryjskich. – Appenzlak usiadł naprzeciwko i krzywo się uśmiechnął. Światło wpadające przez niewielkie okienko u sufitu oświetliło jego pobladałą twarz z potężnym siniakiem i opuchlizną zasłaniającą lewe oko. – Moje pieski mnie tu przyprowadziły, gdy ruszyłem z nimi tropić porywaczy Jaśka. Zanim zdążyłem im podstawić pod nosiska koc, pod którym spał chłopak, zwierzaki same złapały obcy trop. Pociągnęły mnie pewnie, to nie chciałem ich odwoływać. Okazało się, że daleko nie było, wskazały mi drogę prościutko do Kuźni Artyleryjskich. Nie zastanawiałem się długo, tylko pogoniłem psy do domu, a sam przesadziłem płot w mniej uczęszczanym miejscu. Ukrycie się przed wartami nie było niczym nadzwyczajnym. Zajrzałem, przez nikogo niezauważony, do kolejnych kuźni, pracowni i magazynów, nic ciekawego jednak nie znajdując. Śladu najmniejszego po Jaśku.

– Nie uprowadzili go. – Pan Michał machnął ręką. – Zwiął im i pogał do domu Gliny. Nic mu się nie stało. Widział trzech mężczyzn plądrujących nasz komisariat. Jeden z nich był żołnierzem w czako i zielonym płaszczu.

– Artylerzysta. To wiele wyjaśnia – warknął Szaja. – Obserwowałem, jak jeden z nich rozmawia z dziewczyną przed budynkiem, w którym nas trzymają. Próbowałem podpełznąć jak najbliżej, ale cholera, tam w ziemi nie ma żadnych krzaków czy nawet trawy, w której można się schować.

– Z dziewczyną? Tutaj, w ściśle strzeżonej, wojskowej fabryce? – zdziwił się kapitan. – Jesteś pewien?

– Też byłem zaskoczony. Podpełzłem najbliżej, jak się dało, bo do tej pary dołączył jegomość w czarnej pelerynie. Wiele nie podsłuchałem, bo gadali po francusku. Tyle tylko że panienka wobec artylerzysty zachowywała się dość poufale, a wobec peleryny okazywała pewne speszenie czy zawstydzenie. Bardzo ładna, choć jak na mój gust zbyt wysoka i jakaś tak wychudzona...

– Wysoka? Jakie miała włosy?

– Krótka grzywka z modnymi loczkami, koczek z tyłu głowy.

– Jasne? Blond?

– Wręcz popielate.

Oficer pokiwał głową, ale od ruchu natychmiast syknął z bólu.

– Dziewczę zniknęło wewnątrz budynku, Francuz z artylerzystą ruszyli do bramy, a ja powoli zacząłem pełznąć w kierunku budowli. I wtedy dopadł mnie cholerny oficer piechoty z wąsikami i blizną na łbie. Przylał mi kilka razy w głębę i ciągnąc za brodę jak jakiego starego kozła, przytargał do tej piwnicy. Myślałem, że mnie zaszlachtuje, więc krzyknąłem, że jestem z policji. Zaśmiał się tylko i wyciągnął pistolet. Wtedy wpadł ten w zielonym mundurze i kazał mu się opanować. Zwrócił się do niego, nazywając Krystianem. Piechur posłusznie opuścił broń, ale gdy artylerzysta wyszedł, przylał mi rękojęścią prosto w głębę. To od tego mam tę śliwę.

– Porucznik Krystian Załuski ma ciężką rękę. – Ilnicki szybko sobie przypomniał wydarzenia w Kuźniach. – Obu nas nieźle urządził. A wydawał się tak grzecznym i miłym oficerem.

Poczuł suchość i niesmak w ustach, a do tego pieczenie w gardle po wymiotowaniu. Okazało się, że leżał bez przytomności cały dzień i noc. Obliczył zatem, że dziś była Wigilia Bożego Narodzenia. Hania z pewnością czeka na niego i coraz bardziej się niepokoi. Obiecał, że zrobi wszystko, by święta spędzili razem, całą rodziną. Zanosilo się jednak, że przesiedzi je w wilgotnym, ciemnym lochu.

– Mamy coś do picia?

– Dostałem wczoraj tylko kubek wody i cały wypilem. Potem próbowałem zbierać wilgoć ze ścian za pomocą szmatki. Wystarczy ją tylko wycisnąć. Zaraz panu przygotuję choćby łyk na przepłukanie gardła.

Oficer, po kilku minutach dochodzenia do siebie, odważył się powoli wstać. Obszedł celę, walcząc z nawracającymi zawrotami głowy. Piwnica nie była zbyt duża, a prócz zwyczajowej stęchlizny czuć w niej było znajomy zapach moczu z gnoju, z którego otrzymywano saletrę. Może pomieszczenie

służyło kiedyś za magazyn tego materiału, choć obecnie wałowały się w nim jedynie kawałki klepek z przegniłych beczek. Do okienka pod sufitem trudno było sięgnąć, zresztą tkwiły w nim kraty.

– Myśli pan, że nas nie zabiją? – spytał Szaja.

– Zależy, jak wiele mają tajemnic do ukrycia i kim jest Francuz, który razem z Karolem Parysem napadł na nasz posterunek.

– Na co zatem czekają?

– Nie mam pojęcia. – Pan Michał wzruszył ramionami.

Przez jakiś czas rozmawiali o śledztwie, gubiąc się w domysłach. Ilnickiemu minęły zawroty głowy, choć rozcięcie opuchło i bolało przy każdym ruchu. Obu mężczyznom zaczął doskwierać głód, ale jako że obaj byli z nim obyci, nie skarżyli się ani słowem. Weteran Legionów nie raz przymierał głodem na legionowym wikcie, a Appenszlak pochodził z żydowskiej biedoty i znał to uczucie od dziecka.

Dokładnie obejrzel drzwi, ale te okazały się solidne, w dodatku zamknięte na żelazny skobel. Wyjście przez okienko też okazało się niemożliwe, zaczęli zatem planować inne sposoby na ocalenie życia i ucieczkę. Z peleryny dowódcy i walających się rupieci ułożyli pod ścianą niezbyt udaną kukłę, mającą udawać ciągle nieprzytomnego kapitana. Potem Szaja zaczął walić pięściami w drzwi i wzywać strażnika. Pan Michał przywarł do ściany, ściskając w ręku pasek od spodni, który planował od tyłu zarzucić na gardło wartownika, gdy ten wejdzie do pomieszczenia.

Grube mury budynku chyba jednak zbyt dobrze tłumiły wszystkie dźwięki, bo nikt nie kwapił się, by uciszyć Żyda. Mijały minuty i nic się nie wydarzyło. Ilnicki miał już zrezygnować, gdy niespodziewanie przy drzwiach rozległ się chrzęst zdejmowanej sztaby rygła. Oficer znów przywarł do ściany, unosząc zaimprovizowaną broń do ataku. Opuścił ją jednak, widząc postać, która weszła do piwnicy. Tyłem do niego stała wysoka, szczupła dziewczyna o blond włosach. Kapitan chrząknął, by zwrócić na siebie jej

uwagę, a kiedy z zaskoczeniem na twarzy się odwróciła, uśmiechnął się nieznacznie i powiedział:

– Jestem kapitan Michał Ilnicki, Policja Śledcza Krajowa. Miło panią poznać, panno Emilio Parys.

Rozdział 21

Glińskiemu spało się fatalnie na zbyt wąskiej leżance. W dodatku przez wybite okna, mimo że zastawione meblami, wpadało zimowe powietrze i w pomieszczeniu zrobiło się lodowato. Opał się skończył, a po nowy nie sposób było pójść. Na podwórku stali na warcie grenadierzy z bronią gotową do strzału. Wcześniej porucznik Załuski ostrzegł uwięzionych, że każdy, który spróbuje uciec, zostanie natychmiast zastrzelony. Francuscy piechurzy rozlokowali się w budynkach warsztatów, nie podobało się im tylko w laboratorium Rittera, czyli w prosektorium. Posterunek był więc oblężony, ale na szczęście przeciwnik nie przymierzał się do jego zdobycia. Wystarczyło mu samo zablokowanie policjantów.

Doktor Ritter połamał starą szafkę z archiwum i uzyskanym drewnem rozpalił w kuchennym piecu. Zebrał wszystkie zgromadzone warzywa i kaszę, po czym ugotował kociołek zupy, chcąc wyżywić uwięzionych. Zjedli z apetytem, bo ponury medyk miał prawdziwy dar do gotowania i potrafił z byle czego zrobić naprawdę smaczne danie. Gliński chwalił go z całego serca, do czego przyłączył się nawet Roch, uroczyście przeprasząc doktora za wczorajsze kpiny i docinki w czasie gry w karty.

– Będziemy całe święta siedzieć tu niczym w celi? – spytał wielkolud, kiedy skończyli śniadanie. – Czy może jednak spróbujemy się przebić?

Pan Augustyn spojrział na niego i tylko pokręcił głową. Nie palił się do walki z francuskimi grenadierami, elitarną formacją, w której służyli najroślejsi i najbardziej doświadczeni żołnierze. Policjanci nie mieli z nimi najmniejszych szans. Gogiel zreflektował się i machnął ręką, jakby chciał wymazać swoją nieprzemyślaną propozycję.

– To może weźmiemy ich podstępem? Podpalimy posterunek, a kiedy

pożar ściągnie tu gapiów i straż z sikawkami, skorzystamy z zamieszania i wymkniemy się? Przecież zabojady nie będą do nas strzelać przy tłumie ludzi! – natychmiast rzucił kolejny pomysł.

– Zanim zrobi się zbiegowisko, po prostu się spalimy. – Ritter westchnął.

– Masz pan lepszą propozycję?

– Musimy cierpliwie czekać. – Medyk wzruszył ramionami. – Przecież ten fizylier powiedział, że nie zamierzają nas zabić.

– Że jeszcze nie zamierzają nas zabić i czekają na decyzję – sprostował olbrzym. – Mogą w każdej chwili dostać rozkaz ataku. Mamy beczynnie siedzieć i czekać, aż zdecydują się nas wymordować? Szefie, no niech pan coś powie...

Sekretarz generalny w zamyśleniu podrapał się po brodzie.

– Roch ma rację, musimy się wydostać z potrzasku, bo nie wiadomo, jak to się skończy. Nie wiemy, kto właściwie wydał rozkaz, by nas tu przyskrzynić i dlaczego. Ach, gdybym miał dokument od księcia Poniatowskiego! Zaraz bym nas stąd wyprowadził.

– Przyniosę go, wasza ekscelencjo – pokornym i nieśmiałym głosem odezwał się Jaśko.

Wszyscy spojrzeli na chłopaka, który patrzył na nich wyraźnie speszony.

– Wymknę się stąd. Mogę wezwać pomoc albo znaleźć tego Dangiela i zabrać mu dokument.

– Którędy chcesz zwać? – rzeczowo spytał Gogiel.

– Górą. Przez strych na dach, dalej wystarczy dać susa na budę, gdzie doktor kroi trupy, a potem skok za płot i w nogi.

– Pomiedzy budynkami jest odstęp na jakieś dziesięć kroków – zimno zauważył Ritter. – Dasz radę skoczyć tak daleko? Jeśli spadniesz albo zauważą cię Francuzi, zginiesz.

– Dam radę – uciał młodzieniec. – Niech pan Gliński tylko powie, gdzie znajdę tego Dangiela.

– Jeśli nie został zamordowany ani aresztowany, w święta jest pewnie w domu swoich rodziców, u których mieszka – odparł szef. – Dobrze. Skoro to jedyna szansa, nie ma na co czekać. Dajcie papier, napiszę ci list. Nie będziesz sam szukał Dangiela, zaniesiesz pismo do komendy cyrkułu i oddasz komisarzowi. Dajcie mi papier i przybory do pisania.

Pół godziny później Jaśko otworzył na strychu klapę prowadzącą na dach. Roch podsadził go, pomagając wydostać się z poddasza. Chłopak ostrożnie się wyprostował i zrobił kilka niepewnych kroków. Wielkolud obserwował go, wystawiając głowę przez świetlik. Pokryte śniegiem dachówki okazały się bardzo śliskie, a pochyłość dachu powodowała, że młodzieniec mógł w każdej chwili zjechać i spaść na ziemię.

Złodziejaszek, ślizgając się, podszedł do krawędzi i ostrożnie wyjrzał. Zmarznięci grenadierzy pochowali się w zabudowaniach, na podwórku zostało tylko dwóch, a kolejnych dwóch pilnowało bramy. Na szczęście przez myśl im nie przeszło, by patrzeć w górę. Chłopak cofnął się, zsuwając stopą śnieg i robiąc sobie w ten sposób miejsce na rozbieg. Zatrzymał się na szczycie dachu i spojrzał na Rocha. Uśmiechnął się niepewnie, a potem z namaszczeniem się przeżegnał.

Wreszcie ruszył do biegu. Długimi, chudymi nogami sadył wielkie susy. Dachówki zagrzechotały pod jego ciężarem, któraś trzasnęła i stoczyła się. Ostatni krok i potężny sus. Dachówki z krawędzi posypały się i zagrzechotały na zmarzniętej ziemi podwórza. Grenadierzy spojrzeli w górę. Jaśko gruchnął na drewniany dach budynku prosektorium i przeturlał po nim, zatrzymując się na krawędzi.

Obaj Francuzi wrzasnęli przekleństwa i sięgnęli po muszkiety. Chłopak poderwał się, przebiegł kilka kroków, potknął i runął jak długi. Zjechał w dół, zatrzymując się znów na krawędzi. Wstał i na czworakach zaczął piąć się ku wierzchołkowi budynku. Pierwszy grenadier uniósł broń i wystrzelił. Kula pacnęła w drewno obok złodziejaszka. Jaśko, nie odwracając się, przesadził szczyt i zjechał po drugiej stronie budynku. Wylądował w śniegu

za płotem otaczającym policyjne warsztaty. Natychmiast wstał i pognął w kierunku najbliższej kamienicy. Wpadł w jej bramę, pokonał podwórko i przesadził kolejny płot. Po chwili był już dwie ulice dalej.

– Udało mu się – Gogiel zameldował Glińskiemu.

Rozdział 22

Panna Parys zaprosiła obu więźniów na pokoje, w których od kilku dni rezydowała. Mieszkała nad celą, w ostatnim pomieszczeniu zamykającym korytarz. Jeńcy byli, rzecz jasna, więzieni w masywnym gmachu na terenie Kuźni Artyleryjskich, w którym prowadzono eksperymentalną konfekcję amunicji. Śliczna dziewczyna, w przeciwieństwie do dwóch policjantów, miała możliwość swobodnego poruszania się w obrębie budynku – i z nudów korzystała z tej swobody. Usłyszała wrzaski i dobijanie się Szai, więc po dłuższym wahaniu postanowiła sprawdzić, co się dzieje. Nie miała pojęcia, że w gmachu jest ktoś jeszcze. W związku ze świętami prace się nie odbywały i budynek został od zewnątrz zamknięty. Pilnowali go wartownicy przechadzający się alejkami otaczającymi laboratoria.

Buduaro-sypialnia panny Parys okazała się magazynem materiałów wybuchowych. Kapitan Ilnicki zdębiał po wejściu do środka, widząc tak duże nagromadzenie niebezpiecznych przedmiotów w jednym miejscu. Część wyniesiono na korytarz, by zrobić miejsce rezydentce, dzięki czemu w dużej sali swobodnie zmieściło się łóżko, stolik i dwa krzesła, a nawet szafka na babskie fatałaszki. Ściany wokół wypełniały sięgające sufitu regały zavalone skrzyniami z bombami najróżniejszych kalibrów i rodzajów. Nie brakowało także beczulek opisanych numerami wyrytymi w laku i zawierających, jak się Ilnicki domyślał, różne rodzaje prochu oraz środków zapalających.

Na stole stał trzyramienny świecznik, w którego świetle panna spędzała wieczory na lekturach i drobnych robótkach. Jakimś cudem nie zaproszyła jeszcze ognia i nie wysadziła wszystkiego w powietrze. Uśmiechała się uroczo i przyjaźnie, bez najmniejszego skrępowania, jakby przebywanie damy w takim miejscu nie było niczym niezwykłym. Zaprosiła obu gości do

stolika i uraczyła ich dzbanem mleka, chlebem i białym serem. Przeprosiła grzecznie za niewygody, na które naraził policjantów jej brat, ale obawiała się, że to było konieczne. Szaja wpakował do ust kawał chleba z serem, pan Michał powoli wypił mleko, z obawą oczekując nawrotów mdłości.

– Domyślił się pan, kim jestem – zauważyła dziewczyna, siadając na brzegu łóżka. Opatuliła się dokładnie welurową podomką i zarzuconym na ramiona płaszczykiem na futerku, bo w pozbawionym pieca i kominka pomieszczeniu było naprawdę chłodno. – Musi mieć pan niezwykle przenikliwy umysł.

– Nie przesadzajmy. – Oficer uśmiechnął się blado. – Uświadomiłem tylko sobie, że śmierć panny była jedynie mistyfikacją. Ciągle jednak nie wiem, co zaszło tamtej nocy na Żoliborzu i dlaczego się panna ukrywa?

– Wszystko przez moje niefortunne wejście na salony. Powinnam znać swoje miejsce i nie pchać się na zbyt wysokie progi. – Wydęła usta w grymasie zniechęcania. Jej oczy błyszczały, a na usta niemal samorzutnie wracał zadziorny uśmiech. Ilnicki musiał przyznać, że dziewczę, na oko liczące nie więcej niż szesnaście wiosen, jest rzeczywiście niezwykle urodziwe. – Myślałam, że złapałam pana Boga za nogi, gdy na bal zaprosiła mnie pani Anetka, znaczy hrabina Potocka. Na bal w Pałacu Pod Blachą! Wyobraża pan sobie, kapitanie? Mnie, szarej gąsce, pozwolono wkroczyć na salony. Dostałam szansę od losu, by poznać jakiegoś przystojnego oficera, który stałby się moim adoratorem. Jedna noc, by zmienić całe życie. I faktycznie się zmieniło, ale nie w sposób, w jaki planowałam.

– Wpadła panna w oko królowi saskiemu. – Dowódca wydziału nalał sobie jeszcze jeden kubek i popijał z niego małymi łykami.

– Do głowy by mi nie przyszło, że ten starszy jegomość w peruce ma wobec mnie jakiegokolwiek plany. Nawet go nie zauważyłam! Zostałam przedstawiona całej masie oficerów polskich i francuskich, którzy nieustannie prosili mnie do tańca i obsypywali komplementami. Byłam w siódmym niebie. Przed oczami migwały mi błyszczące od akselbantów

i epoletów mundury, w oczy raziała odświętna iluminacja, porażał blask blichtru i bogactwa.

– A potem została panna sprowadzona do pałacu pani Kiełczakowskiej.

– Jakież dwa dni później dostałam bilecik zapraszający na wieczorek u tej damy. Matka pozwoliła mi jechać samej, jako że miało to być babskie spotkanie i nie potrzebowałam przyzwoitki. Nie wiedziałyśmy, kim jest owa dama i czym się para. Okazało się, że stangret zawiózł mnie do mrocznej dziury tej starej pajęczycy. Ta okropna kobieta groziła nie tylko mnie, ale całej mojej rodzinie. Żądała bym, bym ja... Pan wybaczy, kapitanie, ale nie mogę o tym mówić!

Ilnicki pokiwał ze zrozumieniem głową, widząc rumieńce wstydu na policzkach Parysówny. Widocznie Kiełczakowska opisała jej, jakich konkretnie usług życzy sobie jego wysokość. Dla niewinnego dziewczęcia musiało być to prawdziwym szokiem.

– Zamiast ulec, postanowiła panna się bronić. Z kim zaplanowała zamach na króla saskiego?

– Zamach? Ależ nie, to nie tak. – Dziewczyna zrobiła wielkie oczy. – Powiedziałam o wszystkim bratu, a ten, jako mężczyzna energiczny i nieco gwałtowny, bardzo się rozgniewał. Nie planowaliśmy jednak nikogo zabijać. Brat, gdy się uspokoił, postanowił poprosić o pomoc jednego z francuskich generałów, z którym zresztą tamtej pamiętnej nocy dwa razy tańczyłam. Ów generał jest naprawdę wpływowy i przebywa w bezpośrednim otoczeniu królewskiej mości Fryderyka Augusta.

– Mówimy o generale Charles’u Morandzie?

– Tak. Mój brat walczył u jego boku i miał okazję poznać Charles’a w polu. Ponoć tak zwane braterstwo broni niezwykle zbliża mężczyzn. Generał okazał się na tyle zaprzyjaźniony z Karolem, że zgodził się, mimo licznych obowiązków najwyższej wagi, wysłuchać jego sprawy. Przypadkowo to właśnie do niego król zwrócił się z prośbą odnalezienia mnie

i skłonienia do niegodnych usług. Charles nie wiedział, o jaką dziewczynę chodzi i zlecił załatwienie tej sprawy pani Kiełczakowskiej. Kiedy dowiedział się, że to ja, bez wahania zdecydował się zagrać jego wysokości na nosie. Dla mnie! Naraził swoją karierę!

– Prawdziwy bohater – mruknął Szaja, wpychając kolejny kawałek sera do ust. Białe okruchy gęsto ozdobiły jego brodę, na co nie zwracał najmniejszej uwagi.

– Razem z bratem i jego przyjacielem, porucznikiem Załuskim, wymyślili, że upozorują moją śmierć i jednocześnie nastraszą króla. Że niby agenci wrogich mocarstw próbują go zamordować – kontynuowała Emilia. – Fryderyk August został więc zawieziony do pałacyku Charles’a, gdzie miał mnie posiąść. Panowie czekali na moje przybycie w karecie, by upewnić się, że przybyłam sama i nie jestem śledzona. Wyobraża pan sobie, kapitanie, jak wielki skandal wybuchłby, gdyby sprawa się wydała? Weszłam zatem do pałacyku, gdzie już czekał na mnie brat w towarzystwie Załuskiego. Przygotowali wcześniej sprytne urządzenie zegarowe, do którego podłączyli bomby artyleryjskie. Przywiązali do ustrojstwa młodego, zaszlachtowanego, ale nie wykrwawionego wieprzka. Jego szczątki, rozrzucone wybuchem, miały świadczyć, że to ja zginęłam. Prócz tego kazali mi zdjąć buty, do tego odziali świniaka w moją atlasową salopkę^[33]. Potem po prostu tylnym wyjściem opuściłam pałac razem z bratem i jego kompanem. Reszta leżała w rękach Charles’a. Miał zatrzymać króla do chwili, gdy mechanizm zegarowy odpali bombę. Ponoć władca był straszliwie rozochocony i niemal rzucił się biegiem, by mnie posiąść. Na szczęście bomba w porę wybuchła, nie czyniąc nikomu krzywdy...

– Nie licząc dwóch bałwanów, którzy chcieli pannę ograbić – wtrącił Appenszlak.

– Słucham?

– Nieważne. – Ilnicki skwitował śmierć bandziorów niedbałym machnięciem ręki. – Król chyba mocno się wystraszył i kazał odwieźć się do

zamku. Myśli, że panna nie żyje. I tak ma pozostać. To dlatego Francuzi usilnie próbowali przerwać nasze śledztwo. Gdybyśmy znaleźli pannę i wieść o tym dotarłaby do Fryderyka Augusta, Morand mógłby srogo pożałować swojej zdrady. Pani brat również zakończyłby karierę.

– Musimy wytrzymać w ukryciu, aż król saski opuści Warszawę. A uczynić ma to zaraz po świętach. Jeszcze dzień lub dwa i wszyscy będziemy wolni! Póki co, niech pan pozwoli opatrzyć sobie głowę. Znam się trochę na robieniu opatrunków, jestem wszak córką i siostrą żołnierzy.

Śledczy popatrzyli na siebie, analizując słowa dziewczyny. Obaj wiedzieli, że sprawa może nie zakończyć się tak gładko. Wszystko w rękach generała Moranda. Jeśli ten stwierdzi, że wiedza policjantów może zagrozić jego karierze i honorowi, nie zawaha się ich zgładzić.

Kapitan wstał i podszedł do okna. Wyjrzał ostrożnie, by nie zostać zauważonym przez wartowników. Dwóch artylerzystów z krótkimi karabinkami przechodziło właśnie obok budynku. Przypatrzył się tkwiącym w oknie grubym na palec kratom. A drzwi wejściowe, jak twierdziła Emilia, zostały zaryglowane od zewnątrz. Byli zatem uwięzieni równie skutecznie jak w piwnicy.

Rozdział 23

Komisarz okręgu policyjnego, pokrywającego się z okręgiem miejskim^[34], spojrział na Jaśka z niechęcią i bezradnie rozłożył ręce.

– Ale co ja mogę? Czy Gliński sobie wyobraża, że ruszę mu na odsiecz z armią uzbrojonych policjantów? I przeciw komu, mówisz? Przeciw francuskim grenadierom? Na głowę upadł. Ciągłe czegoś ode mnie chce, gryzipiórek. Urzędniczyna nieużyta. Zamęczy człowieka. Jest Wigilia! Mam na posterunku dwóch ludzi! – Policjant trzasnął pięścią w blat biurka.

– A pomożesz mi, najłaskawszy panie komisarzu, znaleźć pana Dangiela? Zaginął razem z jakimś niezwykle ważnym dokumentem.

– Pewnie, że pomogę, ale po świętach – burknął komisarz i podkreślił wąsa. – Teraz nic nie mogę, nikogo nie ma, niczego się nie dowiem. Zresztą za chwilę idę do domu. Wracaj do chałupy i nie zawracaj mi głowy. No idź już, idź, chłopcze.

Jaśko tkwił jednak przed biurkiem jak wmurowany w podłogę. Zacisnął pięści w bezsilnej złości.

– I zostawisz pan Glinę w potrzebie? Osaczonego przez francuskie gończe psy, które rozedrą go niczym lisa?

– Nie mam możliwości, by podjąć działania przeciw francuskiej armii – wycedził komisarz. – Nawet gdybym dostał rozkaz od ministra Potockiego, jedyne, co mogę, to rozłożyć ręce. Przecież nie pójdę z dwoma funkcjonariuszami dać się zabić! Zrozumiałeś? A teraz precz!

Chłopak spuścił głowę i wyszedł z gabinetu komendanta. Omiótł wzrokiem posterunek. Znajdował się w przestronnym pomieszczeniu z kontuarem dla interesantów i kilkoma biurkami ustawionymi jedno za drugim. Obecnie tylko przy jednym z nich siedział młody policjant z piórem

w rękę. Na widok Jaśka skinął ponagląjąco, przywołując go do siebie.

– Glina niedawno bardzo mi pomógł, właściwie tylko dzięki niemu dostałem tę robotę. Mam wobec niego dług wdzięczności – wyznał wprost. – Tak się składa, że wszystko słyszałem. Komisarz chyba nie pamięta lub nie chce pamiętać, że wczoraj nasi chłopcy zwinęli dwóch awanturujących się jegomości na placu Saskim. Jeden stary bił młodego i lżył go obelżywie. Ten nie był mu dłużny, przez co siali ogromne zgorzenie w miejscu publicznym i urzędowym. Obu przymknęliśmy na odwachu pod Białym Orłem, na rewizji obaj podali te samo nazwisko. Dangel.

Chłopak aż drgnął z wrażenia.

– Jak się do nich dostać?

– Leć do aresztu i pokaż dyżurnemu ten sam list co komendantowi.

– Wystarczy?

– Warto spróbować – odparł policjant.

Złodziejaszek wypadł z posterunku, jakby go gonili, i pognał w stronę placu Saskiego. Nie oszczędzał się i pędził na złamanie karku. Był tak przejęty, że zignorował zaczepki kilku uliczników, którym w normalnych warunkach nie darowałyby zniewagi. Po kilku minutach wpadł zziębnięty w bramę aresztu, machając przed sobą listem Glińskiego niczym bronią. Znudzony wartownik obejrzał pismo z ciekawością, ale jako że nie mógł wydobyć ani słowa z zasapanego młodzieńca, a sam czytać nie potrafił, zaprowadził go przed oblicze oficera dyżurnego.

– Twierdzisz, chłopcze, że Glina chce zobaczyć jakiegoś pijanicę, który lał się wczoraj na placu? – spytał starszy pan w wyblakłym ze starości i brudu mundurze. – W zwykłych warunkach prosiłbym o konkretny rozkaz, a nie jakieś bazgroły, ale skoro mówisz, że to pilne...

– Jego ekscelencja Gliński z pewnością będzie panu wdzięczny!

– Nie musi. – Oficer machnął ręką i wstał, zgarniając z wieszaka pęk kluczy. – Jesteśmy braćmi w Światłości, towarzyszymi w walce o szerzenie

wiedzy i ludzkiej mądrości. Niech sobie weźmie tego rozrabiakę, skoro taka jego wola. I tak miałem tych dwóch puścić, gdy przetrzeźwieją i się uspokoją. Chodźmy od razu, skoro tak ci spieszno.

Tomasz Dangel siedział w piwnicznej celi z kilkoma francuskimi żołnierzami, przymkniętymi pewnie za rozrabianie po pijanemu. Ubranie miał podarte i uwalone błotem, a twarz opuchniętą i posiniaczoną. Wyszedł z celi z podniesioną głową, obrzucając wyniosłym spojrzeniem siedzącego w kącie, dobrze odzianego starszego mężczyznę, który mierzył go wściekłym spojrzeniem.

Jaśko przedstawił się uwolnionemu i zapytał, co z dokumentem od księcia Józefa. Dangel wetknął rękę w spodnie, chwilę grzebał w okolicach przyrodzenia, by z triumfalną miną wyciągnąć z nogawki nieco pogięty papierowy rulon.

– Mam! – oświadczył. – I doniósłbym go jeszcze wczoraj, gdyby nie przypadkowe spotkanie z moim ojcem, który akurat wychodził z restauracji. Staruszek ma ciągle do mnie pretensje. A to, że nie wracam na noc do domu, a to, że nie chcę zająć się jego fabryką, że nie szukam bogatej narzeczonej i tak dalej. A jak sobie wypije, wydaje mu się, że nadal jestem małym chłopcem i może sprawić mi lanie. Chciał mnie zaciągnąć do domu i nie docierało do niego, że jestem w trakcie wykonywania urzędowej misji. Wrzeszczał, że pewnie idę na dziwki, przehulać jego ciężko zapracowaną krwawicę.

– Mój ociec był rybakiem – odparł chłopak, z trudem się hamując przed popychaniem urzędnika, by szybciej szedł. – Też mnie łał, głównie za to, że nie we łbie mi była robota. Ale co, miałem tak jak on przymierać głodem, całe zasrane życie łapiąc ryby?

– Jesteśmy zatem do siebie podobni. – Tomasz uśmiechnął się. – Obaj brzydzimy się robotą naszych ojczulków i nie chcemy być tacy jak oni.

– I obaj chcemy być jak Glina – przytaknął Jaśko.

Rozdział 24

Wigilijny poranek upłynął błyskawicznie uwięzionym w Kuźniach Artyleryjskich policjantom. Ilnicki z Appenszlakiem przetrząsnęli budynek laboratoriów, ale nie znaleźli zapasowego wyjścia ani nawet żadnej broni. Drzwi do poszczególnych pracowni były pozamykane na klucz, mogli więc przebywać jedynie w zimnym pokoju panny Parys lub w jeszcze zimniejszej, a do tego wilgotnej piwnicy. Dziewczyna uspokajała ich cierpliwie, twierdząc, że niedługo ktoś z pewnością do niej przyjdzie z obiadem. Najpewniej będzie to jej brat, z którym policjanci będą mogli pertraktować w sprawie swego uwolnienia. Przecież wystarczyłoby, aby Karol przyjął od nich przysięgę zobowiązującą do milczenia, a wypuściłby ich na parol.

Kapitan miał nadzieję, że na spokojnie uda mu się dogadać z artylerzystą i faktycznie jeszcze przed zachodem słońca opuści teren kuźni. Martwił się coraz bardziej, co przeżywa Hania, która pewnie zachodzi w głowę, czemu jej narzeczony nie daje znaku życia. Tymczasem musiał się opanować i przestać miotać po więzieniu. Razem z żydowskim współpracownikiem usiedli znów w pokoju dziewczyny, spędzając czas na niezobowiązującej pogawędce. Panienska przy bliższym poznaniu tylko zyskiwała. Okazała się wesołą, pełną radości życia dziewczyną, mającą całkiem niezłe poukładane w głowie. Szczodrze obdarowywała obu rozmówców promiennymi uśmiechami, przekonując ich o dobrej woli brata i generała Moranda. Potem opowiadała o swoim życiu i z ciekawością wypytywała obu policjantów o ich podróże i przygody. Ilnicki sam się zdziwił, że tak łatwo dał się pociągnąć za język. Z przyjemnością snuł wojenne opowieści, patrząc na ślicznotkę słuchającą z nieudawanym zaciekawieniem. Emilia okazała się ciekawą świata, bystrą kobietą, doskonale radzącą sobie z mężczyznami.

Sielankę przerwał trzask rygli przy głównym wejściu. Pan Michał poderwał się na równe nogi, Szaja czmychnął za drzwi od pokoju, gotów zaatakować intruza od tyłu.

– O, to pewnie Karol! – ucieszyła się dziewczyna. – Zaraz sobie porozmawiacie i będziecie wolni.

Popędziła korytarzem na przywitanie brata. Oficer cofnął się o krok, by nie być widzianym od strony wejścia. Wyjął z najbliższej skrzyni żeliwną, trzyfuntową kulę armatnią. Opuścił rękę, by zaimprovizowana broń pozostawała niewidoczna. Skinął Appenszlakowi uspokajająco.

– Bez nerwów, najpierw zobaczymy kto to.

Żyd tylko pokiwał głową. Ilnicki wyjrzał ostrożnie zza futryny.

Widział, jak w otwartych drzwiach do budynku pojawił się mężczyzna w pelerynie i z bikornem^[35] na głowie. Przybysz był sam. Emilia przystanęła i skromnie dygnęła.

– *Charles?* – zdziwiła się. – *C`est toi?*^[36]

– Wybacz, *ma mademoiselle*, ale nie mogłem dłużej czekać – przybyły odparł z przejęciem. – Musiałem cię zobaczyć. Jak najszybciej.

Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało, ale w taki sposób, że mężczyźni musieli krew zagotować się z wrażenia. Generał Morand wszedł, zamknął na sobą drzwi, zdjął kapelusz, po czym uklonił się dwornie, zamiatając bikornem podłogę. Niespodziewanie cisnął nakrycie głowy na ziemię i doskoczył do panny. Ujął oburącz jej dłonie. Emilia nie cofnęła się, tym razem nawet nie spuściła wzroku. Zatrzepotała rzesami, nie szczędząc Francuzowi uśmiechu. Generał zaczął coś jej mówić, a ona promieniała z każdym słowem.

– A to dopiero – westchnął Ilnicki, nadstawiając ucha.

– Co się dzieje? – spytał Szaja.

– Jeden z najważniejszych francuskich generałów właśnie oświadczył się nikomu nieznaney, biednej warszawiance – odparł kapitan. – I zdaje się, że

został przyjęty.

Para stała ze spleconymi dłońmi. Generał szeptał coś do dziewczyny, a ta odpowiadała cicho. Powoli ich głowy zbliżały się do siebie, wreszcie Emilia przymknęła powieki, nadstawiając usta do pocałunku. Morand skwapliwie skorzystał z zaproszenia. I wtedy drzwi za jego plecami cicho się otworzyły.

Kapitan ujrzał stojącego w nich porucznika Załuskiego. Fizylier patrzył chwilę na całującą się parę, a potem sięgnął po szablę. Jego wąsy najeżyły się z wściekłości, twarz natychmiast nabrzmiała czerwienią. Uniósł broń.

– *Attention! De l`arrière!*^[37] – wrzasnął pan Michał, wyskakując z ukrycia.

Morand spojrzał na niego bystro i obrócił się. Na ratunek było jednak za późno. Załuski trzasnął go w skroń kłębkiem rękojeści. Emilia wrzasnęła, a generał osunął się w jej ramiona.

– Jak mogłaś, ty dziwko?! – krzyknął porucznik, mierząc wyciągniętym ostrzem w dziewczynę. – Po wszystkim, co dla ciebie zrobiłem?!

Ilnicki rzucił się biegiem przez korytarz. Znajdował się jednak zbyt daleko, więc, nie namyślając się, cisnął armatnią kulą, którą ciągle ścisnął w dłoni. Pocisk pomknął korytarzem i trafił porucznika w ramię. Fizylier jęknął z bólu i natychmiast sięgnął po pistolet zatknięty za pas. Wyszarpnął go i odciągnął kurek.

Pan Michał spojrzał prosto w czarny wylot lufy.

Rozdział 25

Przechodnie mijający bramę warsztatów policji na Niskiej z ciekawością spoglądali na stojących w niej francuskich grenadierów w wysokich, futrzanych czapach. Nikt jednak nie próbował z nimi rozmawiać ani dociekać, co też robią w starych, używanych przez garstkę warszawskich policjantów zabudowaniach. Wiadomo było, że napoleońscy żołnierze traktowali Polaków z nieufnością i pewną pogardą. Zamiast informacji można było zatem spodziewać się od nich jedynie kopniaków, a w gorszym razie nawet ciosu kolbą. Mimo to kilku obdartych uliczników wystawało w bramie naprzeciw warsztatów i bez strachu obserwowało żołnierzy.

Wśród nich stanęli Jaśko i Dangel. Młody urzędnik ubranie miał tak zniszczone i uwalane błotem, a gębę opuchniętą i podrapaną, że wyglądał jak przywódca otaczających go andrusów. Widocznie jego wygląd budził respekt, bo żaden z młodocianych rzezimieszków nie próbował zaczepiać przybyszy, za to bez skrępowań i z chęcią podzielili się informacjami.

– Jak nic, pilnują kogoś zamkniętego wewnątrz – konfidencjonalnym tonem oświadczył jeden z uliczników. – Gapią się głównie na budynek, a nie na ulicę. O, tamten wysoki w zielonym płaszczu im przewodzi. – Wskazał mężczyznę w wysokim czako ozdobionym blachą przedstawiającą skrzyżowane armaty, który rozmawiał z sierżantem grenadierów.

– Jasna cholera, to ten, który zaatakował posterunek razem z dwoma kompaniami – mruknął Jaśko. – To on mnie szukał i to on zgubił rękawiczkę w archiwum.

– Ale to nie ten zabił wartownika? – upewnił się Dangel.

– Nie, Macieja zaszlachtował typ z nastroszonymi wąsikami. – Złodziejaszek pokręcił głową. – I jak teraz dostaniemy się do środka?

Musimy wręczyć glejt panu Glińskiemu. Może przeleziemy przez płot i spróbujemy dobiec do posterunku? Jeśli święty Dyzma^[38] nam pomoże, uda się dopaść drzwi i nie zdążą nas odstrzelić.

Tomasz stał chwilę w milczeniu. Nie uśmiechała mu się samobójcza szarża, ale też nie zamierzał stać bezczynnie. Warknął pod nosem przekleństwo.

– Idę – powiedział. – Spróbuję trochę poczarować tego artylerzystę. To Polak, może wystraszy się glejtu księcia Poniatowskiego?

– Albo go podrze, a ciebie każe po cichu ukatrupić – mruknął Jaśko. Widząc jednak zawziętą minę urzędnika, przeżegnał się szybko. – No dobra, idę z tobą.

Podeszli szybkim krokiem do stojących żołnierzy, którzy w pierwszej chwili nie zwrócili na nich uwagi. Grenadierzy zauważyli intruzów dopiero, gdy ci stanęli przed oficerem. Dangieli rozwinął glejt i uniósł go niczym sztandar.

– Pan pozwoli, szanowny panie oficerze, że się przedstawię – powiedział szybko, by Francuzi nie zdążyli go odepchnąć. – Nazywam się Tomasz Dangieli i jestem sekretarzem w urzędzie magistrackim, obecnie oddelegowanym do wsparcia sił Policji Krajowej. Przynoszę oto dokument podpisany przez ministra wojny, księcia Poniatowskiego, a zobowiązujący każdego podległego mu wojskowego do bezwzględnego udzielenia pomocy panu Glińskiemu. Od tej chwili jest pan zatem podległy sekretarzowi generalnemu policji i musi pan wykonywać jego rozkazy.

Kapitan Karol Parys spojrział z zaskoczeniem na poobijanego młodzieńca w straszliwie zniszczonej garderobie. Gestem dłoni powstrzymał grenadierów, którzy już sadzili się, by przegonić Dangiela. Oficer wyjął pismo z jego ręki i uważnie je przeczytał.

– W tej chwili wykonuję rozkazy marszałka Davouta i nie podlegam jurysdykcji polskiego wojska – odparł. – Ten dokument mnie nie dotyczy.

Oddam się do dyspozycji księcia, kiedy tylko zostanę zwolniony przez marszałka.

– Wydaje mi się, że jest pan oficerem armii polskiej, a nie francuskiej i jako taki podlega polskiemu dowództwu – pewnym głosem zauważył Tomasz. – Poza tym muszę pana ostrzec, że o dziejącej się tu bezprawnej napaści i całym incydencie książę Poniatowski jest na bieżąco informowany. Rychło dowie się także o tej rozmowie. Jeśli zastosuje pan przemoc wobec mnie i nie usłucha Glińskiego, zakłóci pan spokój jego wysokości i zmusi do tego, by przysłał tu szwadron ułanów.

– Grozisz mi, chłopcze? – lodowatym tonem spytał Parys.

– Ależ gdzieżbym śmiał! – szczerze oburzył się Dangieli. – Chcę tylko zauważyć, że pan Gliński jest blisko z księciem zaprzyjaźniony, należą wszak do jednej loży masońskiej. W dodatku kilku spośród tych uliczników to jego agenci. Doniosą mu o wszystkim i w ciągu godziny będzie pan tu miał wściekłego ministra wojny na czele oddziału żądnych krwi szwoleżerów. Nie radzę stawiać się księciu, bo nawet protekcja Francuzów nie ustrzeże pana przed jego gniewem. Najlepiej pan zrobi, oddając się do dyspozycji Gliny, to jest pana Glińskiego. Proszę zaufać jego dobrej woli i profesjonalizmowi. Nic złego nikomu się nie stanie, pan sekretarz generalny policji z pewnością o to zadba.

– Wyszczekany jesteś, chłoptasiu. – Oficer uśmiechnął się krzywo.

Oficjalista starał się nie okazywać żadnych emocji, a przede wszystkim powstrzymać drżenie kolan. Na domiar złego zorientował się, że zaczyna dzwonić zębami, a chłód był tylko jedną z pośrednich przyczyn tego zjawiska. Młodzieniec wiedział, że od reakcji Parysa może zależeć także jego życie.

– Nie myśl, że boję się twoich gróźb, panie Dangieli – powiedział Parys po dłuższym namyśle. – Wydaje mi się, że francuska protekcja ustrzegłaby mnie zarówno przed masonami, jak i zemstą księcia Pepi. Nie ja wpadłem na pomysł tej akcji i nie ja nią kierowałem. Przeprowadził ją mój przyjaciel bez

mojej wiedzy, a ja właśnie zastanawiałem się, jak załagodzić ten incydent. Dlatego pomyślałem, by porozmawiać z Glińskim, nie wydaje mi się taki beznadziejny. Idziemy do środka, prowadźcie.

Jaśko ruszył przodem, omijając grenadierów szerokim łukiem. Wyszedł na podwórko i pomachał do okien posterunku.

– To ja! Otwierajcie! – wrzasnął. – Będziem paktować!

Rozdział 26

Emilia klęczała na podłodze obok rannego generała. Czule gładziła Charles'a po czole, trzymając jego głowę na kolanach. Oficer odzyskał przytomność, ale widocznie czułości ze strony panny Parysówny były dla niego tak przyjemne, że nie próbował jej powstrzymać i bez ruchu poddawał się pieszczocie. Szaja siedział obok i macał się po obolałej gębie, bo wściekły porucznik Załuski nikomu nie darował i lał, w co popadło. Żyd oberwał kilka razy płazem szabli po plecach, a na koniec zaliczył kopniaka w twarz. Kapitan Ilnicki znów dostał po głowie ręką pistoletu. Tym razem jednak częściowo sparował cios, zasłaniając się ręką, skończyło się więc na kolejnym siniaku.

Cała czwórka została zamknięta przez porucznika w zawalonym amunicją pokoju Emilii. Oszalały z gniewu i zazdrości Załuski miotał się po budynku. Klął i wrzeszczał, kopał w drzwi i przewracał regały. Potem zamknął się w pracowni kapitana Parysa i przewalał coś, co chwilę wszystkim wygrażając.

– Nie wiedziałem, że ten furiat kocha się w tobie – odezwał się Morand.

– Początkowo myślałam, że zwyczajnie mu się podobam, jak wiele warszawskich panien – odparła Emilia. – Ot, przyjaciel brata, który przychodził czasem do nas na obiady. Z czasem jego zaloty zaczęły robić się meczące, dałam mu więc do zrozumienia, że nie jestem nim zainteresowana, ale na Krystianie nie zrobiło to wrażenia. Ciągle mi się narzucał, przy każdej sposobności. Któregoś razu otwarcie oświadczył, że choćby miał wymordować wszystkich zalotników w mieście i tak się ze mną ożeni. Wreszcie dotkliwie pobił jednego bryftygiera^[39], który często przychodził do nas z listami. Ponoć zbyt miło się do niego uśmiechałam. Wtedy Karol zrobił

mu awanturę i zakazał mnie dręczyć, myślałam więc, że sprawa jest zakończona. Skąd mogłam wiedzieć, że kiedy dojdzie do afery z królem, obsesja Załuskiego się odnowi?

– Szaleniec. – Generał westchnął. – Zupełny wariat.

– Sądząc po zamiłowaniu do przemocy, zaborcza miłość nie jest jedynym problemem, który miesza mu w głowie – zauważył Ilnicki. – Ten człowiek to obłąkany morderca. Musimy go obezwładnić, zanim zrobi coś szalonego.

Jakby w odpowiedzi gdzieś w głębi korytarza rozległ się śmiech Załuskiego, który przeszedł w łkanie, a potem wściekłe przekleństwa. Emilia zadygotała ze strachu. Generał uniósł się i objął ją ramieniem, szepcząc coś do ucha. Pan Michał rozglądał się po pomieszczeniu, zastanawiając, czego tym razem mógłby użyć jako broni.

Rozdział 27

Gliński przyjął Parysa, siedząc ze srogą miną w fotelu ustawionym na środku posterunku. Artylerzysta ze zdumieniem spostrzegł, że szef policjantów ubrany jest niezwykle elegancko, w jedwabną kamizelkę i odświętny frak. U jego boku, nieco z tyłu, stał chudy jegomość trzymający karabin zaopatrzonej w lunetę. Z drugiej strony fotela zajął miejsce wielkolud w chłopskiej kapocie. Po wejściu przybysza Gliński wykonał gest dłonią, który musiał być jakimś masońskim znakiem, ale kapitan nie potrafił na niego odpowiedzieć.

Policjant mierzył go chwilę surowym spojrzeniem, wreszcie wstał i uściśnął mu na powitanie dłoń.

– To, zdaje się, należy do pana – powiedział, wręczając dwie rękawiczki. – Jedną znaleźliśmy przed pałacykiem na Żoliborzu, a drugą w naszym archiwum.

– Dziękuję – mruknął nieco speszony oficer.

– Zginął mój pracownik i wszystko wskazuje na to, że jest pan zamieszany w to morderstwo. – Pan Augustyn przypomniał o śmierci Macieja. – Domyśla się pan, że oczekuję wyjaśnień?

Parys pokiwał głową i z westchnieniem najpierw ściągnął czako, a potem rozpiął płaszcz. Głina gościnnym gestem wskazał mu zajmowany przez siebie fotel, a sam usiadł na stołku. Zaproponował przesłuchiwanemu trochę chłodnej zupy, bo nic innego prócz tego nie mieli. Oficera uspokoiła postawa policjantów, którzy okazali się całkiem grzeczni i gościnni. Rozpoczął zatem opowieść o kłopotach swojej siostry i tym, jak odkrył, że prócz króla saskiego oczarowała także generała Moranda.

– Wykorzystałem słabość generała do Emilii, by chronić jej godność

i cześć. Nie mogłem wszak pozwolić, by została ukrzywdzona i sprowadzona do roli dziwki. Wydawało mi się, że razem z Krystianem opracowaliśmy plan, dzięki któremu nikomu nic złego się nie stanie, a jedynie trochę przytrzymamy nosa staremu satyrowi, łasemu na wdzięki młodych Polek. Sprawa się trochę pokomplikowała i do uszu Charles'a doszło, że prowadzi pan śledztwo. Któryś urzędnik z otoczenia ministra policji szpieguje dla Francuzów. Przeczytał pana sprawozdanie przeznaczone dla hrabiego Potockiego i przekazał dane Morandowi. Stąd dowiedzieliśmy się, że macie świadka wybuchu, który najpewniej widział Fryderyka Augusta. Załuski wymyślił, że świadka wystarczy wykraść z aresztu i uciszyć. Myślałem, że chodzi o przymknięcie go w piwnicy Kuźni Artyleryjskich, gdzie urzędujemy. Poczekaliśmy, aż policjanci opuszczą budynek i we trzech, z generałem Morandem, który uparł się osobiście brać udział w całej sprawie, ruszyliśmy do akcji. Kiedy drogę zastąpił nam ten nieszczęsny starzec, Załuskiego coś poniosło i zanim zdążyłem zareagować, poderżnęła stróżowi gardło. Dopiero potem dotarło do mnie, że mój przyjaciel planował to samo zrobić ze świadkiem.

Jaśko pobladł, słysząc to wyznanie.

– Obawiałem się, że to samo zrobiliście z panem Dangiłem. – Gliński pokiwał głową. – Na szczęście żyje, choć wygląda, jakby stoczył krwawy bój z całą kompanią grenadierów Gwardii.

– Tak jakby – nieśmiało mruknął młody urzędnik. – Z moim spóźnieniem jednak ci panowie nie mieli nic wspólnego. Zawiniły nieporozumienia na łonie rodziny, ale może wyjaśnię to kiedy indziej. Ważne, że udało mi się dostarczyć dokument.

– Nie wiemy zatem tylko, gdzie obecnie znajduje się kapitan Ilnicki i Szaja – podsumował doktor Ritter.

– Przetrzymujemy ich w Kuźniach, a dokładnie w piwnicy pod moim laboratorium amunicyjnym – lekko odparł Parys. – Mam nadzieję, że szybko dojdziemy do porozumienia i będę mógł wydać polecenie ich uwolnienia.

– Zamiast intrygować, porywać i straszyć, powinien pan od razu przeprowadzić ze mną rozmowę i wszystko wyjaśnić. Obyłoby się bez niepotrzebnego zamieszania i strat w ludziach – surowym tonem oświadczył Gliński. – Potrafimy dochować tajemnicy, a nawet być pomocni.

– Proszę wybaczyć, ale trudno mi w to uwierzyć. – Oficer rozłożył ręce. – Wszyscy wiemy, że policja to banda skorumpowanych, zdeprawowanych sukinsynów w mundurach. Nie dość, że nieustannie przestają z najplugawszymi bandziorami, złodziejskimi wszarzami i dziwkami, to jeszcze pazernie czerpią z tej ohydnej roboty zyski. Taka jest policja na całym świecie i taka też będzie po wsze czasy.

– Czasy się zmieniają i policja się zmienia – spokojnie odparł sekretarz generalny. – Staram się, by moi funkcjonariusze byli ludźmi bez zarzutu. Buduję policję przyszłości, czystą i szlachetną. Gwarantuję panu, kapitanie, że żaden z moich ludzi nikomu pary z gęby nie puści, jeśli przysięgniemy milczeć.

Artylerzysta przypatrzył się kolejno zgromadzonym mężczyznom, a jego mina nie mówiła niczego dobrego. Na koniec chrząknął, jakby zmieszany, i powiedział:

– Ufam panu. Zaraz każę grenadierom zabierać się do koszar.

Jaśko zachichotał nerwowo, zrozumiałwszy, że najpewniej ujdą z tej afery żywi. Roch przeciągnął się z ulgą, aż gnaty mu zatrzęszczały. Parys zauważył, że w opuszczonej dotychczas ręce wielkolud ściska obnażony pałasz piechoty. Kapitan zdał sobie sprawę, że gdyby nie dogadał się z Gliną, sam miałby poważne kłopoty z opuszczeniem żywcem posterunku.

– Niepokoi mnie tylko ten pana przyjaciel, Załuski – odezwał się szef policjantów. – Jest skłonny z byle powodu zabijać ludzi. Gdzie on teraz jest?

– Wysłałem go do Kuźni, by nakarmił jeńców.

– Mam nadzieję, że nie przyjdzie mu do głowy przy okazji uciszyć ich na wieki?

Oficer drgnął jak oparzony. Na jego twarzy pojawiło się zmieszanie. Wszyscy domyślili się, że nie potrafił przewidzieć, co zrobi jego kompan.

– Zaczynam się bać nie tylko o więźniów, ale i o własną siostrę – bąknął niepewnie.

– Na co zatem czekamy? – syknął Gliński. – Idziemy!

Rozdział 28

Ilnicki wpadł na pomysł, by zastawić drzwi od pokoju i w ten sposób odgrodzić się od szalejącego furiata. Razem z Szają zabrał się do przenoszenia stołu. Morand poderwał się, by im pomóc. Wszyscy trzej byli mocno poturbowani, mimo to poruszali się szybko i sprawnie. Stół został przystawiony do drzwi, a na jego blacie wylądowały dwie skrzynie z bombami i beczka prochu. Po zamknięciu w ten sposób wejścia odetchnęli z ulgą, a Emilia uśmiechnęła się niepewnie.

Załuski szybko zorientował się, że coś dzieje się nie po jego myśli. Na korytarzu rozległy się kroki, a po chwili żołnierz załomotał pięściami w drzwi. Zaczął wzywać Emilię – najpierw płaczącym tonem, a po chwili grożąc i złorzecząc.

– Co pan wyprawia, poruczniku? – przemówił Ilnicki. – Proszę natychmiast odstąpić od drzwi i uważać na słowa. Przemawia pan do damy!

Odpowiedzią był jednak wściekły warkot, który zaraz ucichł. Uwięzieni wstrzymali oddechy, czekając, co tym razem szaleniemy wymyśli. Ten jednak przemówił spokojnym, zrównoważonym głosem:

– Państwo wybaczą mi chwilową niedyspozycję. Ataki gniewu mam od czasu, gdy zostałem ranny w głowę. Szrapnel z pruskiego pocisku wbił mi się w czaszkę i utkwiał w niej już na zawsze. Sprowadza na mnie szaleństwo, które na szczęście mija. Już ze mną dobrze. Za chwilę odejdę, by oddać swój los w ręce kapitana Parysa. Niech on zadecyduje, co ze mną zrobić. Wiem, że popełniłem straszny czyn, atakując generała i damę. Mam tylko jedną prośbę. Ostatnią. Czy pani mnie słyszy, Emilio?

Dziewczyna zawahała się, ale po chwili, pokrzepiona dotykem Moranda, odpowiedziała głośno:

– Słyszę, poruczniku. Czego pan chce?

– Ostatni raz pannę zobaczyć – odparł łamiącym się głosem. – Już nigdy więcej panna mnie nie ujrzy. Dziś jest ostatni raz, przysięgam.

Ilnicki pokręcił głową. Szaja popukał się tylko w czoło. Parysówna zagryzła wargę w widocznej rozterce.

– Boicie się, że mogę jej coś zrobić? – spytał piechur. – Gdybym chciał, wystarczyłoby zapalić lont od jednej z bomb, które stoją w skrzyniach na korytarzu. Mógłbym was ukatrupić w mgnieniu oka i wykpić się, że nastąpił nieszczęśliwy wypadek. Nie uczynię tego. Chcę tylko spojrzeć na Emilię. Po raz ostatni.

– Dobrze – odparła krótko dziewczyna. – Otwórzcie mu, proszę.

Fizylierzy stojący w bramie Kuźni Artylerii Koronnej wyprężyli się, widząc powóz, z którego machał do nich kapitan Parys. Oficer wrzeszczał, by natychmiast otwierać i to na jednej nodze. Zdumieni piechurzy nie zdążyli nawet powiadomić oficera dyżurnego, porucznika Załuskiego, bo ten kilkanaście minut temu znikł pomiędzy zabudowaniami. Bez wahania otworzyli skrzydła bramy. Powóz, w którym siedziało ściśniętych kilku mężczyzn, wjechał na ściśle strzeżony teren fabryki wojskowej.

Gliński wyskoczył z pojazdu, gdy ten tylko zatrzymał się przed przysadzistym budynkiem odgrodzonym od miasta wałem ziemnym. Nie zdążył jednak dopaść drzwi, a dogonili go Roch z Jaśkiem. Kilka kroków za nimi szedł kapitan Parys, na końcu zaś doktor Ritter i Dangel.

Wpadli do szerokiego korytarza, na którego końcu ujrzeli porucznika Załuskiego, stojącego tyłem do nich, a przed uchylającymi się właśnie drzwiami.

Glińskiego uderzyła dziwna poza, w jakiej stał oficer. Miał lekko ugięte kolana i pochyloną głowę, jakby ciągnął go ku ziemi uwieszony szyi ciężar.

Może to grzechy mu ciążyą? – pomyślał szef policjantów.

Ilnicki syknął ze zgrozy, gdy ujrzał Załuskiego. Fizylier odepchnął uchylone skrzydło drzwi i wszedł do środka. Na szyi, na flintpasie odpiętym od muszkietu, dyndała beczułka, w której wieku tkwił sprytnie zainstalowany lufą do dołu pistolet. Porucznik opierał dłoń na jego rękojeści. Twarz miał pobladłą, a przetłuszczone włosy, pozlepiane potem, przykleiły mu się do czoła. Wytrzeszczał oczy i szczyrzył zęby w grymasie ni to nerwowego uśmiechu, ni gniewu. W milczeniu patrzył na Emilię.

– Co to ma znaczyć? – ostro spytał Morand, robiąc krok do przodu. – Co pan wyprawiasz?!

Załuski drgnął, jakby zbudzony z głębokiego snu. Spojrzał z nienawiścią na generała.

– Cofnąć się, bo strzele! – wrzasnął piskliwie, zaciskając dłoń na rękojeści pistoletu. – Ta beczka jest pełna ubitego prochu i kulek kartacza. Jeśli wybuchnie, wszystkie bomby w tym pomieszczeniu wylecą w powietrze. Takiego świątecznego fajerwerku Warszawa jeszcze nie widziała.

Dowódca wydziału rozłożył ręce w uspokajającym geście i sam stanął naprzeciw szaleńca, zmuszając generała do cofnięcia się z powrotem. Szaja próbował przesunąć się wzdłuż ściany, by zająć Załuskiego z boku, ale ten warknął groźnie:

– Pod ścianę, parchu!

– Poruczniku, zdejmijcie tę bombę – rozkazującym tonem odezwał się kapitan. – Nie chcesz przecież, by panna Emilia ucierpiała.

– Skąd wiesz, czego chcę, policjancie? Wy w korytarzu! Widzę was! Ani kroku!

Gliński i Parys, mimo ostrzeżenia, powoli się zbliżali. Obaj trzymali ręce uniesione wysoko, prezentując, że nie są uzbrojeni.

– Krystian, do cholery, opamiętaj się – łagodnie prosił przyjaciel zamachowca. – Zabezpiecz broń, daruj życie mojej siostrze.

– Odsuń się, zdrajco! – wrzasnął porucznik. – Myślałem, że jesteśmy jak bracia, a ty dajesz Emilię temu żabojadowi! Dlatego, że ma trzos pełen złota? Czy dlatego, że liczysz na karierę w Wielkiej Armii? A co ze mną?

– Nikomu jej nie oddaję – spokojnie odparł Parys. – Emilia sama decyduje, co chce robić ze swoim życiem. Niczego jej nie narzucam.

Załuski odwrócił się do dziewczyny.

– Dlaczego? – spytał z wyrzutem. – Dlaczego nie ja?

– Kocham Charles'a – odparła pewnym głosem.

Fizylier patrzył na nią zażawionymi oczyma. Jego twarz ściągnął grymas bólu.

– Mogłaś być moją królową, nieba bym ci przychylił – wycedził z trudem. – Nie myśl, że pozwolę ci żyć w szczęściu z innym. Odejdiesz razem ze mną. Będziesz moja na wieki...

Ilnicki nieustannie przesuwał się w stronę szaleńca. Obserwował jego twarz i coraz bardziej nerwowe gesty. Wiedział, że Załuski jest zdecydowany wszystkich pozabijać. Że pociągnie za spust i wysadzi cały budynek w powietrze.

Przez mgnienie oka pan Michał wahał się. Przed oczyma przemknęła mu uśmiechnięta twarz Hani, usłyszał śmiech dzieci, które miały stać się jego pasierbami. Poczuł ciepło i dotyk ukochanej kobiety. Serce ścisnął mu żal i przejmujący smutek. Skoczył.

Wetknął rękę między kurek a panewkę pistoletu tkwiącego w łożu w pokrywie beczki, jednocześnie uderzeniem całego ciała ściął Załuskiego z nóg. Wypadli na korytarz. Przetoczyli się po podłodze, zwarci w śmiertelnym boju. Ilnicki blokował broń, ale Załuski się nie poddawał i szarpał jego rękę. Ogarnięty szaleńczą furią okazał się diabelnie silny. Wszyscy policjanci, łącznie z Glińskim, skoczyli na pomoc kapitanowi.

Dzieliło ich ledwie kilka kroków.

Fizylier wyłamał kciuk dowódcy śledczych, zmuszając go do puszczenia broni. Pan Michał wrzasnął z bólu. Przerazenie ścisnęło mu gardło. Wiedział, że przegrał. Ostatnim przebłyskiem świadomości objął piechura i przywarł do niego całym ciałem, blokując beczkę między nimi. Kurek trzasnął krzemieniem w panewkę.

Bomba eksplodowała.

Rozdział 29

Dwudziestego szóstego grudnia król saski i księżę warszawski Fryderyk August opuścił miasto w towarzystwie swojej małżonki Marii Amelii i córki Marii Augusty, infantki polskiej. Tego samego dnia odbył się pogrzeb kapitana Michała Ilnickiego. W ostatniej drodze towarzyszyła mu najbliższa rodzina, czyli szwagierka z trójką dzieci, oraz kilku policjantów. Pojawił się też francuski generał w towarzystwie narzeczonej. Sekretarz generalny policji wygłosił mowę, w żołnierskich słowach dziękując poległemu za krótką, choć bardzo owocną służbę. Tym smutnym aktem zakończyła się kariera Ilnickiego w warszawskiej policji.

Gliński urządził we własnym mieszkaniu niewielką stypę po podwładnym. Zebrali się wszyscy śledczy. Pan Augustyn siedział w fotelu, pykając z fajeczki. Policjanci milczeli, popijając piwo i patrząc w ogień pełgający w kominku. Wszystkim doskwierały rany odniesione w czasie śledztwa. Sam Gliński też został kontuzjowany – oberwał kartaczem w nogę. Bomba, która zabiła Ilnickiego i Załuskiego, co prawda nie zadziałała, jak planował jej konstruktor, ale rozrzuciła po korytarzu sporo odłamków. Ciało dwóch poległych stłumiło eksplozję, przyjmując na siebie niemal całą energię. Kartacze przebiły ich na wylot, ale wyhamowane i upaprane krwią nie zdołały spowodować wtórnego wybuchu amunicji, której wszędzie było pełno. Kapitan wiedział, co robi, w ostatniej chwili z całych sił przywierając do przeciwnika. Świadomie poświęcił się, by ocalić pozostałych.

Roch musiał myśleć o tym samym, co Gliński, bo przerwał ciszę i wzniósł ostatni toast za pamięć poległego. Potem zaproponował, by nieco ożywić atmosferę i zająć się sprawami doczesnymi. Sekretarz generalny wstał z fotela i wyciągnął z szuflady biurka dwa przygotowane wcześniej

dokumenty. Skinął na młodzieńców siedzących cicho w kącie pokoju.

Tomasz Dangieli, ubrany w elegancki surdut, i Jaśko, w skromnym ubraniu pożyczonym od służącego, stanęli na środku pomieszczenia, prężąc się na baczność. Siwowłosey oficjel uroczyście odebrał od nich wymyśloną przez siebie przysięgę i wręczył papiery asygnujące ich na funkcjonariuszy Wydziału Śledczego Policji Krajowej. Wzniesiono kolejny, tym razem wesoły toast, po którym pan Augustyn podziękował wszystkim za wizytę.

Śledczy wynieśli się, podążając w kierunku najbliższej traktierni, a gospodarz znów zasiadł w fotelu. Nie był dziś w najlepszym humorze, w dodatku nie chciał go opuścić widok twarzy Hanny Ilnickiej o napuchniętych od płaczu oczach i wyzierającym z nich nieskończonym smutku. W dodatku ta trójka dzieci przywierających do matki. Gliński poderwał się z fotela i zaczął krążyć po gabinecie.

Wiedział doskonale, w jak trudnym położeniu znajdowała się rodzina kapitana. Zrobił, co w jego mocy, by jakoś im pomóc, ale wiele nie zdołał. Minister Potocki niemal zrzucił go ze schodów, gdy usłyszał, że sprawiający mu tyle kłopotów urzędnik życzy sobie pieniędzy na fundusz dla wdów po poległych na służbie funkcjonariuszach. Finanse policji i bez tego znajdowały się w fatalnym stanie. Pani Ilnicka została więc pozostawiona sama sobie.

Spojrzenie pana Augustyna padło na regał wypełniony mahoniowymi pudełkami. Policjant przez chwilę stał bez ruchu, patrząc na swój skarb. Potem usiadł za biurkiem i napisał list, następnie wybrał kilka pudełek i przesypał ich zawartość do jednego. Na koniec zawołał lokaja.

– Ubierzesz się zaraz, Anzelmie, i zanieś list z tym pudełkiem na Świętojańską, do zakładu królewskiego zegarmistrza Gugenmusa – rozkazał krótko. Zrobił to, jak rzadko kiedy, bardzo poważnym tonem, a lokaj, jak rzadko kiedy, nie odważył się skomentować polecenia ani narzekać na swój los.

– To złote monety? – spytał tylko, wając w dłoni pudełko.

– Tak. Spieniężam część kolekcji.

Anzelm uklonił się i wyszedł.

W styczniu 1808 roku Warszawę i całe Księstwo poruszyła wiadomość o ogłoszeniu zaślubin generała Charles'a Moranda z nikomu nieznaną panną Parysówną. Zaraz też nadano jej hrabiowski tytuł, by francuski dostojnik nie otrzymał od narodu polskiego byle kogo jako żony. Pojawił się też tłum jej krewnych i znajomych, o których nigdy wcześniej nie słyszała i od których musiała się pracowicie opędzać.

Hannę Ilnicką odwiedził natomiast pewien młody urzędnik z biur policji, który wręczył jej rentę przysługującą po poległym na służbie Michale. Dziesięć tysięcy dukatów pozwoliło jej wykupić hipotekę domu i zapewnić godziwe życie dzieciom.

Przypisy

- [1] *Joli Bord* (fr.) – Piękny Brzeg (przyp. red.).
- [2] *Grasant* (z wł. *grassatore* – bandyta działający nocą) – rozbójnik, bandyta (przyp. red.).
- [3] Policja, jako administracyjna służba państwowa, istniała w Polsce od 1775 roku, ale dopiero kilkanaście lat później zaczęto tym mianem nazywać ściśle rozumiane, uzbrojone i terenowe służby porządkowe. Za czasów Księstwa Warszawskiego starano się organizować Policję Krajową na wzór wojskowy (przyp. red.).
- [4] Komenda cyrkułu – ówczesna nazwa komisariatu policyjnego, któremu podlegał cały cyrkuł (okręg) policyjny, obejmujący zasięgiem dany cyrkuł (okręg) miejski, na które podzielona była Warszawa (przyp. red.).
- [5] Wielka Armia – i oficjalna, i potoczna nazwa sił zbrojnych Napoleona.
- [6] Gestapo (niem.) – tajna policja. Nazwa używana przez pruskie służby już w XVIII wieku. Nazistowskie Gestapo nie było kontynuacją pruskiego gestapo.
- [7] *Andrus* (gwara warszawska, od gr. *andros* – człowiek) – łobuz, szczególnie młody (przyp. red.).
- [8] *Aksamitka* (gwara warszawska, od aksamitu) – jedno z łagodniejszych określeń prostytutki, dotyczące lepszych i droższych pań lekkich obyczajów.
- [9] *Fanty* (warszawska gwara przestępcza, od niem. *Pfand* – zastaw) – zdobycze złodziejskie, łupy (przyp. red.).
- [10] *Salceson* (gwara warszawska) – policjant. Zapewne od haraczu, np. w wędlinie, jaki patrole pobierały od straganiarzy. Opowieść miejska głosiła jednak, że „Salceson! Salceson!” krzyczała pewna straganiarka za policjantem, który ukradł jej właśnie salceson – i stąd miała się wziąć ta uliczna nazwa stróżów prawa (przyp. red.).
- [11] *Melina* (warszawska gwara przestępcza, od hebr. *malina* – nocleg) – miejsce schronienia przestępców (przyp. red.).
- [12] *Upłynnić* (warszawska gwara przestępcza) – sprzedać towar z kradzieży (przyp. red.).

- [13] Chojrak (gwara warszawska, od gwarowego *chojar* – wysokie drzewo) – zuch, człowiek odważny (przyp. red.).
- [14] Inwestygator (łac.) – policjant śledczy w dawnej Polsce.
- [15] Kosior (warszawska gwara przestępcza, od gwarowego *kosa* – nóż) – bandyta, który zabija (przyp. red.).
- [16] Étienne Vincent (1781-1809) – rezydent francuski w Warszawie, sprawujący faktyczną władzę w Księstwie Warszawskim w imieniu Napoleona.
- [17] Fajerbal (niem.) – piłka ognista. Fajerbal i kartacz gronowy – rodzaje bomb zapalających.
- [18] Fontaż (od nazwiska kochanki jednego z królów Francji, pani de Fontanges) – kokarda noszona pod szyją; poprzednik krawata.
- [19] Dydka – srebrna moneta sześciogroszowa. Tylko ten nominał nie został zagrabiony przez Prusaków podczas okupacji Warszawy i dlatego w początkowym okresie istnienia Księstwa Warszawskiego stanowił podstawową monetę obiegową.
- [20] Konfederatka – miękka rogatywka obszyta barankiem, kojarzona z konfederatami barskimi z XVIII w.
- [21] Chodzi mu o franc. *Vite, vite!* – Szybciej, szybciej!
- [22] Ciec (gwara warszawska, od stpol. *cieść* – teść, który pilnował córki jak ciec kamienicy) – stróż kamienicy, domu, fabryki (przyp. red.).
- [23] Gotowalnia – mebel buduarowy, służący damie jako toaletka do przygotowania się przed wyjściem z domu. W jej szufladach trzymano kosmetyki i biżuterię.
- [24] Gisernia (od niem. *giessen* – odlewać) – specjalistyczna odlewnia, w tym wypadku kul armatnich.
- [25] Mowa o Tadeuszu Kościuszcze.
- [26] Fajerwerk (niem.) – tu: stopień podoficerski w artylerii polskiej.
- [27] Legia Północna – formacja polska utworzona przez Napoleona w czasie wojny z Prusami w 1806 roku. W większości składała się z polskich dezerterskich opuszczających pruskie oddziały. Legia stała się częścią armii Księstwa Warszawskiego.
- [28] Paletowanie (od fr. *épaulette* – epolet) – przyznanie stopnia oficerskiego.

[29] Obecnie plac Trzech Krzyży.

[30] Mundur mniejszy i mundur wielki – obecnie: polowy i galowy.

[31] Chędożyć (stpol.) – czyścić.

[32] Mowa o królu Stanisławie Auguście Poniatowskim.

[33] Salopka (od niem. *Saloppe* – szlafrok) – damski płaszcz z pelerynką.

[34] W 1807 r. na mocy reformy administracyjnej ostatecznie zlikwidowano jurydyki (prywatne osiedla wokół Starego Miasta, które nie podlegały jurysdykcji sądowej miasta, np. Mariensztat, Solec) i podzielono Warszawę na siedem cyrkułów (okręgów) z prawobrzeżną Pragą jako ostatnim cyrkułem.

[35] Bikorn (od fr. *bicorne*) – dwurożny kapelusz wojskowy i akademicki, po polsku złośliwie nazywany „pierogiem” (przyp. red.).

[36] Charles? To ty? (fr.).

[37] Uwaga! Z tyłu! (fr.).

[38] Święty Dyzma – patron złodziei.

[39] Bryftygier (gwara warszawska, od niem. *Briefträger* – doręczyciel, listonosz) – listonosz. Określenie przyjęte w czasach pruskiej okupacji miasta.